INNI OBYWATELE
PiS patrzy na kraj, którego już nie ma

ŻYCIE MATEK
Kościół popełnia etyczny błąd

SZCZYT KLIMATYCZNY
Wielkie udawanie i prawdziwe ofiary

NOWY NACJONALIZM
Skąd się wziął i kto mu sprzyja

E-SPRINTERZY
Jak przejść grę w pięć minut

Kraków 21 listopada 2021 nr 47 (3776) cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Sytuacje graniczne

Między bezpieczeństwem a człowieczeństwem

DODATEK
NAGRODA ZNAKU I HESTII IM. KS. JÓZEFA TISCHNERA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

„Tygodnik Powszechny” w kiosku lub z dostawą do domu

Drogie Czytelniczki, drodzy Czytelnicy,

10 zł – taką cenę od dziś będzie miało pojedyncze wydanie „Tygodnika Powszechnego”.

W ostatnim czasie dotkliwie odczuliśmy ogromny, kilkudziesięcioprocentowy wzrost cen papieru. Podrożały energia i gaz, które mają bezpośredni wpływ na koszt druku. Wszyscy wydawcy odczuwają skutki trudnej sytuacji na rynku prasy: malejącej liczby kiosków, podwyższonych opłat dystrybucji, wydłużonych okresów rozliczania sprzedaży.

Aby bezpiecznie realizować naszą misję, utrzymać nadal pełną niezależność oraz – tak jak do tej pory – prezentować Państwu najwyższej jakości materiały dziennikarskie, a także umożliwić bezpłatny dostęp do wielu materiałów społecznie ważnych – jak serwis internetowy poświęcony sytuacji na granicy, przemocy w Kościele, Afganistanowi czy sytuacji osób wykluczonych – jesteśmy zmuszeni podnieść cenę wydania drukowanego o 1 zł. Wszystkich Państwa prosimy także o rozważenie zakupu „Tygodnika” z dostawą do domu. W ten sposób bezpośrednio mogą Państwo wspierać „Tygodnik” i chronić wolność słowa. „Tygodnik” zależy bowiem tylko od Czytelników.

Dziękując za obecność w Waszych domach,

Jacek Ślusarczyk
Dyrektor Wydawnictwa
Prezes Zarządu Tygodnika Powszechnego

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ
Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”
Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne na 2021 r.	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Aktualny cennik dostępny na powszech.net/prenumeraty

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation

KS. ADAM

Boniecki: *Człowiek z łopatą*

Las, grupa zmarzniętych, zaszczutych ludzi, mężczyzn i kobiet, starszych, młodszych i dzieci – to obraz, który wielu z nas kojarzył się z białoruską granicą. Oni – marznący, głodni, my – w ciepłym domu, przy kolacji. Tak było do zeszłego poniedziałku. Pamiętaliśmy, że Bóg powiedział: „Przybysza, osiadłego wśród was, będziecie uważać za tubylca, który się osiedlił wśród was. Będziesz go miłował jak siebie samego, bo i wy byliście przybyszami w ziemi egipskiej. Ja jestem Pan, Bóg wasz!" (Kpł. 19, 33-34).

My też byliśmy przybyszami. Pamiętam choćby ośrodki dla polskich uchodźców we Włoszech, w Latinie i Kapui. Pamiętam młodych ludzi z Polski, jak w morderczym upale, na skrzyżowaniach większych ulic Rzymu, rzucali się na samochody z ofertą umycia zakurzonej szyby. Kiedyś Jan Nowak Jeziorański, którego wiozłem przez Rzym, ubolewał nad ich poniżeniem, ale na moje *dictum*, że jest wprost przeciwnie, bo znaleźli sposób, by żyć nie tylko z włoskiej zapomogi, zadeklarował, że na najbliższym skrzyżowaniu da pieniądze rodakowi, który nam umyje szybę. Tak, byliśmy uchodźcami. Choć nie koczowaliśmy w lasach, to jednak kiedyś policja odkryła polskich uchodźców mieszkających w starożytnych grotach koło Villa Giulia. Sami byliśmy przybyszami, więc los przybyszów przy polskiej granicy poruszał wiele serc i budził empatię. Przynajmniej niektórych.

Cały poniedziałek 8 listopada oglądaliśmy w rządowej TVP filmy z dużymi grupami uchodźców na białoruskiej drodze lub w lesie, i ten filmik: zbliżenie na człowieka, który, z zaciętą twarzą, łopatą niszczy żyletkowe zasieki i gniewnie grozi polskiemu strażnikowi, kierującemu ku jego twarzy strumień gazu łzawiącego. Człowiek z łopatą odskakuje, wygraża strażnikowi i po chwili na nowo atakuje łopatą konstrukcję chroniącą granicę Unii Europejskiej. W tle widać kilku mężczyzn dość niemrawo rzucających na graniczne druty niezbyt grube, ścięte w lesie drzewka. Powtarzalność (przez cały poniedziałek i we wtorek rano) tego jednego, jedynego ujęcia budzi podejrzenie, że być może ci atakujący naszą granicę uchodźcy są w swej masie raczej spokojni. Przecież gdyby było więcej takich jak ten z łopatą, to rządowi (i wojskowi) operatorzy nie omieszkaliby ich sfilmować i pokazać publiczności... A może człowiek z łopatą był jedyny, ale pokazany kilkadziesiąt razy miał się stać nową ikoną „uchodźcy-agresora"?

Ikony ikonami, a ludzie, którzy podjęli dramatyczną decyzję opuszczenia swojego kraju, cierpią. Do tej podróży zmusiły ich rozmaite okoliczności: niektórych wojna, zagrożenie życia, innych bieda, brak perspektyw. Wiemy, że zostali oszukani. Zapłacili za pomoc w wyjeździe, jechali z nadzieją i podobnie jak Polacy, którzy się dają nabierać na fałszywe propozycje pracy, nagle znaleźli się w pułapce.

Pytam, czego możemy od nich oczekiwać? Że widząc 15 tysięcy uzbrojonych Polaków zawrócą, kupią powrotne bilety i odlecą do krajów, z których uciekli? Wiemy, że nie, bo białoruskie służby nie pozwolą im zawrócić. Gdzie mają iść? Ich los nikogo nie interesuje. Unia, NATO, nasz rząd, wszyscy wielcy nie martwią się o nich, ale o granice. Jedyny komunikat, jaki otrzymują, brzmi: „Daliście się zwabić w pułapkę, nie ma dla was miejsca w wielkiej, chrześcijańskiej Europie. Teraz sobie zamarzajcie na śmierć w Białorusi. Umrzyjcie, a my będziemy mieli święty spokój. My i bez was mamy dosyć własnych zmartwień i niewiele nas obchodzi los jakiegoś zrozpaczonego człowieka z łopatą".

Drogi Czytelniku, a co Ty byś zrobił, znalazłszy się w takiej sytuacji?

©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na spotkanie autorskie z księdzem Adamem Bonieckim

O nowej książce **„Dobro. Jak być optymistą w trudnych czasach"** porozmawia z Anną Wacławik-Orpik.

Środa, 1 grudnia, godz. 18.00, Muzeum POLIN.

Bezpłatne wejściówki dostępne na stronie www.polin.pl i w kasach muzeum w dniu wydarzenia. Podczas spotkania będzie możliwość kupienia książki oraz wydawnictw „Tygodnika Powszechnego".

znak

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

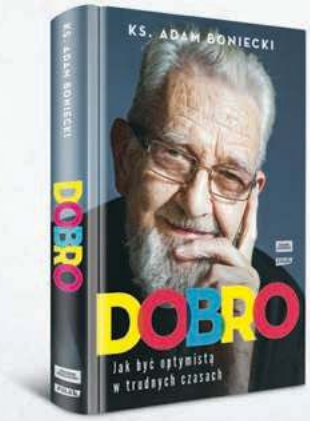

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Trzęsienie ziemi obiecanej
ROZMOWA Z MARCINEM DUMĄ, BADACZEM OPINII I RYNKU:
PiS patrzy na Polskę, której już nie ma. Jego wyborcy czują się i myślą jak klasa średnia.

42 Czasem je odzyskujemy
NATALIA OJEWSKA Z BOR I PIBOR (SUDAN POŁUDNIOWY)
W Jonglei, największym stanie Sudanu Południowego, porwania dzieci to społeczna trauma. Próby ich odszukania mogą być szansą na pogodzenie grup etnicznych.

56 Malowanie Ziemi na zielono
AGATA KAŹMIERSKA
Szczyt klimatyczny ONZ w Glasgow miał pomóc zapobiec katastrofie. Ale zamiast globalnego porozumienia jest seria bezzębnych obietnic.

35 Duszpasterstwo niewidzialnych
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU
Na potrzeby uchodźców i migrantów w Izraelu Kościół reaguje natychmiast – najpierw działa, potem legalizuje. Priorytetem jest ludzkie życie, a nie dobre układy z władzą.

72 Udomowieni
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ PASIEKĄ, ANTROPOLOŻKĄ:
Nacjonalizmem przesiąknięte są nawet bardzo krytyczne wobec narodowców media. Relacja między „nacjonalizmem na sterydach" a „codziennym nacjonalizmem" jest dużo bliższa, niż nam się wydaje.

86 Hydraulik na milisekundy
ŁUKASZ LAMŻA
W wielu grach występują niedające się ominąć dialogi. Gracze już dawno zorientowali się, że darem od niebios jest dla nich język japoński. A w „Zeldzie", po szczegółowym porównaniu ośmiu wersji językowych, okazało się, że najlepsze tempo ma lektorka niemiecka.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // NATALIA OJEWSKA // KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET // BECK DIEFENBACH / REUTERS / FORUM // ADAM MUSIAŁ // JEFF J MITCHELL / GETTY IMAGES

6 Wobec czwartej fali
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Trzęsienie ziemi obiecanej
ROZMOWA Z MARCINEM DUMĄ, BADACZEM OPINII I RYNKU

26 Przecież tu chodzi o dzieci
MAŁGORZATA NOCUŃ: *Kiedy system zwróci na nas uwagę? – pyta lekarz pediatra. I sam odpowiada: – Musi dojść do tragedii. Dzieci zaczną umierać w domach, zrobi się medialny szum*

28 Jak Fidel z Franciszkiem
MARCIN CHODUŃ: *Nigdy nie widział niczego szczególnego w swojej twarzy. Aż pewnego dnia znajoma powiedziała: „Przecież ty wyglądasz zupełnie jak papież Franciszek!”*

WIARA

32 Życie matki
ARTUR SPORNIAK: *W sytuacji, gdy ciąża stanowi zagrożenie życia, dochodzi do dramatycznego konfliktu wartości. Kościół nadal nie ma dobrego pomysłu, jak go rozwiązać*

35 Duszpasterstwo niewidzialnych
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

38 Synowie wolności
MAGDALENA KRYSIŃSKA-KAŁUŻNA: *Oddzielani siłą od rodziców, wynaradawiani, wykorzystywani – to los nie tylko dzieci kanadyjskich ludów tubylczych. Także dzieci duchoborców*

TEMAT TYGODNIKA

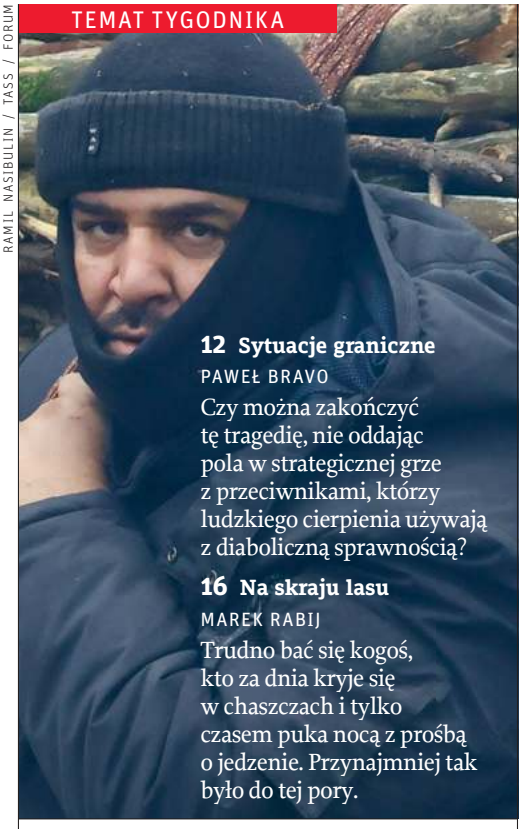

RAMIL NASIBULIN / TASS / FORUM

12 Sytuacje graniczne
PAWEŁ BRAVO
Czy można zakończyć tę tragedię, nie oddając pola w strategicznej grze z przeciwnikami, którzy ludzkiego cierpienia używają z diaboliczną sprawnością?

16 Na skraju lasu
MAREK RABIJ
Trudno bać się kogoś, kto za dnia kryje się w chaszczach i tylko czasem puka nocą z prośbą o jedzenie. Przynajmniej tak było do tej pory.

DODATEK SPECJALNY

61 Nagroda Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera

FELIETONY

31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK
55 TOMASZ STAWISZYŃSKI **84** JAN KLATA
85 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: NA GRANICY PO STRONIE BIAŁORUSKIEJ, 8 listopada 2021 r.
FOTO: VIKTOR TOLOCHKO / SPUTNIK / EAST NEWS

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

ŚWIAT

42 Czasem je odzyskujemy
NATALIA OJEWSKA Z BOR I PIBOR (SUDAN POŁUDNIOWY)

48 Moja Ameryka wciąż się sypie
ROZMOWA Z CHARLIEM LEDUFFEM, AUTOREM KSIĄŻEK O KONDYCJI USA: *W fabrykach samochodów zarabiają o połowę mniej niż 20 lat temu*

51 Póki my żyjemy
MONIKA ANDRUSZEWSKA *o froncie ukraińsko-rosyjskim*

NAUKA

56 Malowanie Ziemi na zielono
AGATA KAŹMIERSKA

HISTORIA

68 Irlandzkie stulecie
PEADAR DE BURCA: *Sto lat temu zakończył się jeden konflikt – i rozpoczął kolejny*

KULTURA

72 Udomowieni
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ PASIEKĄ, ANTROPOLOŻKĄ

76 Nim oko zbieleje
MACIEJ TOPOLSKI: *Gapić się znaczy pytać: dlaczego się ode mnie różnisz? Być obiektem gapienia znaczy pytać: co cię tak zaciekawiło? A przede wszystkim: co jest ze mną nie tak?*

80 Pokot, pokuta i żal
KAJETAN PROCHYRA: *Sygnalista wchodzi do lasu z drżącymi dłońmi. Gra JAGD – requiem dla dzikich zwierząt*

82 Biesiada z tyranią
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „DAU. Natasza”*

84 Kuchnia czasów pandemii
LEKTOR *o książce „Kuchnia towarzyska i uczuciowa” Andy Rottenberg i przyjaciół*

ZMYSŁY

86 Hydraulik na milisekundy
ŁUKASZ LAMŻA *gra na czas*

Rosyjska ruletka
Moskwa nerwowo reaguje na zapowiedź wprowadzenia wobec Białorusi nowych sankcji, a zwłaszcza plany zamknięcia ruchu granicznego. Jednocześnie eskaluje kryzys, by ugrać swoje – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Miesiąc w nauce
Po co człowiekowi sen? Co pozostawiła po sobie woda na Marsie? I czy da się naukowo badać miłość od pierwszego wejrzenia?
Na przegląd wydarzeń naukowych miesiąca zaprasza **ŁUKASZ LAMŻA**
powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

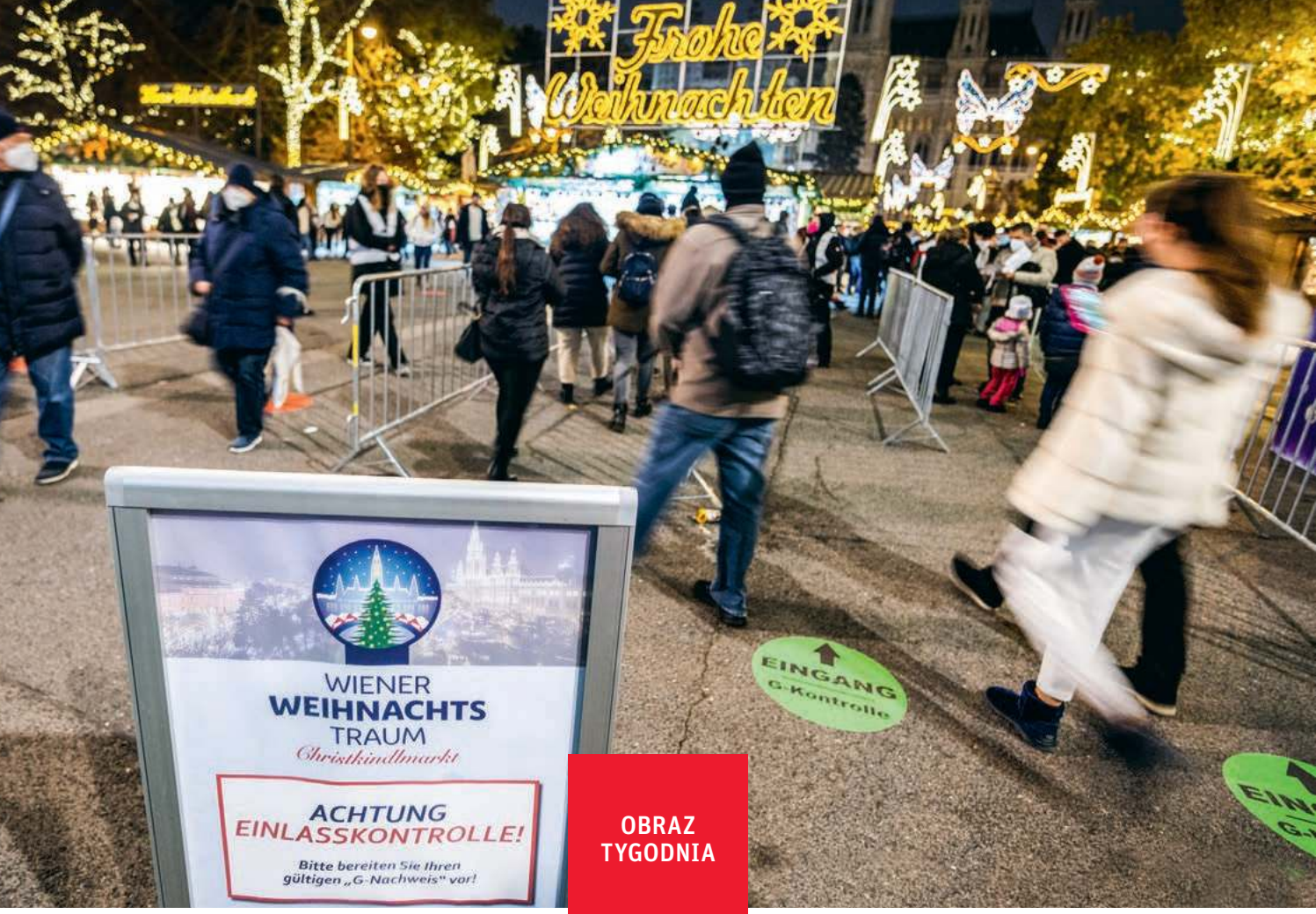

OBRAZ TYGODNIA

WOBEC CZWARTEJ FALI

Mutacja Delta uderza w Europie Środkowej, choć nie wszędzie z równie fatalnymi skutkami. Po nowe koło ratunkowe sięga Austria: lockdown dla niezaszczepionych.

WOJCIECH PIĘCIAK

Jest gorzej, niż się spodziewaliśmy. Nie tylko w Polsce, także w Niemczech, Austrii, Czechach, Rumunii, Bułgarii, na Ukrainie i Słowacji, w krajach bałtyckich. Sądziliśmy, że szczepienia zniwelują kolejne uderzenie pandemii. Może zbyt ufaliśmy? Ale przecież były ku temu przesłanki. O ile od lipca w Wielkiej Brytanii wskaźniki infekcji mutacją Delta rosły, o tyle w dalszych miesiącach Delta okazała zjadliwość głównie w zachodniej części Europy: scenariusz brytyjski powtarzał się na Półwyspie Iberyjskim, we Francji i Włoszech, ale dalej już nie. Była to różnica w porównaniu z zimą 2020/21 (gdy mutacja Alfa bardzo szybko przeorała kontynent) i to dawało nadzieję.

Do czasu. Dziś czwarta fala uderza w naszą część Europy. Jej dynamika niepokoi. W Niemczech notuje się po 45-50 tys. infekcji dziennie – tyle nie było tu od początku pandemii. W niektórych miejscach łóżka covidowe są zapełnione, system jest na granicy wydolności. Na intensywnej terapii leżą w większości niezaszczepieni, choć np. w Bawarii, gdzie jest bardzo źle, 30 proc. umierających to osoby zaszczepione (głównie starsze; u nich po pół roku od przyjęcia drugiej dawki spada poziom przeciwciał, jeśli nie przyjmą dawki trzeciej).

Równocześnie w kolejnych krajach coraz powszechniej zarażają się też zaszczepieni. Nawet jeśli większość nie choruje ciężko,

Aby wejść na otwarte już jarmarki bożonarodzeniowe, w Austrii trzeba okazać zaświadczenie o szczepieniu lub przebyciu covidu; posiadanie wyniku testu już nie wystarcza. Wiedeń, 12 listopada 2021 r.

skala zjawiska jest tak duża, że wywołuje konsternację, a często również pytanie (także wśród osób niebędących antyszczepionkowcami) o skuteczność szczepień, w tym o sens przyjęcia trzeciej dawki.

Odpowiedzią niech będzie porównanie. O ile wzrost liczby zakażeń jest wspólny dla krajów naszego regionu, o tyle statystyki zgonów są już różne, a liczba zmarłych ma związek z odsetkiem zaszczepionych. Choć w Niemczech (83 mln mieszkańców i 68 proc. zaszczepionych) zakażeń jest tak dużo, umiera kilka razy mniej ludzi niż rok temu (ostatnio po 160-230 zgonów dziennie). Na drugim biegunie są Ukraina (40 mln ludzi), Bułgaria (7 mln) i Rumunia (19 mln), gdzie zaszczepionych jest odpowiednio 19, 23 i 30 proc., i gdzie śmiertelność jest dramatyczna. Średnia za ostatni czas to odpowiednio 700, 170 i 350 osób dziennie (w Rumunii krzywa już trochę opada po tym, jak wcześniej było tam po 500 zmarłych dziennie).

Zależność ta nie jest zresztą czymś odkrywczym: już latem w Wielkiej Brytanii odnotowano, że za wysokimi znów liczbami zakażeń nie idą proporcjonalnie wysokie liczby zgonów – zmarłych było (i jest) kilka razy mniej niż rok temu.

To czyni różnicę. Stąd też reakcje rządów: obok apeli o szczepienie się (także trzecią dawką), kolejne wprowadzają ograniczenia w sferze publicznej dla niezaszczepionych. Najdalej idzie Austria, gdzie notuje się dziennie ok. 13 tys. infekcji (to tak, jakby w Polsce było ich 55 tys.): od 15 listopada w kraju obowiązuje lockdown dla niezaszczepionych (nie dotyczy dzieci poniżej 12. roku życia). Osoby niezaszczepione, które nie przeszły covidu, mogą wyjść z domu tylko w sprawach egzystencjalnych, przy czym ich stacjonarną obecność w pracy od 7 listopada regulują rygorystyczne przepisy: muszą poddawać się wielokrotnie w tygodniu testowi. Już sama zapowiedź tych przepisów spowodowała kolejki chcących poddać się szczepieniu. Można sądzić, że teraz się wydłużą.

„Ryzyko zakażenia się jest w przypadku osób zaszczepionych o 70 proc. mniejsze niż u osób niezaszczepionych, a ryzyko ciężkiego przebiegu jest mniejsze nawet o 95 proc." – w ten sposób kanclerz Alexander Schallenberg uzasadniał wprowadzenie lockdownu. Czy znajdzie naśladowców? ©℗

GEORG HOCHMUTH / AFP / EAST NEWS

Głos opozycji słychać coraz słabiej

KAROLINA LEWICKA

Po rocznym okresie z sondażami zastygłymi na niesatysfakcjonującym poziomie ok. 30 proc. PiS – za sprawą kryzysu granicznego – zaczął od lata powoli odbudowywać poparcie. W obliczu zagrożenia, podkreślanego ze wszech miar przez rządzących, społeczeństwo coraz liczniej gromadzi się „wokół flagi".

W pewnym momencie wydawało się jednak, że PiS przedobrzył, czyniąc z migrantów – na słynnej konferencji ministrów Błaszczaka i Kamińskiego – terrorystów i zoofilów. Jednak w sukurs przyszedł polskiemu rządowi Alaksandr Łukaszenka, znacznie zaostrzając sytuację na naszej granicy.

Dziś można odnieść wrażenie, że ów kryzys stanowi dla rządzących – oprócz oczywistych zagrożeń – kolejne „polityczne złoto", a im dłużej będzie się tlił, tym dla nich lepiej. Pewnie dlatego PiS podbija ten bębenek, używa wojennej retoryki i początkowo odżegnywało się od jakiejkolwiek międzynarodowej pomocy. Jarosław Kaczyński mówił w Święto Niepodległości, że „tylko od nas zależy, czy damy sobie radę", a wtórował mu premier, nakazując ufność wyłącznie we własne siły.

Sytuacja opozycji staje się coraz trudniejsza. Kryzys na granicy sprawił, że także część elektoratu KO, Polski 2050 czy PSL-u wspiera politykę rządu. Opinia publiczna reaguje na obrazy, a na ekranach telewizorów koczującą w Usnarzu Górnym grupkę osób z dziećmi i kotem zastąpiły tłumy „młodych mężczyzn". Ta fraza i zapętlony przez TVP obraz mężczyzny z łopatą, atakującego graniczne zasieki, uruchamiają ponownie antyimigranckie klisze. Teraz dodatkowo wzmocnione odwołaniem do historycznych traum związanych z Rosją, bo za plecami Łukaszenki stoi przecież Putin. W tej sytuacji opozycja nie może nawet pisnąć słowa krytycznie o działaniach PiS-u, ponieważ od razu staje się piątą kolumną. Kaczyński nie bez powodu wspomniał 11 listopada o agentach i froncie wewnętrznym.

Przeciwnym władzy partiom (z wyjątkiem skłonnej przyjmować uchodźców Lewicy) pozostaje balansować między, jak to ujął Donald Tusk, etyką odpowiedzialności a etyką moralności. Z jednej strony opowiadają się za bezpiecznymi granicami, z drugiej apelują o pomoc ludziom błąkającym się po lasach i bagnach. Ten drugi głos brzmi jednak coraz słabiej. ©

Mandat za życzenie Żydom śmierci

KIEPSKĄ PASSĘ MA PREZYDENT Kalisza Krystian Kinastowski. Na początku roku zasłynął remontem gabinetu w urzędzie za 200 tys. zł oraz zakupem ekskluzywnego volvo, a teraz jest w sporej mierze odpowiedzialny za antysemicki skandal, jaki wybuchł w związku z demonstracją zorganizowaną w Kaliszu przez nacjonalistę i piewcę Putina, Wojciecha Olszańskiego.

Ani prezydentowi, ani nagrywającemu całe zdarzenie przedstawicielowi magistratu nie przyszło do głowy, aby rozwiązać tę manifestację – nawet wtedy, gdy przekroczyła ona wszelkie granice wolności słowa. Kinastowski tłumaczył potem, że nie podjął takiej decyzji, gdyż obawiał się, iż mieszkańcy Kalisza mogliby ucierpieć. Nie dodał tylko, czy chodzi mu o przypadkowe ofiary zamieszek, czy o tych kaliszan, którzy razem z Olszańskim krzyczeli „śmierć Żydom". Olszański, ubrany w mundur własnego projektu, po doliczeniu do wrogów Polski mniejszości seksualnych nabił na dzidę i spalił na scenie kopię statutu kaliskiego – to przywilej nadany Żydom w 1264 r., gwarantujący im osobne sądownictwo, bezpieczeństwo, swobodę handlu i podróżowania.

Tam na miejscu manifestacja zakończyła się... dwoma mandatami w wysokości 100 zł. Na szczęście szef MSWiA Mariusz Kamiński zdążył wyrazić swe oburzenie i zapowiedział surowe kary za to „haniebne zgromadzenie", zanim sprawa trafiła na biurko izraelskiego szefa dyplomacji, Jaira Lapida. Ten zaś, po słowach potępienia, zaznaczył swe zadowolenie z szybkiej reakcji naszych władz i zapowiedzi śledztwa w prokuraturze (w poniedziałek zatrzymano trzy osoby, w tym Olszańskiego). Warto też zauważyć, że oświadczenie w sprawie incydentu złożyli przedstawiciele kaliskich wspólnot chrześcijańskich, a także biskup Rafał Markowski, przewodniczący Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem Konferencji Episkopatu Polski.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Kataster ma sens

MAREK RABIJ

Rząd nie planuje wprowadzenia podatku katastralnego. Informacje, które pojawiają się w przestrzeni medialnej, są nieprawdziwe" – taki wpis pojawił się 10 listopada na oficjalnym koncie Ministerstwa Finansów na Twitterze. Nazajutrz resort Rozwoju i Technologii poinformował właściwie o tym samym. Właściwie, bo obok rytualnych zapewnień, iż nie ma „planów wprowadzania podatku katastralnego", komunikat potwierdził, że rząd widzi „problem tzw. pustostanów, czyli mieszkań kupowanych wyłącznie w celach inwestycyjnych, które nie są przez nabywcę ani zamieszkiwane, ani wynajmowane. Analizujemy też kwestię tzw. *flippingu*, czyli nabywania mieszkań w celu ich szybkiej sprzedaży po wyższej cenie".

Podatek katastralny, naliczany procentowo od wartości nieruchomości, to od lat jeden z największych straszaków w polskiej polityce. W Europie Zachodniej stawki daniny katastralnej wahają się w przedziale od 0,25 proc. do 1 proc. wartości lokalu. Dla przeciętnego polskiego mieszkania wartego obecnie ok. 380 tys. zł podatek katastralny w takim samym przedziale wyniósłby 950-3800 zł. Dziś posiadacze takich nieruchomości oddają za nie fiskusowi około stu złotych rocznie, dlatego też łatwo jest straszyć opinię publiczną perspektywą dorocznych drakońskich danin.

Warto jednak spojrzeć na ten problem z innej perspektywy. Brak podatku katastralnego przyciąga do Polski spekulantów, którzy w dużych miastach windują ceny nieruchomości do poziomu, przy którym przeciętna rodzina nie może sobie pozwolić na zakup własnego mieszkania. W niektórych budynkach oddawanych aktualnie do użytku niemal połowę lokali stanowią te kupione przez fundusze inwestycyjne lub zamożnych graczy indywidualnych, którzy uciekają w nieruchomości przed inflacją. Wielce prawdopodobne, że podatek od lokali inwestycyjnych stanowić będzie forpocztę zmian, które poskutkują wprowadzeniem w Polsce powszechnej daniny katastralnej. Zamiast emocji, które sprytnie podsycają zainteresowani utrzymaniem *status quo*, na tym etapie bardziej przyda się nam jednak społeczna presja na rządzących, aby umiejętnie skalibrowali potencjalne stawki. Wysokość podatku katastralnego może zależeć nie tylko od lokalizacji czy typu budynku, ale przede wszystkim od liczby posiadanych nieruchomości. Dom lub mieszkanie służące po prostu „do mieszkania" nie muszą i nie mogą kosztować podatnika tyle samo, ile nieruchomość, która przynosi zyski. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

SŁUCHAJ JENO

„Rozmowa kretyna z dwoma zdemenciałymi archeocelebrytkami" – to facebookowy komentarz doradcy prezydenta, p. Tadeusza Deszkiewicza, do wywiadu TVN24 z uczestniczkami powstania warszawskiego. „Zazwyczaj wypowiadam się na tematy związane z kulturą i bardzo rzadko emocje sprawiają, że przekraczam granice kultury" – wyjaśnił, przeprosił i skasował wpis.

PONO NASI

Nowy obyczaj nagradzania własnych sponsorów lansuje „Gazeta Polska Codziennie": KGHM został jednym z laureatów organizowanego przez czasopismo konkursu, którego była partnerem.

BIJĄ W TARABANY

Komisja heraldyczna przy MSWiA i Polskie Towarzystwo Heraldyczne oceniły przygotowany w resorcie kultury projekt nowych symboli narodowych. Według „Rzeczpospolitej" specjaliści nie zostawili suchej nitki na przestawieniu drugiej i trzeciej zwrotki w hymnie oraz na pomyśle pozłocenia nóg orła przy braku pozłocenia przepaski na skrzydłach.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

MARSZ, MARSZ

W Warszawie, mimo sądowych orzeczeń o jego nielegalności, odbył się tzw. Marsz Niepodległości. Jeśli nie liczyć spalenia flagi Niemiec, a także portretu Donalda Tuska („Palę się do jeszcze cięższej pracy na rzecz Niepodległej!" – skomentował lider PO), impreza przebiegła spokojnie.

„Za życiem": fikcyjna ustawa

RAPORT Najwyższej Izby Kontroli nie pozostawia na PiS-owskiej ustawie „Za życiem" suchej nitki. Program, który miał wspierać rodziny wychowujące dzieci z niepełnosprawnością, dużo kosztuje i nie działa.

Sejm uchwalił ustawę w 2016 r. Choć przez pięć lat wydano 86 proc. zabudżetowanych na jej realizację środków, to nie zbadano nawet, ilu rodzinom należy udzielić wsparcia. W mikroskali wszystko to wiedzieliśmy. A., moja koleżanka, zdecydowała się urodzić syna z wielowadziem. Słyszy od pediatrów: „Takie chore pani rodziła? Trzeba było usunąć, bo nie mamy pani jak pomóc". W ramach „Za życiem" obiecano budowę trzydziestu ośrodków pediatryczno-neonatologicznych, powstało sześć. W aż czterech województwach nie można skorzystać z opieki paliatywnej i hospicyjnej. A. ma wsparcie hospicjum domowego, ale raczej w nagłych przypadkach (ciężka infekcja, spadki saturacji etc.). Rehabilitację, lekarzy specjalistów opłaca z własnej kieszeni. Robi tak każda matka, bo jedynie ok. 7 proc. przewidzianych ustawą środków wydano na rehabilitację pacjentów z najcięższymi schorzeniami. Obiecywano także pomoc psychologiczną, rodzice „po przejściach" mierzą się z depresją, zespołem stresu pourazowego. NIK podaje, że objęto nią 0,5 proc. potrzebujących. A. wspiera znajoma psycholożka. Kiedy zapytałam A. o obiecanego „asystenta rodziny", roześmiała się. Raport wykazał, że to czysta fikcja.

NIK opracowała rekomendacje mówiące, co trzeba zrobić, by „Za życiem" działało. To nic nowego: mówią o tym od lat rodzice chorych dzieci, działacze NGO zajmujący się pomocą niepełnosprawnym. Nikt ich nie słucha. I tym razem inaczej nie będzie.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

LICZBA TYGODNIA

607,85 zł

Tyle powinno wynosić miesięcznie świadczenie 500 plus, żeby zachować swoją siłę nabywczą z 2016 r., kiedy program wchodził w życie – wynika z analizy Instytutu Emerytalnego. Na razie rząd nie ma zamiaru tych środków waloryzować, od stycznia 2022 r. wypłatami pieniędzy na dzieci będzie się zajmował ZUS, a nie – jak dotychczas – samorządy.

Więzień Saakaszwili

GRUZJA, ta niegdysiejsza prymuska demokracji, marząca o przystąpieniu do NATO i Unii Europejskiej, już drugi rok grzęźnie w kryzysie, a badacze miejscowej polityki ostrzegają, że chyba tylko w czasach wojny domowej z początku lat 90. XX w., zaraz po odzyskaniu niepodległości, kraj był podzielony tak głęboko jak dziś.

Od jesiennych wyborów parlamentarnych sprzed roku Gruzja pozostaje w politycznym paraliżu. Opozycyjny dziś Zjednoczony Ruch Narodowy, który rządził w Tbilisi za prezydentury Micheila Saakaszwilego (2003-2012), nie uznał ich wyników – wygranej konkurencyjnego Gruzińskiego Marzenia. „Narodowcy" nie uznali też niedawnych wyborów samorządowych, również przez nich przegranych. Przepaść między obozami „marzycieli" (popiera ich ok. 40 proc. wyborców) a „narodowców" (ok. 30 proc. poparcia) pogłębił jeszcze Saakaszwili, który przed wyborami samorządowymi postanowił wrócić z wygnania i wesprzeć „narodowców". Były prezydent, wcześniej skazany zaocznie w dwóch procesach o nadużycia władzy, został aresztowany, a od 1 października prowadzi w więzieniu głodówkę. Zapowiada, że przerwie ją, jeśli władze przeniosą go ze szpitala więziennego do cywilnego. Od wyborów i aresztowania Saakaszwilego opozycja organizuje manifestacje (na zdjęciu: protest przed więzieniem w mieście Rustawi, gdzie przebywa Saakaszwili).

ZURAB KURTSIKIDZE / EPA / PAP

„Ludzie tracą wiarę, że w Gruzji uda się kiedyś znów przeprowadzić normalne wybory" – obawia się Mamuka Żgneti z Instytutu Wartości Europejskich Gruzji. Inny badacz, Paata Zakareiszwili ostrzega, że kraj został podzielony na dwa wrogie obozy, które ani myślą się pogodzić, a w walce o pierwszeństwo zamiast wyborczych kart gotowe są sięgnąć po przemoc. ©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w serwisie Strona Świata na stronie internetowej „TP".

Unijny spór o energetykę atomową

NIEMCY, AUSTRIA, PORTUGALIA, Dania i Luksemburg są przeciwne dalszemu rozwojowi energetyki jądrowej. Tych pięć krajów podpisało deklarację w tej sprawie podczas szczytu klimatycznego w Glasgow. „Energia jądrowa nie jest dobrym rozwiązaniem w kluczowej dekadzie walki z kryzysem klimatycznym – mówiła Svenja Schulze, szefowa niemieckiego ministerstwa środowiska. – Jest zbyt niebezpieczna, droga i powolna w budowie".

Antyatomowy sojusz powstaje w istotnym momencie: Unia Europejska pracuje nad nową klasyfikacją źródeł energii, a jeden z głównych sporów toczy się o to, czy energetyka atomowa zostanie uznana za element zrównoważonego rozwoju, czyli – mówiąc potocznie – za zieloną energię. Przeciw są głównie Niemcy, które konsekwentnie realizują plan odejścia od atomu. Ostatni reaktor zostanie tam wygaszony w 2022 r., a energię z atomu tymczasowo zastąpi węgiel i gaz, co na pewno spowoduje zwiększenie niemieckich emisji.

Po drugiej stronie sporu jest kilkanaście państw pod przywództwem Francji (w tym Polska i inne kraje Europy Środkowej). Francja ma największy na świecie udział atomu w tzw. miksie energetycznym (ponad 70 proc.). Niedawno prezydent Macron, ubiegający się o reelekcję, przedstawił program inwestycyjny państwa: Francja zamierza przeznaczyć ponad miliard euro na budowę nowych reaktorów (małych, nowej generacji). Niemcy i Francja, zwykle najbliżsi unijni partnerzy, stoją więc tu po przeciwnych stronach. Komisja Europejska odkłada decyzję, choć w październiku jej przewodnicząca Ursula von der Leyen mówiła: „Potrzebujemy więcej inwestycji w odnawialne źródła energii, ale też stabilnego źródła, jakim jest atom, a w okresie przejściowym – także gaz".

Ostateczna decyzja będzie mieć poważne skutki. Stawką jest nie tylko wizerunek energetyki jądrowej i dalsze decyzje państw (także Polski, która planuje uruchomić pierwszy reaktor do 2030 r.), ale też sytuacja na rynkach finansowych, bo unijna decyzja w tej kwestii wpłynie na strategie największych funduszy inwestycyjnych, finansujących rozwój energetyki. ©℗ KRZYSZTOF STORY

Mordowanie pamięci

ANNA ŁABUSZEWSKA

Prokuratura Generalna Federacji Rosyjskiej wystąpiła do Sądu Najwyższego o zlikwidowanie stowarzyszenia Memoriał, pod zarzutem „systematycznego naruszania przepisów o agentach zagranicznych". Rozprawa odbędzie się 25 listopada.

Zdaniem prokuratury Memoriał nie stosuje się do nakazu poprzedzania swych publikacji formułą, że jest „agentem zagranicznym". „To polityczna decyzja, mająca na celu zniszczenie stowarzyszenia zajmującego się badaniem historii represji politycznych i obroną praw człowieka" – napisał Memoriał w oświadczeniu. Zdaniem stowarzyszenia nie ma podstaw do likwidacji, gdyż organizacja – choć nie zgadza się z przyznanym jej odgórnie statusem „agenta" – spełnia wszelkie wymogi.

Memoriał, od lat nękany przez władze procesami i grzywnami, położył wielkie zasługi w badaniu zbrodni stalinowskich i przywracaniu pamięci o ofiarach. Dzięki niemu anonimowe miliony, zmielone w machinie represji, odzyskują twarze i nazwiska. „Memoriał to sumienie Rosji" – wołają aktywiści obywatelscy, protestujący przeciw jego likwidacji.

Uniemożliwienie mu pracy wpisuje się w politykę przemilczania tych wydarzeń z historii, które nie pasują władzom do tworzonych przez nie mitów o rosyjskim/sowieckim mesjanizmie, bezgrzeszności przywódców, wielkich zasługach służb mundurowych. Parlament przyjmuje ustawy przewidujące penalizację za publikowanie treści niezgodnych z odgórną wersją historii. Dotyczy to także wspominania o sojuszu Stalina i Hitlera w latach 1939-41.

Likwidacja Memoriału – jeśli zostanie przeprowadzona – będzie oznaczać zamordowanie pamięci i otworzy drogę do prześladowań za samo mówienie prawdy o historii. Putin boi się nie tylko teraźniejszości i przyszłości, ale także przeszłości. ©

Więcej na:
labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PO PRZERWIE

Kanonizacja Karola de Foucauld (1858-1916) odbędzie się w Watykanie 15 maja przyszłego roku – podała Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych. Wraz z francuskim konwertytą i pustelnikiem, który wywarł znaczący wpływ na Kościół XX w., kanonizowanych zostanie sześć osób. Będzie to pierwsza kanonizacja po ponad rocznej przerwie spowodowanej pandemią.

W DRODZE

Papież 12 listopada odbył prywatną pielgrzymkę do Asyżu, by w bazylice Matki Bożej Anielskiej spotkać się z ok. 500 ubogimi, modlić się z nimi, wysłuchać świadectw sześciu osób (m.in. uciekinierki z Afganistanu i Polaka, który wyszedł z alkoholizmu). Franciszek wszystkim podarował plecaki z biodegradowalnych materiałów z odzieżą, a w drodze powrotnej niespodziewanie zjadł obiad w klasztorze klarysek w Vallegloria.

VATICAN MEDIA

Z CZASEM

Amerykańscy księża wyświęcani w kolejnych dekadach są coraz bardziej konserwatywni – wynika z badań zaprezentowanych w magazynie „The America Spectator". Pozamałżeńskie zachowania seksualne uważa za zawsze grzeszne 89 proc. księży wyświęconych od 2000 r., 61 proc. wyświęconych w latach 90., 51 proc. wyświęconych w latach 80. i 37 proc. wyświęconych przed 1981 r. Podobny rozkład dotyczy opinii nt. aborcji i zachowań homoseksualnych.

Reforma Kościoła: przykład idzie z Francji

ARTUR SPORNIAK

Nie da się wymienić w tym krótkim komentarzu wszystkich decyzji podjętych przez francuskich biskupów po ogłoszeniu miesiąc temu raportu Niezależnej Komisji ds. Wykorzystywania Seksualnego w Kościele. Najważniejszą z pewnością jest uznanie instytucjonalnej odpowiedzialności francuskiego Kościoła za akty przemocy seksualnej wobec nieletnich, jakich dopuszczali się duchowni. Biskupi zdecydowali się też przekształcić powołaną przez nich instytucję odszkodowawczą w Niezależny Krajowy Organ ds. Uznania i Zadośćuczynienia, na czele którego stanęła świecka prawniczka – była rzeczniczka praw dziecka. Na poczet ewentualnych odszkodowań umożliwiono sprzedaż majątku konferencji episkopatu i samych diecezji.

Episkopat poprosił papieża o wysłanie do Francji wizytacji. Zewnętrzny audyt ma doprowadzić do stworzenia wspólnych metod pracy strony kościelnej z ofiarami. Biskupi zobowiązali się do współpracy z prokuraturą. Osoby pracujące z małoletnimi będą regularnie weryfikowane. Ma powstać krajowa karta dobrego postępowania w ochronie małoletnich. Utworzony zostanie także ogólnokrajowy kanoniczny trybunał karny.

Biskupi zaprosili świeckich do rad kościelnych na różnych szczeblach (m.in. w zarządach seminariów ma być przynajmniej jedna kobieta). Powołano dziewięć grup roboczych, które mają m.in. wypracować sposób włączania świeckich w prace konferencji biskupów.

Dlaczego we Francji mógł powstać raport niezależnej komisji, a w Polsce nie? I konsekwentnie: dlaczego francuscy biskupi są w stanie zdecydować się na takie reformy, a polscy nawet o tym nie myślą? Odpowiedzi dostarczają statystyki. Katolicy we Francji są już w mniejszości i biskupi rozumieją, że reformy to „być albo nie być" dla Kościoła w tym kraju. Ich polscy koledzy wciąż mogą się łudzić, że ich to nie spotka. ©℗

Granica: rząd traci poparcie Kościoła

POLSKI EPISKOPAT krytykuje działania rządu. Apel abp. Stanisława Gądeckiego („Bez względu na okoliczności przybycia migrantów, potrzebują oni naszego wsparcia duchowego i materialnego") ma inną moc i rangę, niż wcześniejsze słowa pojedynczych biskupów czy rad episkopatu: opublikowany został 8 listopada, w dniu gwałtownego zaostrzenia sytuacji.

Po raz pierwszy episkopat przeciwstawia się tak mocno polityce prawicowego rządu, którego działania dotąd większość hierarchów wspierała lub życzliwie akceptowała. Można by rzec, że wobec wielu wypowiedzi papieża, a przede wszystkim wobec nakazu Ewangelii, biskupi nie mieli innego wyjścia. Ale mogli unikać zajęcia stanowiska lub poprzestać na apelach sprzed tygodni. Pewnie dlatego osadzona w nowym kontekście reakcja tak oburzyła prawą stronę opinii publicznej: padły słowa o zdradzie czy wręcz zakamuflowane groźby („zapamiętamy nazwiska tych biskupów").

Oliwy do ognia dolał abp Paul Gallagher, watykański „minister spraw zagranicznych", który na konferencji prasowej w Moskwie, stojąc u boku Siergieja Ławrowa, powiedział: „Wiemy, że Kościół w Polsce jest krytyczny wobec władz i zachęca do bardziej humanitarnego i elastycznego podejścia". Słowa poszły w świat i nikt już nie ma wątpliwości, że sposób, w jaki polski rząd próbuje rozegrać graniczny konflikt, nie znajduje poparcia w Kościele. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

List z Watykanu

ZA POLICZEK dla Benedykta XVI uznali tradycjonaliści list prefekta Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, abp. Arthura Roche, do prymasa Anglii i Walii kard. Vincenta Nicholsa. Znalazły się w nim słowa, że liturgia trydencka została „uchylona przez papieża Pawła VI" jako niezgodna z posoborową teologią. Tymczasem uznawali ją – jako „nadzwyczajną formę rytu" – zarówno Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI (który zezwalał na nią praktycznie bez ograniczeń). Słowa prefekta uznano więc za nieprawdziwe i godzące w nauczanie Kościoła.

Z listu dowiadujemy się też, że Franciszek, zakazując liturgii trydenckiej, nie przewidział implikacji tej decyzji i kongregacja musi teraz wyjaśniać wątpliwości. Jak również, że dykasteria ma w archiwach bałagan – prefekt przyznaje, że nie słyszał o przywileju z 1971 r., na jaki powołuje się prymas (na jego mocy katolicy w Anglii mogli mieć „trydencki pogrzeb") i prosi o przysłanie kopii indultu, którego w jego dykasterii nie udało się znaleźć. ©℗ EA

KULTURA W SKRÓCIE

OPOWIEŚCI Z DORSET

Wiosną przyszłego roku przeczytamy książkę poetycką brytyjskiej piosenkarki PJ Harvey. Jak zapowiada wydawca, poemat „Orlam" został napisany w zanikającym dialekcie z Dorset, którego używają mieszkańcy nielicznych wiosek w południowo-zachodniej Anglii, skąd pochodzi autorka.

JAMES BOND POWRÓCI

Po Jefferym Deaverze, Williamie Boydzie czy Anthonym Horowitzu, którzy kontynuowali cykl powieści Iana Fleminga o Jamesie Bondzie, nadszedł czas na zmiany. Posiadające prawa do serii wydawnictwo HarperCollins zaprosiło do napisania nowej trylogii o uniwersum agenta 007 Kim Sherwood. To pierwsza kobieta, która dołączyła do autorów serii.

MIASTO FILMU

Gdynia, w której co roku odbywa się Festiwal Polskich Filmów Fabularnych, została przyjęta do Sieci Miast Kreatywnych UNESCO jako Miasto Filmu. Tytuł otrzymały także francuskie Cannes oraz rumuńskie Kluż-Napoka.

DIAMENTOWA BATUTA

Polskie Radio uhonorowało w tym roku „Diamentową Batutą" dyrygentkę Agnieszkę Duczmal. Wręczeniu nagrody w Studiu Koncertowym im. Witolda Lutosławskiego towarzyszył występ Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia „Amadeus" pod kierunkiem laureatki.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „Tygodnika" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

MATERIAŁY PRASOWE

MAURYCY GOTTLIEB, ŻYD I POLAK – tę podwójność podkreślał. „Autoportretem w stroju polskiego szlachcica" (1874) odpowiedział na antysemityzm, z którym się spotkał w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych – był jej pierwszym żydowskim studentem. Obraz odnalazł się niedawno w Nowym Jorku, a nowy właściciel przekazał go w depozyt Muzeum POLIN. Od 11 listopada można go tam oglądać. Uczeń Matejki, zafascynowany Rembrandtem – czego świadectwem arcydzielny „Ahaswer" w Sukiennicach – umarł w 1879 r. mając zaledwie 23 lata, w Krakowie, dokąd wrócił po pobycie w Wiedniu, Monachium i Rzymie, by pod kierunkiem mistrza malować cykl obrazów z dziejów polskich Żydów. Nie zdążył, ale to, co stworzył, czyni go jednym z największych naszych artystów XIX wieku. ©℗ TF

Nowe leki na COVID-19: co o nich wiemy?

JESIEŃ PRZYNIOSŁA dwa nowe, obiecujące specyfiki przeciw COVID-19. Firma Pfizer ogłosiła właśnie wyniki badań nad paxlovidem. Lek ten składa się z inhibitora proteazy, który hamuje działanie jednego z enzymów kluczowych dla namnażania się wirusa, oraz niewielkiego dodatku ritonaviru, który spowalnia metabolizm tej pierwszej substancji, by mogła ona działać dłużej. Producent deklaruje 89-proc. spadek liczby hospitalizacji.

Mniejszą skuteczność wykazuje molnupiravir, lek produkowany przez firmę Merck, którego zasada działania polega na wywoływaniu błędów w kodzie genetycznym wirusa, co prowadzi do jego rozpadu. Lek nie powinien działać na ludzki genom, ale na tym etapie nie należy podawać go kobietom w ciąży. Wśród badanych liczba hospitalizacji spadła o połowę.

W obu badaniach leczenie rozpoczynano w bardzo wczesnej fazie infekcji. W przypadku paxlovidu lek podawany był do 3 dni od pierwszych objawów. Tymczasem wiele przypadków COVID-19 rozpoznaje się później, gdy objawy są dla pacjentów bardziej niepokojące. Nie ma pewności, czy skuteczność wtedy się utrzyma. Podobne czasowe ograniczenie występuje w przypadku oseltamiwiru – leku na grypę. Jego skuteczność jest bardzo wysoka do 48 godzin od pierwszych objawów, później jego stosowanie nie przynosi efektów. Niestety w praktyce trudno rozpoznać grypę tak szybko.

Nowe leki stosowane są doustnie w postaci tabletek. Są więc tańsze, wygodniejsze, a ich podanie nie wymaga hospitalizacji. Dotychczasowe preparaty o wysokiej skuteczności, takie jak przeciwciała monoklonalne, podawane są wyłącznie dożylnie. Choć planowane jest również opracowanie w postaci tabletki najskuteczniejszego wśród aktualnie dostępnych terapii remdesiwiru.

W przeciwieństwie do niektórych terapii przeciwciałami, nowe leki mają być efektywne wobec kolejnych wariantów wirusa, ponieważ działają na elementy, które nie podlegają tak szybkim zmianom jak białka powierzchniowe. Ze względu na nowe warianty wirusa niektóre terapie przeciwciałami, np. bamlanivimab, zostały wycofane w USA. Z kolei badania nad amantadyną, lekiem stosowanym przez niektórych polskich lekarzy bez wskazań, wciąż trwają, a pierwsze wyniki spodziewane są w drugim kwartale 2022 r. © BARTOSZ KABAŁA

SYTUACJE GRANICZNE

Czy można zakończyć tę tragedię, nie oddając pola w strategicznej grze z przeciwnikami, którzy ludzkiego cierpienia używają z diaboliczną sprawnością?

PAWEŁ BRAVO

RAMIL NASIBULIN / TASS / FORUM

W obozie migrantów po stronie białoruskiej. 10 listopada 2021 r.

Ta granica jest również granicą Europy. Stoję dziś u waszego boku jako Europejka. Chcę wyrazić współczucie migrantom, których fałszywe obietnice wpędziły w rozpaczliwą sytuację. Pierwszym naszym priorytetem jest zapewnienie porządku na zewnętrznej granicy Europy. Dziękuję wam, że jesteście w tych czasach europejską tarczą" – te słowa Ursuli von der Leyen brzmią bardzo na czasie. Tyle tylko, że wypowiedziała je półtora roku temu, na początku marca 2020 r., w miasteczku Kastanies na granicy grecko-tureckiej.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej poleciała tam z nagłą wizytą wraz z szefem Rady Europejskiej i przewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Potem odwiedziła też Bułgarię, której premier osobiście obwiózł ją samochodem terenowym wzdłuż granicy. Dziś jednak mało kto pamięta tę podróż i wydarzenia, które ją sprowokowały. W tamtych dniach rozkręcała się pandemia – wielu miało zresztą liderom Unii za złe, że latają do Grecji i gorączkowo negocjują z Turcją, zamiast zajmować się koronawirusem. A Komisja Europejska zapewniała, że ma wszystko pod kontrolą, bo przecież jej zespół roboczy do spraw covidu zbiera się aż raz na tydzień.

Choć więc wydarzenia z marca 2020 r. mogą wydać się nam odległe czasowo, warto je przypomnieć, by zrozumieć podstawową sprawę: kontekst, w jakim przyszło Polsce wstąpić na scenę tak długo już rozgrywanego przez Europę dramatu migracyjnego. A także to, dlaczego ten etap procesu zasadniczo różni się od poprzednich.

Nad rzeką Évros

Pod koniec lutego 2020 r. Turcja przestała nagle blokować przebywającym na jej terytorium uchodźcom (głównie z Syrii) i migrantom dostęp do swej lądowej granicy z Grecją. Według niektórych źródeł tureccy funkcjonariusze wręcz pomagali przybyszom przemieścić się nad graniczną rzekę Évros. Nikt nie zna liczby tych, którzy zaczęli forsowanie słabo wówczas zabezpieczonych przejść, szacuje się ich na kilka tysięcy. Doszło do dramatycznych starć, walki wręcz; było kilka ofiar. Po odparciu pierwszego naporu Grecy szybko zwiększyli liczebność straży granicznej i wojska, a premier ogłosił (bez podstawy prawnej), że na miesiąc zawiesza przyjmowanie jakichkolwiek wniosków azylowych.

W ciągu kilku dni nastąpiła także szybka interwencja instytucji europejskich, której kulminacją była wspomniana wizyta. Podjęto też rozmowy. Najpierw przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel poleciał do Ankary, a potem Recep Tayyip Erdoğan do Brukseli, gdzie udało się „zaktualizować" – wedle życzeń tureckiego prezydenta – umowę, którą Unia ma z Turcją od 2016 r. (zapewnia Ankarze znaczne środki w zamian za to, że zatrzymuje u siebie większość z kilkumilionowej rzeszy syryjskich uchodźców).

Kontekstem geopolitycznym szantażu Erdoğana – tego słowa używali wtedy politycy europejscy – była sytuacja w Syrii, gdzie w regionie Idlib nastąpił atak sił rządowych (wspieranych przez Rosję) na oddziały tureckie (obecne tam i wspierające syryjską opozycję). Świat wówczas poważnie liczył się z eskalacją konfliktu obu państw. Jak udało się jej zapobiec, to materiał na osobną historię. Dość pamiętać, że dramatyczne sceny nad rzeką Évros były „tylko" elementem szerszej rozgrywki, odbywającej się ponad głowami nie tylko komendanta posterunku straży granicznej w Kastanies, ale też przywódców najważniejszych państw Unii.

Zapalne pogranicze

W ciągu kolejnych kilkunastu miesięcy Grecja zbudowała wzdłuż Évros wysoki stalowy płot najeżony elektroniką i dostała od Unii znaczne środki na wzmocnienie straży granicznej. Konsekwentnie przy tym ignorowała żądania niektórych instytucji brukselskich i działaczy organizacji pozarządowych, aby wypłatę tych pieniędzy uzależnić od powołania niezależnej od rządu instytucji monitorującej działania greckich pograniczników.

Żądania te miały pewien niebłahy powód: od lat istnieją udokumentowane świadectwa brutalności funkcjonariuszy odpierających migrantów – nie tylko na granicach lądowych, także na morzu. Jedno ze śledztw dziennikarskich kilku rzetelnych mediów europejskich i amerykańskich wykazało, że w ostatnim roku wysłane przez Unię łodzie patrolowe Fronteksu (unijnej agencji ds. granicy zewnętrznej, która korzysta z „pożyczonych" przez inne kraje Unii ludzi i ich sprzętu) biernie asystowały przy dramatycznych push-backach, a w jednym przypadku nawet wspierały sprzeczne z konwencjami działania Greków, którzy odholowywali łodzie pełne ludzi, nieraz z rozmysłem uszkadzając ich silniki i stery. Inne międzynarodowe śledztwo dziennikarskie, którego wyniki ogłoszono tej jesieni, wykazało, iż tym razem na lądzie Grecy i Chorwaci korzystają z najemników w nieoznakowanych mundurach, aby bić i przepędzać migrantów, którzy przekroczyli granicę.

Bo niezależnie od kwot, które Unia płaci autokratycznemu tureckiemu prezydentowi, bałkańskim szlakiem i tak idą ludzie – tyle tylko, że ich liczba pozostaje poniżej poziomu ↦

↦ wzbudzającego medialną uwagę. Nie ma stamtąd ikonicznych zdjęć, a tamtejsze media społecznościowe nie są na co dzień pełne emocji (oburzenia lub nienawiści), ale tamto pogranicze pozostaje w stanie zapalnym.

Na węzłowych szlakach

Chroniczny stan zapalny, ciche łamanie praw i konwencji, dotkliwe dla przybyszów, ale nieowocujące narodową debatą – coś takiego dzieje się nieustająco także na innych szlakach migracyjnych. Nawet w środku Europy, w okolicy Calais: w 2016 r. Francuzi zlikwidowali tam wielkie obozowisko ludzi usiłujących przedrzeć się do Anglii, którego potoczna nazwa „Dżungla" mówi wszystko o panujących tam warunkach. Ludzie nie zniknęli, tyle że francuskie władze robią wszystko, aby nie było ich widać – aby nie tworzyli dużych skupisk, które drażnią wyborców i ściągają uwagę mediów. Szacuje się, że w 2021 r. próbę przekroczenia kanału La Manche podjęło ok. 20 tys. ludzi. Jednej nocy na początku listopada francuska straż przybrzeżna musiała uratować 400 osób z tonącej jednostki.

Wyjątkowo drastyczne łamanie praw i konwencji za przyzwoleniem państw Unii (można tak powiedzieć, skoro płacą one znaczne sumy podwykonawcom tej brudnej roboty) odbywa się regularnie w Libii, przez którą kiedyś prowadziła główna trasa śródziemnomorska. Ta, która generowała zauważane także w Polsce dramaty, np. na wodach wokół Lampedusy.

Kilka lat temu populistyczny włoski minister Matteo Salvini próbował swojej wersji push-backu: kazał zamykać porty przed statkami organizacji, które ściągają ludzi z tonących łodzi (albo też – tak brzmiał jego zarzut – ściągają ich z łodzi nie czekając, aż pojawi się zagrożenie, więc wykraczają poza misję ratowania). Spotkało się to z protestami w jego własnym rządzie i z bojkotem poleceń ze strony instytucji, a w końcu sam Salvini stanął za to przed sądem. Dlatego finansowanie libijskich watażków, którzy swoimi sposobami, ale z dala od kamer zatrzymają większość ludzi gotowych na przeprawę, okazało się skuteczne także dla morale europejskiej opinii publicznej.

Outsourcing na granicy

Tej opinii publicznej, która w równym stopniu nie chce autoryzować okropności czynionych bezbronnym ludziom, co nie umie zaakceptować faktu, że na dłuższą metę nic nie zatrzyma wędrówki ludów. I że rozsądniej byłoby z góry stworzyć jasne reguły przyjmowania przybyszów, zwłaszcza że w wielu krajach Europy brakuje rąk do pracy (także w Polsce, czego dowodem skuteczna integracja licznych ukraińskich imigrantów na rynku pracy).

> Ceną za okiełznanie ksenofobii wśród zachodnich wyborców jest łamanie prawa i tłumienie odruchów solidarności wobec bliźniego w potrzebie.

Tymczasem wiele krajów – z Niemcami na czele – utrzymuje fikcję, że owszem: można się u nich osiedlić i zacząć nowe życie, ale głównie wtedy, gdy jest się uchodźcą zagrożonym śmiercią i represjami, a więc korzystając z przewidzianego konwencjami prawa do azylu. Dać schronienie prześladowanemu – tak, bardzo to wzniosłe. Mówić głośno o tym, że warto posunąć się nieco w swoim dobrobycie, by zmieścili się także ludzie, których gnębi zwykła bieda (uprzednio przesianych w ten sposób, by zjawili się ci, którym najłatwiej będzie podjąć pracę) – to z kolei propozycja tyleż logiczna, co przy obecnych nastrojach w Europie gwarantująca przegrane wybory.

Dlatego instytucje Unii, a także najważniejsze jej państwa przymykają oko na to, że najpierw Grecy, a dziś również Polacy podejmują się swego rodzaju outsourcingu, chroniąc Europę przed nadmierną liczbą migrantów – tych „niesłusznych" – łamiąc przy tym prawo, a na pewno wbrew odruchowi solidarności i nakazowi wsparcia bliźniego w potrzebie. To ważny, choć nie jedyny czynnik okiełznania ksenofobii w zachodnich elektoratach, a więc utrzymania z dala od władzy partii populistycznych, stawiających kwestię migracji na ostrzu noża.

„Aspis" znaczy „puklerz"

Dziś – w odróżnieniu od sytuacji z marca 2020 r. – Polskę odwiedził z poparciem tylko Charles Michel, przewodniczący Rady Europejskiej. Ale gdyby polskie władze nie miały z Brukselą tak bardzo na pieńku, można by się spodziewać, że przewodnicząca von der Leyen, która w Kastanies specjalnie użyła mającego podniosłe homeryckie skojarzenia greckiego słowa *aspis*, dziś nauczyłaby się, jak się wymawia po polsku słowo „puklerz".

Jest to bowiem – niezależnie od wyjątkowo konfliktowego momentu w relacjach Polski z Unią – bardzo europejski moment naszych dziejów. Moment, w którym istotne zagrożenie dla stabilności państwa stanowi wprost część kontynentalnej, a nawet globalnej układanki. Bez względu na to, ile razy polski premier czy jego faktyczny zwierzchnik będą zapewniać, że to hybrydowa agresja na Polskę, i że poradzimy sobie sami, bez Unii.

Owszem, w pewnym sensie radzimy sobie, mając dość ludzi i sprzętu – choć akurat pomoc finansowa Unii oraz np. logistyczne i inżynieryjne wsparcie Niemiec przy budowie granicznego płotu czyniłyby istotną różnicę. Ale jednak to kanclerz Angela Merkel dzwoni do Władimira Putina z interwencją w sprawie wydarzeń, które dzieją się na polskiej (a także litewskiej i łotewskiej), a nie na niemieckiej granicy. Od zdolności polskich władz do przyjęcia i wykorzystania europejskiej solidarności w tej sprawie – jakkolwiek podszytej interesami – zależy, na ile ten zapowiadający się na tygodnie czy miesiące stan zapalny na naszej wschodniej granicy będzie eskalował, oddziałując niszczycielsko także na nas.

Nowy konflikt Rosja–Zachód

Bo że stan ten potrwa długo, na to wskazują inne jeszcze przesłanki niż tylko ogólne stwierdzenie, że jesteśmy w epoce kolejnej wędrówki ludów. Na polskiej granicy rozgrywa się bowiem – kosztem cierpień i życia migrantów, kosztem traumy okolicznych mieszkańców i kosztem ostrej polaryzacji naszego społeczeństwa – także nowa odsłona starcia Rosji z Europą i szerzej: z Zachodem.

Mamy po drugiej stronie do czynienia nie tylko z nową i bardziej bezwzględną formą szantażu migracyjnego, a także nie tylko z Alaksandrem Łukaszenką, który metodę Erdoğana podniósł na wyższy poziom, organizując sobie napływ ludzi z Bliskiego Wschodu, których normalnie na Białorusi w ogóle by nie było. Za Łukaszenką stoją – o czym dobrze wiedziała

Merkel, dzwoniąc na Kreml, a nie do Mińska – Putin i strategiczne rozgrywki Rosji.

Można spekulować na temat naczelnych i pośrednich celów tych rozgrywek, a także na temat natury zależności Łukaszenki od Putina oraz tego, do jakiego stopnia okrucieństwa są oni gotowi się posunąć. Ale dla zrozumienia tego, co czeka Polskę w najbliższym czasie, oraz jak przejść najlepiej przez ten zły okres, te rozważania – choć ważne – nie są decydujące.

Dyktatury są cierpliwe

Najważniejsze jest tutaj coś, co znamy z doświadczenia (historycznego i dzisiejszego, patrz trwająca już osiem lat wojna rosyjsko-ukraińska): Rosja umie zachować tzw. strategiczną cierpliwość. Umie latami podtrzymywać w stanie większej lub mniejszej intensywności, a czasem nawet zamrożenia, konflikty i pozostawiać uśpione, lecz gotowe do wzbudzenia fronty – godząc się przy tym ze znacznymi ofiarami w ludziach, także swoich.

Putin czerpie przy tym z przewagi, jaką ma każda autokracja, która nie musi się liczyć ze swoją opinią publiczną. W krajach demokratycznych bowiem i politykom, i społeczeństwom brakuje zwykle owej strategicznej cierpliwości. W czasach pokoju obywatele krajów demokratycznych oczekują od rządzących – pod karą odesłania ich w ławy opozycji – szybkich rozwiązań każdego problemu i zagrożenia. Jedną z podstawowych obietnic zachodniego ładu demokratyczno-liberalnego po II wojnie światowej była zdolność tworzenia iluzji, że da się wygasić każdy konflikt i uniknąć sytuacji nie do rozwiązania.

Mając w pamięci tę cierpliwość i bezwzględność, trzeba się liczyć z tym, że jeśli tylko Łukaszenka z Putinem tego zechcą, „import" migrantów do Mińska nie ustanie. Że Mińsk i Moskwa nie zaprzestaną – jeśli uznają, że to się opłaca – instrumentalnego traktowania tych migrantów, którzy koczują przy granicy i krążą po lasach – choćby mieli umierać.

Trzeba się liczyć też z tym, że Unia nie będzie w stanie zablokować wszystkich połączeń białoruskich linii lotniczych Belavia i odciąć ich od wynajmowanych samolotów (długo z tym zresztą zwlekano, np. Irlandia protestowała, że to narazi na straty firmy leasingowe zarejestrowane u niej). Całkowite uszczelnienie szlaku białoruskiego wymagałoby bowiem współpracy i przychylności Rosji, jako jedynej zdolnej skutecznie nacisnąć np. na władze w Damaszku – połączenie lotnicze Syria–Białoruś jest dziś bowiem kluczowe.

> Kreml umie zachować strategiczną cierpliwość. Odpowiedzią musi być postawa „z Rosją tylko na twardo". Bez płotu się nie obejdzie.

Jeśli ów „import" migrantów do Mińska faktycznie miałby w pewnym momencie ustać, to z tego samego powodu, który był kiedyś podstawą działania politycznych „jastrzębi" po zachodniej stronie przez cały czas trwania zimnej wojny: Kreml musi uznać, że po drugiej stronie napotyka na determinację, która może przetrwać kalkulacje oparte na cierpliwości i na dobrze rozpoznanych słabościach przeciwnika.

Konflikt na wyniszczenie

Katalog tych słabości – a precyzyjniej: czynników uznanych za słabość przez reżimy w Moskwie i Mińsku – otwierają dwie, których Europa w żaden sposób nie może się pozbyć. Pierwsza to odruch pomocy i wsparcia, żywy także w zsekularyzowanych społeczeństwach (będący może po części echem dawnej lewicowej utopii, a może jednak chrześcijaństwa). Drugi to potrzeba – fundamentalna w demokracjach – przejrzystości władz publicznych, w połączeniu z prawem do kwestionowania działań władzy oraz z konfliktową naturą demokracji parlamentarnej.

Z tego względu, prowokując na granicy działania polskich służb, o których można założyć, że będą szeroko oprotestowane, Białoruś i Rosja wprowadzają nasze życie publiczne w stan rozedrgania, a w wielu Polakach wywołują – co znajduje silne odbicie medialne – chronicznego kaca moralnego (stan przedłużającej się frustracji i bezradności wobec przemocy i okrucieństwa, jakie rozgrywają się na Podlasiu).

To trudniej wymierne, ale równie dotkliwe dla państwa na dłuższą metę straty. Można by rzec: straty hybrydowe. Jak wygląda długofalowe oddziaływanie takich czynników, można – przy wszystkich różnicach – zaobserwować w społeczeństwie ukraińskim, borykającym się z wojną w Donbasie; wojną wyniszczającą nie tylko materialne, lecz także po ludzku, emocjonalnie [o sytuacji na froncie donieckim piszemy w dziale Świat – red.].

Cena twardości

Na widok tego, co dzieje się w Kuźnicy, nawet dla pobieżnego obserwatora jest już jasne, że za plecami budzących współczucie ludzi stoi aparat zimnej, iście sowieckiej z ducha przemocy. W tym sensie rząd PiS może wypominać z satysfakcją oponentom, że jego determinacja w niewpuszczaniu nikogo była słuszna, i że dziś nawet z serca unijnych instytucji płynie wypowiadane półgębkiem wsparcie, opatrzone tylko rytualnym zastrzeżeniem, że należy oczywiście dochować praw i konwencji.

Postawa „z Rosją tylko twardo" ma w sobie dużo racji niezależnie od tego, czy konkretne działania polskich służb są sprawne. I niezależnie od tego, że owa twardość nie musi się kłócić z przejrzystością i z wpuszczeniem pod pewnymi warunkami dziennikarzy do strefy stanu wyjątkowego.

Postawa taka nie wyczerpuje jednak sprawy. Choćby ze wspomnianego już powodu, że na dłuższą metę życie w sąsiedztwie tak bezsensownej i tak udokumentowanej tragedii ludzkiej – jeśli np. Białorusini umożliwią migrantom założenie osiedli szałasowych i zimowanie (z czym związane będą ofiary) – zaczyna działać demoralizująco na społeczeństwo, osłabiając w jakiejś jego części przywiązanie do państwa, tak często postulowane przez rządzących.

Co teraz?

Czy można zatem ograniczyć lub zakończyć tę tragedię, nie oddając pola w strategicznej grze z przeciwnikami, którzy cudzego cierpienia umieją używać z diaboliczną wręcz sprawnością? Czy da się przyjąć ludzi już ściągniętych przez Łukaszenkę nad polską granicę tak, aby nie zachęcać go do powtarzania tego manewru w nieskończoność?

Wymagałoby to spełnienia kilku warunków, po kolei coraz trudniejszych. Polskie władze musiałyby być na tyle suwerenne wobec własnej narracji, aby ↦

↦ zmianę dotychczasowej pozycji potraktować jako objaw siły, a nie słabości. Po drugie, pełną solidarność dla takiej operacji humanitarnej musiałyby wyrazić inne kraje, zwłaszcza Niemcy, do których chce dotrzeć większość z obecnych za płotem ludzi (trudno zakładać, że polskie ośrodki mają stać się dla nich *de facto* więzieniem).

Wreszcie, po europejskiej stronie powinny pojawić się czytelne sygnały determinacji. Jednym z nich jest płot graniczny, dziś przez wielu niesłusznie wyśmiewany jako środek rodem z dawnych epok. Im szybciej on powstanie – a więc z udziałem europejskich funduszy oraz istniejącego w paru krajach *know how* – tym lepiej.

Ćwiczenie z roztropności

Innym płotem – mentalnym, trudniejszym do postawienia i utrzymania – jest konsensus wszystkich sił politycznych (a zwłaszcza polityków mających autorytet w pewnych segmentach społecznych, np. Donalda Tuska po stronie opozycji), że więcej ludzi wpuścić nie można, choć na pewno się pojawią. Być może w znacznie mniejszej liczbie, jeśli rychło wprowadzone sankcje utrudnią Mińskowi przemytniczy proceder na dużą skalę, ale się pojawią. Musimy umieć znieść świadomość, że taka determinacja – także kosztem naszej dobrej samooceny, wbrew oczywistym ludzkim odruchom – jest warunkiem pokonania większego zła, uniknięcia jeszcze liczniejszych ofiar.

Ćwiczenie z roztropności politycznej mogłoby się bardzo przydać na niedaleką przyszłość: im bardziej Polska będzie stawać się celem, a nie tylko tranzytem dla uchodźców/ /migrantów, tym przybywać będzie trudnych decyzji, co z tymi ludźmi dalej robić (nawet jeśli nie będzie ich popędzał karabinem Łukaszenka czy Putin). Żaden z krajów Zachodu nie oferuje tu spójnej odpowiedzi – raczej różne warianty półśrodków i obłudnego odsuwania rozstrzygnięć na potem.

©℗ PAWEŁ BRAVO

Współpraca WOJCIECH PIĘCIAK

Tekst ukończono 15 listopada o godzinie 10.

Na skraju lasu

MAREK RABIJ

Trudno bać się kogoś, kto za dnia kryje się w chaszczach i tylko czasem puka nocą z prośbą o jedzenie. Przynajmniej tak było do tej pory.

Wiesz, co z ludźmi robi dźwięk policyjnej syreny? – pyta Renata, zerkając w okno, jakby chciała się upewnić, czy za chwilę także pod jej domem nie zacznie migać niebieskie światło. – W mieście w kółko coś jeździ na sygnale, prawda? Tutaj do niedawna od razu dzwoniło się po krewnych, sprawdzić, czy wszystko gra, ale teraz co chwila coś gna, jak nie na syrenach, to z włączonymi kogutami. I tak dobrze, że nie mieszkamy przy głównej drodze.

Z okien domu Renaty widać tory. Nieco dalej majaczy nowoczesny dworzec. Do niedawna było bezpośrednie połączenie z Warszawą, które zdaniem mieszkańców przywróciło ich stacji należytą pozycję. Przez lata Czeremcha była przecież jednym z ważniejszych węzłów kolejowych na Podlasiu. Trzy kilometry stąd, za przejściem w Połowcach, jest już Białoruś.

– Pociąg do Warszawy zdjęli z rozkładu. Ponoć to sezonowe, ale i tak ludzie podejrzewają, że przez migrantów. Nawet jeśli to nieprawda, to atmosfera teraz taka, że każda plotka od razu chwyta.

W Czeremsze i okolicy mieszka jakieś cztery tysiące osób. A raczej, jak zauważa z przekąsem Renata, z grubsza dwa razy po dwa tysiące. Kryzys migracyjny poróżnił sąsiadów.

– Zaczęło się od zbiórki dla nich w ośrodku kultury. Część mieszkańców ją wsparła, ja też, ale część zbojkotowała i na dodatek zarzuciła dyrektorce, że się w mediach lansuje, zamiast pomagać głodnym dzieciom z naszej wsi. A że u nas głodnych dzieci raczej nie ma, bo w ogóle dzieci tu niewiele? Nie szkodzi. Proboszcz na kazaniach też powtarza, że polityka to jedno, ale chrześcijański obowiązek nakarmić głodnych. Te, co potem na Facebooku najgłośniej psioczą na uchodźców, w kościele oczywiście w pierwszym rzędzie i tylko mu potakują. Nie zaczynam już nawet rozmów na te tematy, można się tylko pokłócić. Poza tym mamy teraz większe problemy w domu.

Karolina, córka Renaty, wkrótce skończy 10 lat.

– Wiozłam ją do dentysty do Hajnówki i córcia nagle mówi, żebyśmy jechały lasami przez Werstok i Orzeszkowo, a nie główną drogą na Dubicze Cerkiewne. Pytam czemu, a ona, że ją przerażają te kontrole, radiowozy z migającymi światłami. Zwłaszcza po zmroku. Wtedy zaczęłam się jej przyglądać baczniej. Przelatuje helikopter, a ona się chowa pod kołdrę. Idziemy do sklepu, przy kasie żołnierze z karabinami, a ona za mnie, zesztywniała ze strachu. Synek ma pięć lat i na widok żołnierzy aż się do nich rwie, ale on pewnych rzeczy jeszcze nie rozumie. Karolcia jest na tyle duża, żeby z rozmów dorosłych wyłapać strach.

– Boicie się?

– A kto się nie boi, żyjąc trzy kilometry od białoruskiej granicy? Gdybyś mi we wrześniu powiedział, że możliwe będą takie rzeczy jak ostatnio pod Kuźnicą, tobym cię wyśmiała. Teraz boję się nawet myśleć, co tu może się zdarzyć za dwa tygodnie.

WOJTEK RADWAŃSKI / AFP/ EAST NEWS

Patrole policyjne w okolicach Hajnówki, 11 listopada 2021 r.

Numer 44

Środa, 10 listopada. Dwa dni po eskalacji pod Kuźnicą. Mieszkańcy Czeremchy od rana podają sobie wiadomość, że kilka kilometrów od nich, na wysokości przysiółka Bobrówka, granicę przekroczyło kilkudziesięciu migrantów. Trwa obława, Straż Graniczna schwytała już większość, ale kilku uciekinierów miało jakoby wejść do jednego z domów. W jednej wersji wydarzeń zziębnięci migranci po prostu zapukali z prośbą o coś ciepłego do zjedzenia. W innych mowa o wtargnięciu albo wprost o sterroryzowaniu wyrwanych ze snu mieszkańców. Pada nawet numer domu: 44. Dopiero po kilku godzinach Straż Graniczna podaje, że tej nocy istotnie doszło do nielegalnego przekroczenia granicy przez trzy kilkudziesięcioosobowe grupy migrantów. Tyle że nie koło Czeremchy. Jeśli migranci rzeczywiście włamali się do jakiegoś domu, to nie do numeru 44 w Bobrówce.

– Ja się na początku denerwowałam, jak ktoś takie pierdoły roznosił po wsi – zapewnia 66-letnia Halina z sąsiadującej z Czeremchą Kuzawy. – Teraz przywykłam. Nie słucham, bo nie wiadomo, kto mówi prawdę. Ostatnio pod Arhelanem [sklepy popularnej na Podlasiu sieci handlowej – red.] dwóch takich, co jeszcze z moją córką do szkoły chodziło, chwaliło się, że znaleźli w lesie przy granicy chłopaka ze złamaną nogą. Białorusini go tak urządzili, przerzucając przez ogrodzenie. A oni go przerzucili nad tym płotem z powrotem na Białoruś. Już miałam spytać, czy matka ich tak nauczyła, ale pomyślałam, że mogą przecież zmyślać. Obok wojsko stało, mogli chcieć im zaimponować.

Z migrantami, jak mówi Halina, problem jest tylko taki, że chodzą po nocy.

– A ja jak się wybudzę, to już do rana nie zasnę. Dlatego na wieczór nastawiam termos z posłodzoną herbatą, żeby była gotowa, jak przyjdą. Jak zostanie coś z obiadu, to też im daję, ale my bardzo wieprzowinę lubimy, a dla nich to przecież grzech. Sąsiadka też opowiadała, że się u niej jeden mielonymi zajadał, a ona nie umiała mu wytłumaczyć, że to z wieprza.

Migranci najczęściej przychodzą z jeszcze jedną prośbą. O wywiezienie z dala od strefy stanu wyjątkowego.

Halina: – Pokazują pieniądze, nawet po kilkaset euro, ale chyba nikt nie jest tak głupi, żeby się połakomić. Tylko potem ludzie sobie opowiadają, jacy oni bogaci.

Mąż Haliny, Antoni, jak większość mieszkańców, uwielbia zbierać grzyby. Ale w tym roku znajdował nie tylko borowiki. – Maszynki do golenia, gumiaki. Dużo ubrań, w tym prawie nowe. I dokumenty, bilety lotnicze. Dla niektórych to dowód, że uchodźcy na pomoc nie zasługują, bo nie szanują tego, co dostają. No ale co mają zrobić? Do szafy schować poprzednie rzeczy, jak dostaną kolejne?

Zapytać o to nie ma okazji, bo w nocy nie ma na to czasu, a za dnia migrantów nie widać. To tylko telewizja buduje wrażenie, że wystarczy tu wejść do pierwszego lepszego lasu i już się kogoś spotka. Aktywistom łatwiej, bo migranci sami podsyłają im tzw. pinezki z lokalizacją. Aleksander Dackiewicz ze wsi Pogorzeliska koło Białowieży w patrolach aktywistów udziału nie bierze, jedzenie i ubrania zostawia najczęściej przy skrzyżowaniach. Dlatego od początku stanu wyjątkowego migrantów widział tylko trzy razy.

– Raz przy drodze z Białowieży do Hajnówki i raz w samej Hajnówce, ale za każdym razem konwojowała ich już policja. W lesie nie spotkałem ich nigdy, a chodzę po nim niemal codziennie robić zdjęcia.

Pierwsze spotkanie z migrantami miał za to jako tłumacz, gdy o pomoc poprosili go zaprzyjaźnieni policjanci. – Kobieta, chyba Irakijka, zapytała, co to za państwo. Kiedy usłyszała, że Polska, spytała, jak daleko stąd do Niemiec. Była zszokowana, kiedy usłyszała, że 700 kilometrów. Białorusini nakłamali jej, że dojdą piechotą w kilka godzin.

9 października przebywający w pobliżu tej części granicy dostali na telefony komunikat po angielsku, ewidentnie adresowany do tych ukrytych po lasach. Było w nim napisane, że polska granica jest zamknięta, żeby nie wierzyć w to, co mówią Białorusini. I nie brać od nich żadnych tabletek.

– Widocznie nasz rząd się dowiedział, że tamci biedaków czymś szprycują – podejrzewa Antoni.

– Albo chcą nas nastraszyć, żebyśmy im nawet wody podać nie chcieli – dopowiada Halina. – Nie dojdziesz, kto mówi prawdę.

Cztery doby w lesie

Białą tablicę ostrzegającą o granicy stanu wyjątkowego wbito tuż przy ↦

↦ skrzyżowaniu dwóch leśnych traktów i właśnie z jednego z nich wyjeżdża zielona terenówka Straży Granicznej. W środku – funkcjonariusz Straży i żołnierz. W brązowej chustce na głowie, kamizelce taktycznej z zapasowymi magazynkami i karabinkiem Grot w dłoni wygląda groźnie.

– Co pan tu robi? – zaczyna nieufnie strażnik, ale po sprawdzeniu samochodu i przejrzeniu dokumentów łagodnieje, a nawet daje się wciągnąć w krótką rozmowę.

– Ale za tablicę naprawdę radzę się nie zapuszczać. Rozumiem ciekawość, ale przepisy obowiązują i jak się panu trafi służbista...

– A znamy kilku takich – dorzuca ze śmiechem jego uzbrojony kompan.

– No właśnie – ciągnie strażnik. – Złapią i się pan tylko niepotrzebnie wpieprzy w kłopoty, bo uchodźców szukać to nie tutaj. Białorusini wczoraj wszystkich zwinęli z tego odcinka. Potrzymają ich w gospodarstwie agroturystycznym po swojej stronie, podkarmią, dadzą się ogrzać i jutro czy pojutrze pewnie znowu pogonią na druty.

Nawigacja w telefonie pokazuje, że do granicy w linii prostej mamy stąd ok. 2,4 km gęstej puszczy. Z piaszczystej drogi widać coś na góra kilkanaście metrów w głąb.

– Od początku tygodnia dwie grupki próbowały się tędy przedrzeć. Teraz cisza, ale za kilka dni dowalą tutaj setkę ludzi i trzy doby będziemy ich ganiać po lesie – dopowiada żołnierz, podążając za moim spojrzeniem. – Dobra, jedź pan już. Za bardzo się rozgadaliśmy.

Oficjalnie stan wyjątkowy jest świetnie zaplanowaną operacją logistyczną. Policja śpi w czterogwiazdkowych hotelach w Białowieży, do których dostępu nie mają teraz turyści. Żołnierze też są wypoczęci i syci, a siatki z zakupami, które ku konsternacji okolicznych mieszkańców wynoszą ze sklepów spożywczych, służą im jedynie do urozmaicenia czasu wolnego. W rządowej narracji nie ma jednak miejsca na to, o czym coraz głośniej szumi puszcza: że także ludzie postawieni przez państwo na granicy jadą na oparach.

Najgorzej mają pracownicy Straży Granicznej. Wojsko i policja działają w systemie rotacyjnym. Pogranicznicy, rekrutujący się spośród okolicznych mieszkańców i znający las jak własną kieszeń, są na patrolu praktycznie bez przerwy od 2 września, bo bez nich wojsko w puszczy na wiele się nie zda. Nic dziwnego, że część strażników nie wytrzymuje i trafia – lub ucieka – na chorobowe.

– W lesie robi się zimno i mokro – zauważa Katarzyna, żona funkcjonariusza Straży. – No i stres, bo Białorusini rzucają petardy, a ostatnio coraz częściej strzelają w powietrze. Migranci też bywają agresywni. Jednego strażnika niedawno ściągnęli z konia, upadając zrobił sobie coś w plecy. Bywa, że mąż wychodzi do roboty na siódmą rano, wraca do domu o drugiej w nocy, a o siódmej znowu musi być w strażnicy. I tak cztery dni z rzędu, póki się nie uspokoi. A potem jakaś pinda z telewizji wyzywa Straż Graniczną od zbrodniarzy i bydlaków.

Są oczywiście i tacy, którym Katarzyna ręki już nie poda. Wszystko zależy od dowódcy. Jedni ewidentnie lubią wykonywać rozkazy i bez wahania każą wywozić nocą do lasu nawet matki z dziećmi. Inni na patrole biorą z domu zabawki, żeby dać je przerażonym małym migrantom. I pozwalają ich rodzicom skutecznie złożyć wniosek azylowy. Gdyby Katarzyna wierzyła jeszcze mediom, poprosiłaby je, żeby w swoich relacjach dostrzegały takie niuanse, bo ofiarami kryzysu przy granicy są nie tylko migranci.

Zamiast ganiać za nimi po lesie, telewizje mogłyby więc powiedzieć, jak naprawdę jest z odszkodowaniami dla mieszkańców strefy, bo ci, którzy prowadzą tu małe gospodarstwa agroturystyczne, nie dostaną od rządu złotówki rekompensaty. Jak się wynajmuje we własnym domu część pomieszczeń, nie trzeba prowadzić osobnej księgowości, więc ludzie jej nie mają. A rząd mówi, że do wypłaty odszkodowania potrzebne są udokumentowane wpływy z turystyki.

– Mamy i kryzys, i naród podzielony po połowie – zamyśla się Katarzyna. – Z tego lasu nie wyjdzie nic dobrego.

To tylko migranci

Sklepowy wózek sunie z oporem między półkami, bo jedno z kółek się zacina i ściąga w prawo. W środku sezamki w miodzie i kilka paczek z chałwą. Na zimno chałwa jest idealna. Dość szybko

TYGODNIK POWSZECHNY

Zareklamuj swoje wydarzenie w najciekawszym przewodniku „Tygodnika"!

„Włóczykij kulturalny"

Już w środę 24 listopada w „Tygodniku"
jesienny dodatek, a w nim:
rekomendacje teatralne, przegląd wystaw, najciekawsze festiwale
oraz czytadło: włóczęga po małych bibliotekach w niewielkich miasteczkach.

Uwaga! Specjalne ceny dla instytucji kultury – szczegóły pod adresem
reklama@tygodnikpowszechny.pl lub nr. tel. 602 33 17 91 i 602 590 416

Zapraszamy na łamy i do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

się trawi, dostarcza kalorii i substancji odżywczych, a w dodatku nie twardnieje w niskich temperaturach jak czekolada, na której podczas mrozów można połamać zęby. Na koniec kilka zgrzewek z wodą mineralną.

– Co, dla uchodźców? – mruczy kasjerka, nawet nie podnosząc wzroku znad czytnika kodów kreskowych. – Tylko zapakujcie to w niebieskie lub czerwone worki na śmieci. Czarne z dala słabo widać – dodaje, nie czekając na odpowiedź.

Ruszamy w stronę Białowieży. Po kilkunastu kilometrach zatrzymuje nas policjant przy radiowozie zaparkowanym u wylotu leśnego duktu.

– Do „Miejsca Mocy"? – odpowiada ze zdziwieniem na prośbę o przepuszczenie. – Tam to już chyba nie dojedziecie. Ale dobra, spróbujcie.

Nawigacja pokazuje, że do granicy w linii prostej mamy jakieś 3,5 km. Skręcamy w las. Na leśnym parkingu, z którego do „Miejsca Mocy" – polany z głazami narzutowymi, ulubionej przez zwolenników radiestezji – trzeba przejść jeszcze jakieś 900 metrów, tym razem nie ma ani jednego samochodu. Wiatr gra w koronach drzew. Puszcza mruczy swoimi odgłosami.

Dwie paczki z żywnością i wodą zostawiamy przy stole na parkingu. Dwie inne zabieramy, ale po kilkudziesięciu metrach orientujemy się, że idąc do „Miejsca Mocy", oddalamy się od granicy. Niebieskie worki lądują przy ścieżce. Zabierzemy je w drodze powrotnej, żeby przenieść jak najbliżej strefy stanu wyjątkowego.

> W rządowej narracji nie ma miejsca na to, o czym coraz głośniej szumi puszcza: że ludzie postawieni przez państwo na granicy jadą na oparach.

Kilka minut później mijają nas cztery auta z żołnierzami, wypakowane drewnem. Wojskowi odmachują przyjaźnie i znikają za zakrętem.

Wracając do auta nie znajdujemy już niebieskich pakunków.

– Boję się, że eskalacja na granicy szybko zmieni nastawienie tutejszych i służb do migrantów. Ostatnio dawało się odczuć, że nad nieufnością zaczyna górować współczucie. Teraz wszystko to może trafić szlag – zauważa Marzena z Hajnówki. – Bo mieszkańcy pogranicznych wsi mają prawo się bać. Ostatnie 20 lat tutaj to było nieustanne wzmacnianie granicy, przekonywanie, że mieszkamy w strategicznym miejscu dla całej Unii. Teraz ta superważna granica okazuje się tak dziurawa, że może ją przejść nawet przemarznięta matka z dziećmi. A jeśli ona może, to tym bardziej przestępcy lub dywersanci wyszkoleni przez białoruskie służby.

Marzena niemal od początku kryzysu uczestniczy jako wolontariuszka w akcji pomocy migrantom. Nie miała wątpliwości, że tak trzeba. Jej starszy brat siedem lat malował mieszkania w Brukseli. Rodzina, jak mówi, posmakowała wtedy emigracyjnego chleba i umie odcedzić ludzki dramat od polityki. Pytanie, ilu sąsiadów będzie chciało dostrzec tę różnicę.

– Wystarczyło kilka godzin po wydarzeniach w Kuźnicy i nawet TVN zaczął mówić inaczej o migrantach. Przestali nagle być ofiarami, choć Białoruś używa ich jak, nie przymierzając, Niemcy cywilów podczas powstania warszawskiego. Ale ja też nie wiem, jak rozmawiać teraz z mieszkańcami pogranicza, żeby nie pobudzać w nich poczucia zagrożenia i zarazem nie dać im odczuć, że ich obawy są dla nas mało ważne. Są tutaj wsie, w których zostało po 60-70 mieszkańców, głównie staruszków. Kiedy oni słyszą, że koło Białowieży granicę szturmuje setka migrantów, mają prawo nie interesować się niczym poza własnym bezpieczeństwem.

Renata z Czeremchy stawia na stole kolejną herbatę. – Stan wyjątkowy kończy się za niecały miesiąc. Przedłużyć go nie mogą, więc podobno rząd zacznie teraz w naszym regionie intensywnie testować na covid, żeby statystyki zachorowań przy granicy mocno skoczyły. Wtedy ogłoszą stan zagrożenia epidemicznego i znów nas zamkną. Moja córka przez ostatni rok czekała na koniec pandemii, bo się bała, że jej dziadkowie umrą. Teraz się boi, że będzie wojna. Nie wiem, jak ją uspokoić, bo sama się tego boję.

©℗ MAREK RABIJ

Imiona dwójki bohaterów zostały zmienione na ich prośbę.

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Rebeka

Dziewczyna o takim imieniu ze śpiewanej po dziś dzień piosenki, która na początku lat 30. wyszła spod pióra Andrzeja Własta, „w zamyśleniu czeka, aż przyjedziesz po nią sam i zabierzesz ją jako żonę swą, hen, do pałacu bram". Tymczasem biblijna Rebeka wcale nie czeka na księcia z bajki, tylko – dosiadłszy wielbłąda – wyrusza do przyszłego męża. Ma ona zostać połowicą swojego kuzyna Izaaka i – trzeba przyznać – sytuacja nie należy do typowych.

Po śmierci Sary Abraham zostaje sam z synem, którego składał Bogu w ofierze. Możemy sobie wyobrazić, jak straumatyzowany jest Izaak. Przyszły pan młody zostaje bezpiecznie w domu, a do rodziny jego wuja – w poszukiwaniu przyszłej panny młodej – wyrusza zaufany sługa Eliezer. Abrahamowy sługa prosi Najwyższego o pomoc w znalezieniu odpowiedniej dziewczyny i nim kończy modlitwę, już zjawia się Rebeka, „która zrodzona była Betuelowi, synowi Milki, żony Nachora, brata Abrahama" (Rdz 24, 15; Cylkow). To dość wyjątkowa minigenealogia, gdzie jest też miejsce dla babci, a zarazem znak, że Milka – bratanica, a zarazem szwagierka Abrahama i siostra Lota – musiała być nietuzinkową postacią. Ciekawe, jaki wpływ wywarła na swoją wnuczkę. U studni Rebeka poi Eliezera i jego zwierzęta – czyżby odwrócenie męskich i żeńskich ról? Czy naczerpanie dość, by zaspokoić pragnienie zdrożonych wielbłądów, to zadanie na siły młodego dziewczątka? Jako typowe postrzegamy raczej postępowanie w następnym pokoleniu: to mężczyzna – syn Rebeki, Jakub – poi u studni trzódkę pasioną przez jego przyszłą żonę Rachelę.

Rebeka biegnie do domu, by zrelacjonować rodzinie swoje spotkanie z Eliezerem. Biblia mówi, że „opowiedziała w domu matki swojej o rzeczach tych" (wers 28) – ciekawe, że nie „w domu ojca", choć Betuel ma się dobrze, skoro rozmawia z Eliezerem (zob. wers 50). Potem znów dzieje się coś wyjątkowego: Rebeka zostaje zapytana przez brata i matkę, czy zgadza się zostać żoną Izaaka, i brzmi to tak, jakby rzeczywiście miała prawo o tym zdecydować. Wyraża zgodę i gdy odchodzi z domu, dostaje błogosławieństwo: „Siostro nasza! od ciebie niech powstaną tysiące myriadów, a niech zdobędzie ród twój bramę wrogów swoich!" (wers 60). Czy ktoś słyszał wcześniej o błogosławieństwie dla kobiety?!

Przez pierwsze dwie dekady małżeństwa nie bardzo widać perspektywę na te „tysiące myriadów". Gdy w końcu Rebeka jest już w ciąży, głośno wyraża własne odczucia związane z walczącymi w jej łonie dziećmi, a potem jeszcze prosi Najwyższego o wyjaśnienie. Kiedy synowie są już dorośli, a schorowany Izaak gotów na przekazanie pałeczki, Rebeka podejmuje działania, by Jakub wiódł prym w rodzinie. Oto kobieta dynamiczna! ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Król, cesarz, car

Jezus Chrystus królem! A czemu nie cesarzem, carem, prezydentem? Czemu nie zwracamy się do Niego: Wasza Królewska Mość? Czy pobożniej – Wasza Świątobliwość lub Najprzewielebniejszy Panie Zbawicielu? Ubieramy Jezusa w gronostaje i purpury, a może by tak w garnitur, krawat... Dozbrajamy Jezusa i wkładamy Mu do ręki miecz, i dla podkreślenia Jego wszechwładzy nad światem berło z krzyżykiem, a na głowę wkładamy koronę. Czyżbyśmy chcieli tymi akcesoriami ziemskiej, politycznej władzy przykryć fakt, że już raz, nie symbolicznie, ale rzeczywiście, Jezusa ukoronowaliśmy po to, by z Niego zadrwić, ośmieszyć? Jeśli już mamy nazywać Jezusa królem, warto zapytać, co On sam o tym myśli.

Przesłuchujący Jezusa Piłat zapytał Go: „»Czy Ty jesteś królem Żydów?«. Jezus rzekł: »Mówisz to od siebie, czy też inni powiedzieli ci to o Mnie?«. Wówczas Piłat powiedział: »Czyż ja jestem Żydem? To Twój naród i wyżsi kapłani wydali mi Ciebie. Co zrobiłeś?«. Jezus odpowiedział: »Moje królestwo nie jest z tego świata. Gdyby moje królestwo było z tego świata, moi podwładni walczyliby, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś moje królestwo nie jest stąd«. Wówczas Piłat rzekł Mu: »A więc jesteś królem«. Jezus odparł: »To ty mówisz, że jestem królem. Ja urodziłem się i przyszedłem na świat po to, aby dać świadectwo prawdzie«". A zatem Jezusowi tytuł króla nadają przeciwnicy. To warte zapamiętania. Wciąż przecież marzy się nam Jezus król, który na skutek naszych licznych modłów „zbawi Polskę". Jakbyśmy nie pamiętali o rozczarowaniu Jezusem dwóch apostołów, którzy „mieli nadzieję, że to On wyzwoli Izraela". A w samym Kościele?

Św. Pius X w „Vehementer nos" stwierdza: „Kościół jest mistycznym ciałem Chrystusa, rządzonym przez Pasterzy i Doktorów. [Jest] społecznością hierarchiczną (...) złożoną z osób tworzących dwie kategorie, pasterzy i owce (...). Tylko wspólnota pasterzy dzierży konieczne prawo i władzę ustalania celów tej społeczności. (...) Jedynym obowiązkiem wspólnoty wiernych jest przyzwolenie na bycie kierowanymi, i jak przystało posłusznemu stadu, podążanie za pasterzami".

Tymczasem Franciszek mówi, że „dzisiaj wielu poszukuje bardziej pewności religijnej, niż żywego i prawdziwego Boga, skupiając się na obrzędach i nakazach, a nie na przyjęciu całym swoim jestestwem Boga miłości. Jest to pokusa nowych fundamentalistów, tych, którzy zdają się bać drogi, którzy boją się iść naprzód i cofają się, ponieważ czują się bezpieczniej. Szukają Bożego bezpieczeństwa, a nie Boga dającego bezpieczeństwo". Z tego wynika, że również rozczarowanie Bogiem jest przejawem Jego obecności i działania, Jego błogosławieństwa – przybliża człowieka do rzeczywistości. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Znak oczyszczenia świątyni

Na rocznicę poświęcenia Bazyliki na Lateranie Liturgia przyniosła nam opis znaku oczyszczenia Świątyni w Jerozolimie (J 2, 13-22). Opis tego wydarzenia zamyka stwierdzenie dotyczące uczniów: „uwierzyli Pismu i słowu, które wyrzekł Jezus". Rozumiemy dobrze, iż to zdanie wymierzone jest także w nas. To my – dzisiaj – potrzebujemy się zmierzyć z Pismem i słowem wypowiedzianym wtedy przez Jezusa.

Co to za słowo?

To słowo o „świątyni Jego ciała": „Zburzcie tę świątynię, a Ja w trzy dni wzniosę ją na nowo". To moje ciało jest świątynią. To w nim dokonuje się obecność Boża, która wymaga mojej uważności – równej co najmniej tej, z jaką rozglądam się, by odnaleźć Tabernaculum w dowolnym kościele. O ileż łatwiej jest oczyścić każdy kościół od tej świątyni, którą jestem ja sam?! Oczyścić od kupczenia, interesu, wszelkiej dwuznaczności przed Bogiem?!

A Słowo?

Jakie Słowo przywołał Jezus wypędzając przekupniów ze Świątyni Jerozolimskiej?

Wszystkie odnośniki prowadzą nas do 14. rozdziału Proroka Zachariasza. Zapowiada on czas, kiedy „nie będzie już w owym dniu przekupnia w domu Pana Zastępów" (Za 14, 20).

Dlaczego nie będzie?

Odpowiedź brzmi: bo nie będzie potrzeby. „Wówczas nawet na dzwoneczkach koni umieszczą napis: Poświęcone Panu, a kotły zwyczajne w domu Pańskim będą jak kropielnice przed ołtarzem. Każdy kocioł w Jerozolimie i w Judzie będzie poświęcony Panu Zastępów. I będą przychodzić wszyscy, którzy mają składać ofiarę, będą brać je i w nich gotować" (tamże).

Skończy się więc dychotomia: podział naczyń na „święte" i „nieczyste"; na rzeczy „poświęcone Panu" i „Pana niegodne". Skończy się duchowa schizofrenia: „To dla Pana", a to „nie dla Niego". Zwykłe garnki będą służyły za naczynia liturgiczne. Na ofiarę dla Pana nada się każdy pokarm.

Co znaczy uwierzyć temu Słowu?

To znaczy zgodzić się – i ucieszyć się tym – że do Pana należy nie tylko mszalny kielich, ale również każde moje naczynie w mojej kuchni. To znaczy przyjąć, że Pan kocha zająć miejsce za stołem konsekrowanego ołtarza, ale że także ma prawo (i pewnie wielkie pragnienie...) siedzieć za stołem w moim domu. I że naprawdę nie potrzebuję rozglądać się za pobożnymi kramami, by nabyć coś wyjątkowego, co jest godne, by być złożone na Jego ołtarzu. Mogę na nim złożyć moją pracę i odpoczynek, pragnienia spełnione i nie spełnione, chorobę i troskę o najbliższych.

Uwierzmy Pismu i słowu, jakie wypowiedział Jezus. W przeciwnym wypadku ciągle będziemy pozostawać na zewnątrz tego, co istotne w spotkaniu z Bogiem. ©

Gdy to, co rozdwojone,
połączycie w jedno
– staniecie się ludźmi.

EWANGELIA TOMASZA

Jesteś tam,
gdzie twoje myśli.
Pilnuj, by twe myśli
były tam,
gdzie ty chcesz być.

NACHMAN Z BRACŁAWIA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 XI)

Niedziela, uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata: Dn 7, 13-14; Ps 93; Ap 1, 5-8; J 18, 33b-37;
Poniedziałek: Dn 1, 1-6. 8-20; Ps: Dn 3, 52-56; Łk 21, 1-4;
Wtorek: Dn 2, 31-45; Ps: Dn 3, 57-61; Łk 21, 5-11;
Środa: Dn 5, 1-6. 13-14. 16-17. 23-28; Ps: Dn 3, 62-67; Łk 21, 12-19;
Czwartek: Dn 6, 12-28; Ps: Dn 3, 68-74; Łk 21, 20-28;
Piątek: Dn 7, 2-14; Dn: 3, 75-81; Łk 21, 29-33;
Sobota: Dn 7, 15-27; Ps: Dn 3, 82-87; Łk 21, 34-36;
1. niedziela Adwentu: Jr 33, 14-16; Ps 25; 1 Tes 3, 12 – 4, 2; Łk 21, 25-28. 34-36.

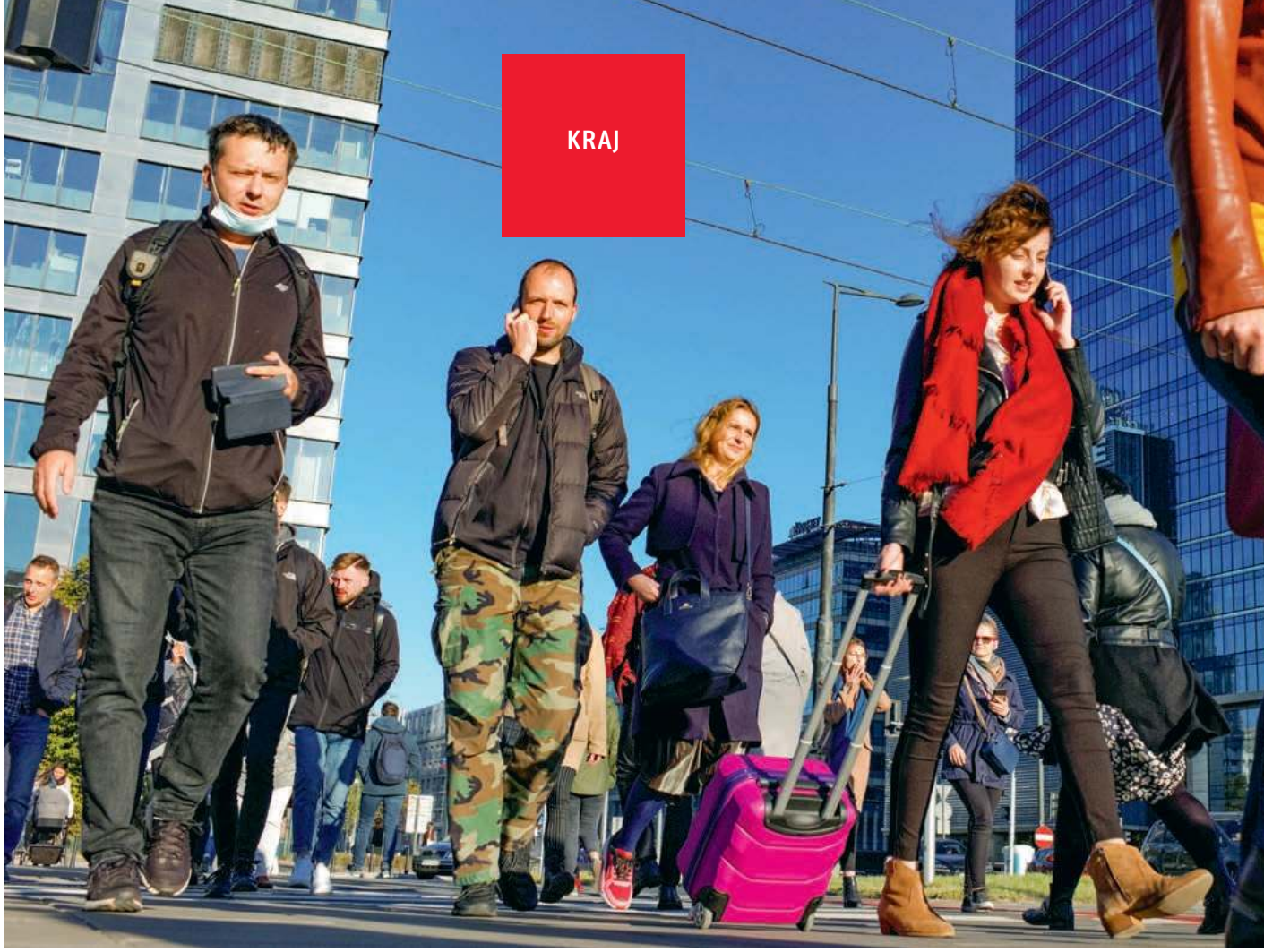

TRZĘSIENIE ZIEMI OBIECANEJ

MARCIN DUMA, BADACZ OPINII I RYNKU:

PiS patrzy na Polskę, której już nie ma. Jego wyborcy czują się i myślą, jak klasa średnia.

MICHAŁ OKOŃSKI: Chyba nie jest łatwo analizować sondaże.
MARCIN DUMA: A to czemu?

Po tym, co się wydarzyło w szpitalu w Pszczynie, pomyślałem, że PiS ma poważne kłopoty. Ale kryzys graniczny sprawił, że już nie jestem tego taki pewny.

Z notowaniami obozu rządzącego w ciągu ostatnich tygodni coś faktycznie zaczęło się dziać – stabilny wcześniej poziom poparcia się zmniejszył. Tyle że ten proces zaczął się przed Pszczyną.

Co spowodowało, że część wyborców PiS zmieniła zdanie?

Po pierwsze, mamy kolejną falę covidu. Znaczna część Polaków obawia się nie tyle tego, że zachoruje albo że szpitale będą zapchane – obawia się zamknięcia. Lockdown był naszą narodową traumą. Kiedy na początku 2021 r. badaliśmy nastroje społeczne, okazało się, że dominują złość, wściekłość i poczucie beznadziei. Nazwaliśmy to roboczo „covidową depresją" – Polacy nie chcą kolejny raz doświadczyć tego stanu.

I nie doświadczą: rządzący wiedzą z Waszych badań, że wyborcy nie chcą lockdownu, więc go nie wprowadzą. Zresztą może ta depresja wiąże się z nieodbytą żałobą po zmarłych w trakcie pandemii.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Warszawa, październik 2021 r.

Otóż wcale nie. Tych sto kilkadziesiąt tysięcy nadmiarowych zgonów zdaje się nas nie poruszać. Nie chcemy na nie patrzeć, bo kiedy zaczniemy, to będziemy musieli dojść do wniosku, że powinniśmy się samoograniczyć. Jeśli nie zaszczepić, to przynajmniej zamknąć się ponownie, by zmniejszyć transmisję wirusa. Rozumowanie jest, niestety, proste: jak są ofiary, jest lockdown, jak jest lockdown, jest depresja.

Jakie są jej źródła? Nasze relacje domowe są trudniejsze? Ciężko wytrzymać z dziećmi, kiedy nie idą do szkoły?

Bardziej zwyczajnie: coś, co mogliśmy robić, nagle stało się niedostępne. Umówmy się: Polacy nie chodzą masowo do restauracji, ale kiedy restauracje zamknięto, zaczęli chcieć móc chodzić. Zaczęło ich dotykać to, że ktoś im czegoś zakazuje. Co ciekawe, wcześniej chyba nie do końca zdawali sobie sprawę, że państwo potrafi być silne w stosunku do obywatela. Inna sprawa, że szybko – jak wiemy na przykładzie maseczek – państwowe zakazy stały się fikcyjne.

Ale sytuacja domowa to również jeden z elementów składowych tej depresji. Strach, tylko niekoniecznie związany z chorobą. Pytaliśmy Polaków o ich lęki: w szczytowym momencie ok. 30 proc. obawiało się, że zachoruje, ok. 25 proc. – że zachoruje i umrze. Obawy o zdrowie bliskich przekroczyły 50 proc.

Czyli blisko 50 proc. nie bało się nawet o swoich bliskich.

Natomiast im dalej byliśmy od tej szczytowej fali, tym bardziej narastał lęk związany z gospodarką i z własną sytuacją finansową, choć – uwaga – w trakcie pandemii Polacy wcale nie oceniali jej źle.

Może dopiero inflacja zmaterializowała ten lęk.

To właśnie drugi powód spadków poparcia PiS. Inflacja oznacza przecież, że za to, co mamy w portfelu, możemy kupić coraz mniej. Że nasza pozycja społeczna – w przypadku Polaków, jak pokazują badania, wyznaczana głównie przez pieniądz – słabnie.

Podczas niedawnego Forum Ekonomicznego w Karpaczu prezentował Pan badania, z których wynikało, że klasa ludowa, z której w znacznej mierze wywodzi się elektorat PiS, poczuła się klasą średnią. I że zaczęła aspirować.

Owszem, ludzie, którzy wcześniej rzadko rozglądali się wokół, zajęci walką o utrzymanie się na powierzchni, osiągnęli już taki poziom zarobków, że zyskali trochę czasu dla siebie. Mają swoje przemyślenia i potrzeby, mają swoją dumę. To przekłada się na politykę, bo wiąże się z ich oczekiwaniami od państwa.

Jakie są te oczekiwania?

Usankcjonowanie ich pozycji. Powiedzenie: wy już nie jesteście na samym dole. I jeszcze spowodowanie, by ci, którzy dotąd znajdowali się wyżej, przestali traktować ich z góry. Bo oni już urośli i mówią tamtym: „Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy".

Jak rozumiem, opozycja nie wróci do władzy tak długo, jak długo ten taniec się nie skończy. Bo jej przedstawiciele wciąż są uważani za wywyższającą się elitę.

Za ludzi z wyższej klasy, która mówi: „Wracajcie do czworaków, tam jest wasze miejsce". Na tym polega istota konfliktu, który tli się na backstage'u polskiej polityki. Bo ci, co dotąd byli wyżej, przez tyle lat ciężko pracowali na swoją pozycję, budowali zamknięte osiedla...

Pracowali 16 godzin na dobę...

Łatwo się śmiać z Matczaka, ale on precyzyjnie opisał myślenie grupy społecznej, która faktycznie poświęciła wiele, żeby osiągnąć swój status. Ona ma poczucie, że odniosła sukces „jedząc gruz i mieszkając w jeziorze" – i teraz czuje się zagrożona przez kogoś, kto (jej zdaniem) nie dorobił się dzięki własnej pracy, tylko dzięki transferom socjalnym. „PiS opodatkował moją harówkę i wciska do kieszeni tej biedocie", słyszymy podczas wywiadów.

W ostatnich latach opisywano głównie klasę ludową, emocje klasy średniej zostawiając na boku.

Powiedzmy od razu: zrozumiałe emocje. Najpierw ktoś mnóstwo zainwestował w studia i w studia podyplomowe, parzył kawę podczas praktyk i uczył się języków, potem trafił do jakiejś korporacji, został menedżerem, pracuje ciężko, bierze nadgodziny – i nagle odkrywa, że zaradny elektryk albo hydraulik zarabia w zasadzie tyle samo.

Powiedział Pan wcześniej, że u nas wyznacznikiem statusu są pieniądze.

Tak, kapitał kulturowy jest na drugim planie.

Kiedy się więc okazuje, że ów elektryk jest w stanie pojechać na wakacje w to samo miejsce, co menedżer, u tego menedżera rodzi się frustracja. Nie potrafi się cieszyć z awansu hydraulika i z tego, że Polska stała się krajem większej równości.

Wróćmy do tych rozbudzonych aspiracji.

Z naszych badań wynika, że 72 proc. Polaków uważa się dziś za klasę średnią. Oni oczywiście nie spełniają klasycznych definicji – po prostu mylą pojęcia klasy średniej i klasy średniego dochodu. Ale to, że mylą pojęcia, nic nie zmienia. Chcą być postrzegani jak klasa średnia. Podpatrują marki, w których klasa średnia chodzi. Noszą ubrania z wielkim logo, żeby z daleka było widać, że ich stać. No i zaczynają czuć pogardę wobec tych, którzy są jeszcze biedniejsi, chociaż żyjących w ubóstwie zostało niewiele, ok. 5 proc. populacji naszego kraju. ↦

↦ **Mówił Pan w Karpaczu, że ci dotąd zamożniejsi Polacy wymyślili sobie tzw. patusów, wydających 500 plus w monopolowym i oczywiście głosujących na PiS.**

Gdyby portretować elektorat PiS w takich kategoriach, Jarosław Kaczyński nigdy nie wszedłby do parlamentu.

Ale zmyślona klasa niższa staje się punktem odniesienia także dla tych świeżo wzbogaconych i aspirujących. Nikt nie chce stać na najniższym szczeblu. No i aspirując, przyjmuje się także pewne wzorce i narracje kulturowe. Deklaracje światopoglądowe typu: „podatki gnębią ludzi przedsiębiorczych", „LGBT jest ok, nie mam nic przeciwko", „z tą aborcją to naprawdę przegięli", stają się coraz powszechniejsze.

Te ostatnie głosy można interpretować w kategoriach aspiracyjnych? Może to opinia kobiet, które poczuły się zagrożone?

Opowieść o polskich kobietach to opowieść o trzech pokoleniach: babć, matek i córek. Dwa pierwsze są dość podobne: mają za sobą i młodzieńczy bunt, i doświadczenie jego porażki. Dostosowały się do wizerunku matki Polki.

Skąd przekonanie, że z córkami będzie inaczej?

Ich sposób socjalizowania się jest kompletnie inny. Rola mediów społecznościowych – w przypadku dziewczyn Instagrama i trochę Facebooka, bo chłopcy częściej korzystają z YouTube'a – jest tak ogromna, że dziewczyny z prowincji nie różnią się już specjalnie od tych z wielkich miast. Rewolucja, która się dokonała dzięki dostępności smartfona, polega na tym, że wzorzec niezależnej kobiety zaczyna dominować na terenie całego kraju.

Co to za wzorzec?

Ano właśnie: to już nie jest wzorzec siłaczki, która na własnych barkach niesie cały dom i której jedynym celem jest założenie, a potem utrzymanie za wszelką cenę spójności rodziny. To wzorzec, w którym ważna jest ona i jej potrzeby – inaczej niż w przypadku matek i babć, które spychały siebie na dalszy plan.

Gdzie tu mężczyzna?

Z odpowiedzi trzeba wyłączyć duże miasta i pewną grupę progresywnych kobiet, które znalazły partnerów (nie małżonków, ale właśnie partnerów), bo to jednak mniejszość. Generalnie w Polsce obowiązywał zawsze model „facet musi być". Ważne, żeby nie bił i mógłby też nie pić, ale najważniejsze, żeby się nie wtrącał. Niech leży na kanapie, ale broń Boże niech nic nie robi, bo on przecież nic nie umie: gdyby chciał kobiecie pomóc, to więcej by zepsuł.

Babcie i matki nie chciały partnerów?

Chciały. Ale nie wierzyły, że to możliwe. I doświadczyły tego, że to niemożliwe. A córki mówią: „O nie, my się na to nie piszemy". Po pierwsze, wyobrażają sobie życie bez faceta. Po drugie, jeśli już, to chcą partnera, który zamiast myśleć o polowaniu na mamuta, będzie gotów pójść z nimi na jagody i sumiennie zbierać. Innymi słowy: będzie miał więcej cech kobiecych.

Nie znajdzie się wielu takich.

No właśnie, oprócz marzeń jest jeszcze rzeczywistość. Chłopaków nikt nie przygotowuje na taką sytuację. Oni się inaczej socjalizują. Dziewczyny, dzięki wzorcom z mediów społecznościowych, uodporniają się na presję rodziny, wsi czy miasteczka. Chłopcy przeciwnie. Podpatrują wzorce domowe, uważają, że oni też mają leżeć na kanapie. Dziewczyny ciągną do przodu, oni zostają w tyle.

A kwestia aborcji?

Zmiana prawa była doświadczeniem granicznym także dla pokolenia babć i matek. Rozmawialiśmy z nimi w trakcie naszych wywiadów. Mówiły: „My jesteśmy wierzące, pewnie same byśmy aborcji nie zrobiły, chociaż – uwaga – różnie w życiu bywa, natomiast nikt nie może nam w tej kwestii niczego nakazywać. To powinien być nasz wybór".

I teraz ważny wątek: dotychczas ta sprawa była zamknięta i jakoś uporządkowana. Było wiadomo, gdzie pójść, jaki lekarz w powiecie może pomóc. Ale po tym, jak w zeszłym roku zaczęto gmerać przy ustawie, na stół trafiły wszystkie opcje. Z naszych badań, przeprowadzanych regularnie co pół roku, wynika jasno, że w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy doszło do wyraźnego przesunięcia. Akceptacja dla aborcji się zwiększa nie tylko w przypadku uszkodzenia płodu czy ciąży z gwałtu, ale także ze względu na wiek ciężarnej, jej trudną sytuację materialną albo po prostu na życzenie.

Czyli jeśli polityk tak wytrawny jak Tusk po latach unikania jasnej deklaracji popiera projekt ustawy dopuszczającej aborcję do 12. tygodnia, to znaczy, że wie, iż wahadło się przechyliło, a PiS przelicytował.

Myślę, że PiS patrzy na Polskę, której już nie ma. Być może to powód, dla którego nie jest w stanie odzyskać tamtego poparcia na poziomie 40 proc. sprzed października 2020 r. i aborcyjnego wyroku TK – mimo obietnic kolejnych redystrybucji, Polskiego Ładu itd., i mimo grania na strachu związanym z kryzysem migracyjnym.

Pamiętam czasy, w których Kaczyński mówił, że najkrótsza droga do dechrystianizacji Polski prowadzi przez Radio Maryja. On też zawsze unikał tematu aborcji.

Z dechrystianizacją bym uważał. Za zmianą stosunku do aborcji czy krytycznymi ocenami Kościoła nie idzie utrata wiary w Boga i przywiązania do wartości chrześcijańskich. Jako społeczeństwo chłopskie zawsze mieliśmy potężne pokłady antyklerykalizmu, nie trzeba było ujawniania skandali pedofilskich, żeby mieć duży sceptycyzm w stosunku do księży i biskupów.

Wartości chrześcijańskie widać również w stosunku do kryzysu granicznego. Patrząc na zdjęcia z Kuźnicy, odczuwamy lęk (nie w całej Polsce przed tym samym), ale odczuwamy też napięcie związane z poczuciem, że tym ludziom trzeba pomóc. I z wywiadów, które prowadzimy, i z badań ilościowych wyłania się konflikt między potrzebą udzielenia im pomocy humanitarnej a poczuciem, że zagrozi to naszemu bezpieczeństwu. To nie jest komfortowa sytuacja, kiedy trzeba wybrać między wartościami, z których jedna wcale nie jest dużo słabsza od drugiej. Owszem, wybieramy bezpieczeństwo, owszem, próbujemy znaleźć jakieś racjonalizacje, owszem, są tacy, którzy mówią o „ciapatych", straszą terroryzmem itp., ale wszystko to ma w tle potężny dysonans poznawczy.

A co to znaczy, że nie w całej Polsce obawiamy się tego samego?

Na Podlasiu i Lubelszczyźnie w wywiadach swobodnych słyszeliśmy: „Uchodźcy

to nie jest nic nowego, kiedy szliśmy na grzyby, widzieliśmy ślady po obozowisku". Ktoś pod Białymstokiem w sierpniu spotkał grupę zmęczonych ludzi – podzielił się batonikiem. Moderator pyta: „Nie bał się ich pan?". „Ale czego? Przecież oni idą do Niemiec". „To czego się pan teraz boi?". „Tego, że przysłał ich Łukaszenka. Bo jeśli przysłał ich Łukaszenka, to znaczy, że tak naprawdę przysłał ich Putin. I że Rosja coś knuje". Można w tym odczuć lęk kogoś, kto ma blisko do granicy i wie, że jeśli pojawią się na niej „zielone ludziki", to polskie państwo go nie ochroni.

To wychodziło także po katastrofie smoleńskiej: boimy się Rosji.

Takie mamy doświadczenia historyczne, że boimy się Rosji i Niemiec. To jest głęboko zakorzenione, przeżycia okupacyjne mają zdolność do transmisji międzypokoleniowej. I również obserwujemy tu różnice geograficzne. Na tzw. Ziemiach Odzyskanych wzmacnia ów lęk poczucie, że Niemiec może przyjść i zabrać to, co kiedyś do niego należało (coś podobnego jest jedną ze składowych polskiego antysemityzmu). W Świętokrzyskiem podczas wywiadów pogłębionych Niemiec to najgorszy wróg, ale Rosjanin często bywa wyzwolicielem. Na wschodzie trudno znaleźć postawy prorosyjskie.

Myślę, że teraz antyrosyjska emocja rozleje się na pozostałe części kraju.

Również tak sądzę. Choć przypomina mi się badanie naszych postaw obronnych, z którego wynika, że ci mniej skłonni do myślenia o obronie ojczyzny mieszkają na zachodzie. Ci na wschodzie mają poczucie, że nikt im nie pomoże, a uciec nie zdążą – oni gotowi są walczyć.

Co z tego wynika?

Na wschodzie, który skądinąd jest rezerwuarem poparcia PiS, ludzie myślą tak: „Robi się niebezpiecznie. Rosja za progiem". Na to pojawia się państwo i mówi: „Postawimy mur". Mieszkańcy Warszawy się śmieją, ale tam ten komunikat działa choć trochę uspokajająco. Oto objawia się państwo ze swoimi helikopterami i mundurami, mówiąc: „Jesteście dla nas ważni". To samo zrobił kiedyś Macierewicz przenosząc jednostki pancerne znad zachodniej granicy na wschód. Eksperci mówili, że strategiczny sens tego posunięcia jest wątpliwy, ale u ludzi tam mieszkających zwiększył poczucie bezpieczeństwa.

BARTEK SYTA / IRBIS

MARCIN DUMA jest fundatorem i prezesem zarządu Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych.

Na ile jesteśmy w tym wszystkim zakładnikami obrazów? Na ile fakt, że zobaczyliśmy twarz zmarłej kobiety z Pszczyny i przeczytaliśmy jej esemesy, wpłynął na zmianę naszego myślenia? Na ile wpłynął na nią obraz mężczyzn z łopatami, nożycami i ściętymi drzewami, próbujących sforsować graniczne bariery?

Dziś obraz znad granicy jest mocniejszy od tego z Pszczyny. Kultura, historia, wszystko, czym nasiąkamy od dziecka, prowadzi nas w miejsce wyłomu w przygranicznym płocie. Nasz kraj jako przedmurze, Sowiński w okopach Woli, tłum jegrów szturmujących ze wschodu i samotny mężczyzna na armacie – to właśnie jest Polska. Nie ma tu opowieści o męczeństwie kobiety, jesteśmy w innym paradygmacie.

Zaczynam rozumieć, dlaczego premier tak chętnie paraduje teraz w wojskowej kurtce.

Pytanie tylko, jak długo można na tym jechać. Podczas pandemii efekt nazywany „do flagi" był wyraźnie odczuwalny w krajach germańskich, ale w romańskich i słowiańskich już nie tak bardzo. Przecież sytuacja na granicy nie będzie rezonować cały czas na tym najwyższym poziomie. Przywykniemy, tak jak przywykliśmy do pandemicznej grozy. I wrócą stare problemy, zwłaszcza drożyzna.

Cena benzyny przyćmi rozwalany przez migrantów płot?

Dziś z pewnością nie. Ale za miesiąc? Bardzo prawdopodobne.

No to PiS ma kłopoty.

Wybory odbędą się jesienią 2023. O tym, co może się wydarzyć do tego czasu, trudno wyrokować (nikt nie przewidział ani pandemii, ani obecnego kryzysu), ale procesów związanych z bogaceniem się społeczeństwa i rozbudzonych aspiracji raczej się nie zatrzyma. A inflacja najmocniej uderza w tych, którzy ostatnio awansowali. Ich siła nabywcza i pozycja finansowa nie są jeszcze tak silne, a doświadczenie niedostatku wciąż świeże.

Jednak inaczej głosujemy, kiedy czujemy się bezpiecznie, a inaczej, kiedy się boimy.

Wiedzą to wszystkie strony konfliktu, dlatego opozycja straszy polexitem. Lęki to przyjemny materiał do robienia polityki, bo są łatwe w obsłudze. Jeśli dobrze się je zdefiniuje i na tej podstawie zbuduje wiarygodną odpowiedź, ma się klucz do sukcesu. W 2020 r. np. kluczowym przekazem obozu Andrzeja Dudy było skojarzenie Rafała Trzaskowskiego z Platformą, a rządów Platformy z biedą.

Lęk przed „strasznym Kaczorem" od dawna nie działa. Wygląda na to, że opozycja poza polexitem nic nie ma.

Myślę, że opozycja mogłaby się pożywić właśnie tą emocją, która została wykorzystana przeciwko niej rok temu: lękiem przed biedą. Pytanie, kto przekona ludzi, że pomoże im zostać na ścieżce bogacenia. Kto przekona ich, że nie zostaną odesłani tam, skąd przyszli. Powiedzenie, że razem możemy zamieszkać w tym nowym, eleganckim domu, jest jakąś odpowiedzią. Bez tego straszenie Kaczorem-dyktatorem, faszystami, reżimową telewizją i całym tym zestawem chochołów nic nie pomoże.

Kiedy Pan mówił o czworakach, pomyślałem, że dziedzictwo pańszczyzny jest wciąż żywe.

Owszem, poczucie bycia gorszym jest związane z chłopskim dziedzictwem i podziałem na pany i chamy. To rezonuje, jeśli nie na świadomym poziomie, to w podświadomości. W „Ziemi obiecanej" Reymonta jest postać Kaczmarka: chłopa, który wyjeżdża do Łodzi, z czasem się dorabia, a na końcu wraca do swojej wsi już jako pan. To jest przemiana, którą dziś obserwujemy. Jadąc do miasta, dorabiając się tam, Kaczmarek naprawdę staje się innym człowiekiem. A dziś nawet nie trzeba wyjeżdżać do miasta, bo zmianę widać w zasadzie wszędzie.

Pytanie, czy tamci dawni „panowie" będą w stanie ją zauważyć?

Sprawdzimy za dwa lata przy urnach.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Przecież tu chodzi o dzieci

MAŁGORZATA NOCUŃ

Kiedy system zwróci na nas uwagę? – pyta lekarz pediatra. I sam odpowiada: – Musi dojść do tragedii. Dzieci zaczną umierać w domach, zrobi się medialny szum.

Dziecięcy oddział szpitalny w Krakowie. Córkę Joanny umieszczono na korytarzu. Dziewczynka z powodu anginy ropnej przestała jeść i pić, powstało ryzyko odwodnienia. Po kilku dniach jej stan się poprawił. Joanna uznała, że sama będzie podawać dziecku antybiotyk. Poprosiła o wypis na własne żądanie. – Na tym korytarzu zobaczyłam całkowitą niewydolność systemu – mówi. – Dzieci śpią przy zapalonym świetle. Tłok, zaduch, harmider. Brak lekarzy i pielęgniarek. Kosze na śmieci wypełnione zużytymi pieluchami, rodzice czuwają na taboretach. Delikatnie to ujmując: „nieładnie pachną", bo nie mają jak skorzystać z prysznica.

Możesz pomóc? Zadzwoń!

Od początku jesieni w Polsce brakuje miejsc w szpitalach dziecięcych i na oddziałach pediatrycznych. Niektóre placówki wstrzymują planowe przyjęcia. Łóżka diagnostyczne przeznacza się dla „przypadków z ciężkim przebiegiem RSV". W tym roku wirus niszczący układ oddechowy zaatakował wcześniej. „Odbija sobie stracony czas" – mówią lekarze. Lockdown sprawił, że w ubiegłym roku nie miał na kim pasożytować. Podobnie jest z grypą, ona też nadrabia „zaległości". W efekcie dyrektorzy szpitali i lekarze kierujący oddziałami dla dzieci coraz dramatyczniej walczą z władzami województw i NFZ-em o „łóżka pediatryczne".

Pediatria jest jedną z najmniej „opłacalnych" dziedzin medycyny. Problemem są też ogromne braki kadrowe. Średnia wieku pediatry w Polsce wynosi sześćdziesiąt lat, a zawód ten wykonują zazwyczaj kobiety, które na emeryturę przechodzą wcześniej. Brakuje także pielęgniarek i położnych. Andrzej Wnuk, prezydent Zamościa, zwrócił się niedawno z dramatycznym apelem do lekarzy pediatrów. W dłoniach trzymał kartkę: „Możesz pomóc w obsadzie pediatrii? Zadzwoń". – To apel ostatniej szansy – mówi prezydent miasta, w którym zawieszono jedyny oddział pediatryczny. Powód: braki kadrowe. Szpitale „ościenne" są przepełnione, więc zamojskich dzieci nie ma gdzie leczyć.

Taki problem jest w wielu województwach. Prof. Krzysztof Fyderek, dyrektor Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie (słynny „Prokocim"), zrezygnował z kierowania placówką. W tym samym czasie wypowiedzenia z pracy złożyło liczne grono jego lekarzy. Planowe operacje (w tym kardiochirurgiczne) mogą się nie odbyć, choć zbudowany ponad pół wieku temu Prokocim to symbol polskiej pediatrii. Jest jednym z trzech szpitali dziecięcych o najwyższym stopniu referencyjności. To tam leczy się najcięższe przypadki i wykonuje najbardziej skomplikowane zabiegi.

Prof. Fyderek jest zdania, że urzędnicy postrzegają pediatrię jako nierentowną dziedzinę medycyny z uwagi na choroby sezonowe (np. atakujący obecnie wirus RSV czy biegunki wywołane rotawirusem, które występują częściej wiosną). W NFZ nie rozumieją, dlaczego przez kilka miesięcy w szpitalu brakuje miejsc, a przez kolejne obłożenie wynosi zaledwie 50 proc., co odbija się na finansach. W czasie wzmożonej zachorowalności szpital ma bowiem większe wydatki, ale zanim doczeka się refundacji z NFZ, wpada w długi (dług Prokocimia wynosi obecnie 40 mln zł). Problemem są także wyceny leczenia. W terapii dzieci wykorzystuje się często leki, które przyjmują dorośli. Ale dziecku podaje się jedynie część ampułki, resztę należy zutylizować. To samo dotyczy przetaczania krwi i preparatów krwiopochodnych, niemowlęciu przetacza się zaledwie kilkadziesiąt mililitrów, a reszty nie można już wykorzystać. Tomograf, rezonans, punkcje szpiku i wątroby wykonuje się dziecku w znieczuleniu ogólnym. Potrzebny jest więc odpowiedni zespół lekarzy, w tym anestezjolog. Koszty rosną, a wyceny usług przez NFZ już nie.

Łzy po godzinach

Młodzi adepci medycyny niechętnie wybierają pediatrię. Powody są prozaiczne. Po studiach (sześć lat), obowiązkowym stażu i specjalizacji (trwającej kolejne cztery do sześciu lat) lekarzy czeka zatrudnienie w przychodni lub na oddziale szpitalnym. To ciągła bezpłatna praca po godzinach, stres, wynagrodzenie skromne. W efekcie opieka pediatryczna w Polsce znajduje się nie tyle w kryzysie, co w zapaści. Przykład? Telefonuję do POZ-u, w którym leczy się mój syn (wcześniak z 29. tygodnia ciąży, pierwsze mie-

DAWID CHALIMONIUK / AGENCJA WYBORCZA

Pokój dla dzieci w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka.

siące życia spędził na OIOM-ie). Jest piątek. Dziecko cierpi na dysplazję oskrzelowo-płucną, ma astmę. W nocy kaszel powodował bezdech.

– Teleporada w poniedziałek – mówi pielęgniarka.

– Ale dziecko musi być zbadane! W jego wypadku zapalenie płuc może mieć bardzo ciężki przebieg.

– Jak osobiście, to dopiero druga połowa tygodnia. W poczekalni czarno. Nic nie poradzę.

Wiem, że pielęgniarka nie kłamie. Lekarka (emerytka) i tak przyjmuje pacjentów „bez bloczków rejestracyjnych". Wieczorem odbędzie jeszcze wizyty domowe, odwiedzi dzieci chore najciężej...

W szpitalach specjalistycznych jest jeszcze gorzej. Dla dr Agaty Hałabudy, radiolożki z Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Prokocimiu, najtrudniejsze były pierwsze lata pracy. – Dyżur trwa dobę, największe zmęczenie przychodzi około szesnastej, siedemnastej godziny. Podczas dyżuru muszę wykonać kilkadziesiąt procedur. W skupieniu, nie pokazując emocji, choć czasem pęka mi serce. Na oddziale intensywnej terapii patrzę na dzieci, którym zostało kilka dni, a czasem tylko kilka godzin życia. Potem udaję się do gabinetu tomografii komputerowej. Muszę zdusić emocje. Dziecko, które będę badać, ma zobaczyć mnie uśmiechniętą. Powinnam nawiązać z nim kontakt: zagadać, zażartować. Jeśli dyżur był bardzo ciężki, te zduszone emocje dopadną mnie w domu. Wtedy zdarza mi się rozpłakać.

– Pediatria nie jest wyborem przypadkowym – mówi prof. Krzysztof Fyderek. – Tata był lekarzem i też opiekował się dziećmi, wiedziałem, że pójdę w jego ślady. I nigdy nie żałowałem: w tej specjalizacji jest coś niezwykłego. Wysiłek włożony w pielęgnację zdrowia młodego człowieka będzie procentował przez całe jego życie. Brak profilaktyki zawsze się mści. Ilu lekarzy specjalistów będzie musiał odwiedzić dorosły człowiek, którego w dzieciństwie nie otoczono odpowiednią opieką!

Znikające gabinety

Kilkadziesiąt lat temu w szkołach podstawowych i średnich dyżury pełnili lekarze. Działał gabinet stomatologiczny, była pielęgniarka, kontrolowano wagę uczniów, wzrost, postawę, wzrok, stan jamy ustnej, czystość głowy. U nastolatków sprawdzano drugorzędne cechy płciowe. Dziś pozostałe w szkołach pielęgniarki nie mogą przeprowadzić wielu badań. Na przeszkodzie stoi prawo, które stanowi, że dziecko może rozebrać się jedynie w obecności rodziców. Tak samo jest z dotykiem.

Piotr, tata nastoletniego chłopca, uważa, że brak badań kontrolnych winien jest chorobie jego syna. Dziecko było „badane" (na ile pozwalają przepisy) przez szkolną pielęgniarkę. Regularnie uczęszczało na kontrole do ośrodka POZ. W okresie dojrzewania chłopak zaczął jednak skarżyć się na dojmujący ból pleców. Diagnoza: skolioza (w ramach terapii noszenie gorsetu, długotrwała rehabilitacja). Dlaczego „przeoczono" chorobę? – Nikt nie wykonał badania pleców w skłonie – mówi Piotr. Dr Krystyna Piskorz-Ogórek, dyrektor Wojewódzkiego Specjalistycznego Szpitala Dziecięcego w Olsztynie, wylicza: – 25 procent dzieci w Polsce cierpi na wady wzroku, nadwagę. Próchnica dotyczy prawie całej populacji. A dzieci otyłe w większości przypadków będą otyłymi dorosłymi, mogą więc mieć problemy kardiologiczne.

Kolejny przykład: rodzice zauważają, że ich kilkuletnie dziecko w większym stopniu używa jednego oka. Nigdy komputerowo nie badali dziewczynce wzroku. Szukają terminu w poradni NFZ (kilkanaście miesięcy oczekiwania). Decydują się na wizytę w prywatnej klinice. Pielęgniarka wykonuje proste badanie. Krzyczy: „O rany!". Oko, którego dziecko „używa" w mniejszym stopniu, ma wadę minus 17 dioptrii. W takiej sytuacji oko zdrowe stara się pracować w „podwójnym zakresie". A oko chore się wyłącza. Dziecku grozi częściowa ślepota.

– W Polsce wyrastają pokolenia dzieci niczyich – mówi M., pediatra w średnim wieku. – I nie mam na myśli wychowanków domu dziecka, którymi wiele lat się opiekowałam, ale także dzieci z bogatych rodzin. System nie zapewnia im odpowiedniej opieki, a rodzice nie mają dla nich czasu. Prywatny angielski, zajęcia pozaszkolne, w tym pośpiechu nie zauważa się podstawowych rzeczy: wad postawy, problemów z odżywianiem.

M. kilka miesięcy temu badała nastolatkę. Dziewczynka weszła do gabinetu w popularnej wśród nastolatków bluzie *oversize* (szeroka, maskująca figurę). Lekarka zauważyła, że dziewczynka ma wyostrzone rysy twarzy. Poprosiła ją o rozebranie się i wejście na wagę. Anoreksja w początkowej fazie. Rodzice ani nauczyciele niczego nie zauważyli.

Proszę pisać na Berdyczów

Pediatrom mimo ciężkiej pracy nie brakuje energii – to lekarze z powołania. Chcą leczyć dzieci. Zarządzający szpitalami mówią: „zrobiliśmy już wszystko". Latami walczyli, by nie likwidować łóżek pediatrycznych i prosili o doinwestowanie. Dziś mają wrażenie, że w Warszawie nikt już ich pism nie czyta. Równie dobrze mogliby pisać na Berdyczów. Obecnie opracowują bez większej nadziei apel do ministra zdrowia. Jeśli resort się nim nie przejmie, sytuacja podobna do tej w Prokocimiu może zaistnieć w innych polskich placówkach.

Pytam prof. Fyderka o jego plany. Odpowiada, że dyrektorem się bywa, lekarzem się jest. Dr Hałabudę, czy wyobraża sobie życie bez Prokocimia. – Jeśli nie poprawią się warunki pracy, może będę musiała odejść. Chcę tylko leczyć dzieci, a nie walczyć z systemem.

Doktor Piskorz-Ogórek mówi, że sytuacja jest coraz trudniejsza. Szaleje inflacja, rosną koszty działalności szpitala, płaca minimalna. To pociąga za sobą wzrost cen sprzątania, prania, ochrony. Rosną też ceny prądu, co może stanowić w skali roku dodatkowy wydatek od 500 tys. do miliona złotych. Wraz z wzrostem kosztów nie wzrasta cena za realizowane świadczenia. Przybywają tylko setki ciężko chorych dzieci. ©

Jak Fidel z Franciszkiem

MARCIN CHODUŃ

Nigdy nie widział niczego szczególnego w swojej twarzy. Aż pewnego dnia znajoma powiedziała: „Przecież ty wyglądasz zupełnie jak papież Franciszek!”.

Jacek trzyma w ręce wielgachny segregator, spuchnięty od papierów niczym pękata beczka. Wertuje go powoli, strona po stronie. Zdjęcia, wycinki z gazet. I twarze, mnóstwo twarzy: Wałęsa, Bronson, Jaruzelski, Villas, Gierek, Lenin, Suchocka, Oleksy... Kiwa głową. – Tak, trochę się tego nazbierało przez dwadzieścia lat – sam jest chyba zaskoczony bogactwem historii zgromadzonych w segregatorze.

Przy jednym ze zdjęć zatrzymuje się nieco dłużej: – Po lewej stronie jest nasz Jurek Maksymiuk, a tu oryginał. Choć w sumie... Nie, nasz Maksymiuk to jednak ten po prawej stronie! – śmieje się już po chwili z własnej pomyłki. Zresztą jego samego, Jacka Pieniążka, 68 lat, warszawianina, w tym długim płaszczu, kapeluszu i okularach, też trudno byłoby odróżnić od Chucka Norrisa, bohatera popularnego w latach 90. XX w. amerykańskiego serialu telewizyjnego. Nic więc dziwnego, że wielu spacerujących w tę słoneczną niedzielę na warszawskiej Starówce uśmiecha się z wyrazem niepewności zawieszonym na twarzy: czy to naprawdę strażnik Teksasu?

Poruszenie wśród przechodniów rośnie po chwili jeszcze bardziej – gdy pod pomnikiem Kilińskiego do Chucka Norrisa dołączają Fidel Castro i papież Franciszek.

Chuck Norris: przez kolegę

Wszystko zaczęło się od klubu sobowtórów na warszawskim Mokotowie. Prowadził go dyrektor tamtejszego klubu prasy i książki Tadeusz Borczak. Na początku lat 90. ogłaszał w prasie, że szuka osób podobnych do znanych postaci.

Jacek Pieniążek znalazł taki anons w „Expressie Wieczornym”. – Mam tę gazetę do dzisiaj – wspomina. Jak stał się Chuckiem?

W latach 80. pojechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował jako stolarz. Po pracy chodził z kolegami do klubu country – i tam w pewnym momencie zauważył, że wszyscy dziwnie mu się przyglądają. Nie wiedział, o co chodzi. Aż pewnego dnia kolega mówi do niego: „Słuchaj, ty i Chuck Norris – przecież wy jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody!”. „ Kto?! Nie znam gościa...”.

Nigdy przedtem nie myślał, że tak bardzo przypomina wyglądem innego człowieka. Ale gdy zobaczył zdjęcie Norrisa, zdębiał. Miał wtedy 33 lata, nosił brodę. Gdy założył kapelusz i okulary przeciwsłoneczne, wyglądał rzeczywiście jak filmowy strażnik Teksasu. A kiedy rok później Jacek wrócił do Polski, trafił do klubu na Mokotowie. – Poszedłem i spodobało mi się. Było tam już wtedy sporo „znanych” osób. Między innymi Fidel Castro.

Fidel Castro: przez Japonkę

– Wtedy jeszcze jako młodzieńczy rewolucjonista – śmieje się Fidel, czyli Piotr Suska, 58 lat, z zawodu technik plastyk o specjalności reklama handlowa. – Dziś już nieco posiwiały.

Jak Piotr stał się Fidelem? Wszystko stało się przez pewną Japonkę, która w latach 80. przyjechała do Warszawy. Piotr chciał dla niej wyglądać jak samuraj: zapuścił włosy i brodę. Często brano go wtedy za Żyda. Nieraz zdarzyło się, że ktoś krzyknął: „Żydzie, zgól brodę!”.

Z miłości do Japonki jednak nic nie wyszło – kobieta wyjechała do Jokohamy, ale broda została.

Pewnego dnia Piotr wybrał się na ryby, ubrany w wojskowe moro – nagle inni wędkarze zaczęli wołać: „Fidel łowi ryby!”. Krótko potem trafił do klubu na Mokotowie. – I tak w tym towarzystwie zaistniałem – opowiada. – Kiedyś w moim życiu była tylko szarzyzna i monotonia, dzięki Fidelowi stało się ono ciekawsze, bogatsze.

Klub na Mokotowie działał jednak tylko do początku lat 90. Potem pojawiło się stowarzyszenie – Castro był nawet w jego zarządzie. – Niestety, wszystko się szybko rozwaliło.

Pod koniec lat 90. Jacek Pieniążek postanowił ponownie zebrać całe towarzystwo. Dopisał do swojej firmy kolejny numer statystyczny – i równolegle do głównej działalności (ma biuro handlowe, które zajmuje się uzupełnianiem dostaw do firm) prowadzi od tego czasu również agencję artystyczną. Organizuje różnego rodzaju imprezy firmowe, korporacyjne, jubileuszowe, eventy w centrach handlowych itd. Żeby móc pracować dla agencji Jacka, trzeba najpierw wysłać swoje zdjęcia – oczywiście jeśli dostrzega się u siebie podobieństwo do kogoś znanego. Od początku powstania Agencji Sobowtórów D.C. Norris przewinęło się przez nią około 50 osób. Agencja ma swoją stronę internetową i profil na Facebooku. Wśród sobowtórów, których usługi oferuje, są m.in.: Władimir Putin, Napoleon Bonaparte, Sylvester Stallone, Włodzimierz Lenin, Marilyn Monroe, Józef Stalin, Bruce Willis, Jack Nicholson, Tina Turner, Michael Jackson, Jennifer Lopez i Freddie Mercury. Czworo ostatnich śpiewa na żywo. – Freddie tak dobrze – opowiada Jacek – że ludzie są zdumieni, gdy na chwilę odsuwa mikrofon od ust i śpiew cichnie. Są przekonani, że wszystko idzie z playbacku.

Papież Franciszek: przez znajomą

Swoje zdjęcie do agencji wysłał też Jarosław Skrzypczyk (52 lata), czyli papież Franciszek. – Oczywiście, po śmierci Jana Pawła II – śmieje się. – Najpierw musiało mnie wybrać konklawe.

W jaki sposób Jarosław stał się Franciszkiem? Gdy jako sprzątacz pracował w warszawskim hotelu Hilton przy ul. Grzybowskiej, pewnego dnia znajoma rzuciła w jego stronę: „Wyglądasz, jakbyś był synem papieża Franciszka!”. Po powrocie do domu zaczął oglądać zdjęcia – podobieństwo było rzeczywiście uderzające. Sam się dziwił, że wcześniej go nie zauważył. Jarek był jak Franciszek, ale taki z przeszłości – młodszy o jakieś 20 lat.

Do zdjęć wypożyczył sutannę. Jednak gdy został już przyjęty do agencji, postanowił zainwestować w porządny strój. Znalazł w internecie właściwą firmę – okazało się, że prowadzą ją siostry zakonne. Krzyż kupił w firmie wysyłkowej – jest prawie taki sam, jaki ma papież, tylko nieco mniejszy. Wszystko koszto-

JACEK TARAN

Jacek Pieniążek (Chuck Norris), Jarosław Skrzypczyk (papież Franciszek) i Piotr Suska (Fidel Castro). Warszawa, 23 maja 2021 r.

wało go około 1800 złotych. – Ale jakbym miał hajs, tobym pojechał do Rzymu. Wiem, gdzie niedaleko Watykanu jest sklep, w którym szyją prawdziwe stroje papieskie – opowiada, po czym wyciąga z niewielkiego plecaka białą, „papieską" sutannę.

Chuck ma dzisiaj na sobie oryginalny, letni płaszcz z Teksasu: – Kosztował tysiaka.

Z kolei Fidel przyszedł pod pomnik Kilińskiego ubrany na luzie, w jasne spodnie i kurtkę. – Munduru dziś nie zabrałem. Ale skoro koledzy już ubrani, to chociaż założę czapeczkę – śmieje się, po czym nasuwa na głowę czapkę z daszkiem, a do ręki bierze małą, kubańską flagę.

Jego poglądy polityczne? Trzeba robić rewolucję. Jaką? Taką, żeby ludzie odczuli, że żyją normalnie. Bo teraz na świecie istnieje kasta bardzo bogatych, którzy rządzą całą resztą; jest ich przecież zaledwie jeden procent. A powinno być odwrotnie.

Castro nie umarł

Na warszawskiej Starówce coraz więcej ludzi – i coraz większe zainteresowanie tym, co się dzieje pod pomnikiem Kilińskiego. Co chwilę ktoś podchodzi i pyta, czy może zrobić sobie zdjęcie. Nie ma sprawy – Fidel, Chuck i Franciszek zawsze chętnie pozują.

Czy zawsze spotykają się z takimi reakcjami? Nie, Chuck pamięta imprezę, na której pojawił się z atrapą pistoletu. Gdy jeden z uczestników zobaczył fałszywą broń, po chwili demonstracyjnie przyniósł prawdziwą spluwę. – Często nie wiemy, kim jest osoba, która organizuje daną uroczystość. Zdarza się, że jest to po prostu mafia.

Bywa również, że ktoś wyzywa Chucka na pojedynek karate. – Czy uprawiałem ten sport? Musiałem, ze względu na skąpy wzrost. Trochę nadal trenuję, bo na większości imprez pokazuję wykop z półobrotu.

– Od kiedy na topie są w Polsce konflikty o podłożu religijnym – dodaje Franciszek – ludzie reagują gorzej niż jeszcze kilka lat temu. Teraz rzadko ktoś wrzuca moje zdjęcia na Facebooka, pojawiają się za to słowne ataki przeciwników Kościoła. Z drugiej strony, kiedyś na ulicy zebrały się wokół mnie starsze, bardzo religijne panie. Chciały wzywać policję, krzycząc, że to bezczeszczenie świętości. Ekipa telewizyjna, która była ze mną na miejscu, zaczęła ściągać emblematy z samochodów, bo te kobiety je opluwały.

Fidel: – Wcześniej było jakoś normalniej. Teraz to wszystko jest traktowane bardzo politycznie. Na przykład Wałęsę chętnie by wzięli, gdyby zgodził się leżeć w rowie z butelką wódki i gdyby można mu było zrobić zdjęcia. Najbardziej zabolało mnie, że jak umarł Castro, to pies z kulawą nogą się mną nie zainteresował. A przecież tyle lat występowałem w telewizji, reklamach i filmach. Castro umiera – i cisza. A polski Fidel żyje!

Podczas gdy Fidel z pasją opowiada, jeden z przechodniów podchodzi nieco bliżej. Przeprasza, że przeszkadza, ale chciałby się przywitać z papieżem Franciszkiem: – Niech będzie pochwalony! Mam jeszcze pytanie: czy to jakiś happening?

– Tak – odpowiada Chuck.

– A dlaczego tak? – dopytuje mężczyzna.

– Bóg tak chciał – odpowiada mu „stary komunista" Fidel.

Płaczący Gołota

Zwykle bywa jednak zabawnie.

Franciszek został kilka lat temu zaangażowany na rocznicę otwarcia dużego warzywniaka w Oleśnicy. Rozdawał żurek i chleb ze smalcem. Krótko po uroczystości robił zakupy w Biedronce. Gdy ↦

↦ wychodził ze sklepu, spotkał kilka zakonnic. „Gdzie tu do klasztoru?” – pytają. „Siostrzyczki, ja nie wiem – przyjechałem tu na wizytację”. Kiedy kobiety się zorientowały, śmiechu było co niemiara. – Kilka zdjęć sobie siostrzyczki z papieżem zrobiły.

Czy z powodu podobieństwa do papieża Franciszka zmieniło się jego życie? Czy stał się bardziej religijny? – Wierzę, że po śmierci coś jest, ale nie wierzę w kościelne instytucje. Wymagają głębokich reform, a przecież wiadomo, że one szybko nie nastąpią, bo to jest biznes.

Chuck też pamięta kilka zabawnych zdarzeń. Ot, choćby impreza w Warszawie, z której miał porwać pana młodego. Tak, porwać. O dziwo, aranżowane porwania – choć nie są zbyt mądre, gdyż nigdy nie wiadomo, jak zaatakowany człowiek zareaguje – to często zamawiana „usługa” w agencji. Odbywają się one najczęściej przed ślubem. – Zawsze pytam, jak wygląda osoba, która ma zostać porwana, jakiego jest wzrostu i tak dalej. Przez telefon kolega faceta mówi mi, że jest on średniego wzrostu. Wchodzę do mieszkania, a tu kilku wielkich, mocno rozbawionych facetów. I jeden z nich mówi: „Wiesz, głównie to my jesteśmy bokserami”. Od razu zacząłem nerwowo opowiadać dowcipy – ani myślałem o porywaniu gościa. Na szczęście jeden z nich nagle się rozpłakał mi w ramię. Mówił, że dziewczyna go rzuciła, że kosztowała go dwieście tysięcy złotych, że samochód jej kupił... A był wielki jak Gołota.

Pamięta też wesele: wchodzi na salę z listem gończym, mówiąc, że pan młody jest poszukiwany, że została wyznaczona za niego nagroda miliona pesos. – Patrzę, jest pan młody, zakładamy kajdanki. Mówię, że goście muszą go wykupić, bo inaczej nie będzie nocy poślubnej... Wszyscy na to: cha, cha, cha! A tu nagle na końcu sali wstaje facet i krzyczy do pana młodego: „Krzysiu, syneczku, aresztowali cię...?!”. „Nie, tato, to taka zabawa, to Chuck Norris”. „Jaki Chuck Norris...?!”. I facet idzie, wstawiony, stoliki przewraca. Na szczęście w końcu runął, bo już myślałem, że trzeba będzie uciekać.

– Śmieszna sytuacja zdarzyła się też kiedyś Sylvestrowi Stallone’owi, czyli naszemu koledze Mariuszowi – ciągnie Jacek. – Porwał na wieczorze panieńskim pannę młodą. Gdy wsiadła do samochodu, pokazał jej filmik nagrany przez jej koleżanki, w którym jej narzeczony jak w średniowiecznym lochu był przykuty łańcuchami do ściany za handel narkotykami. Kobieta na to w śmiech. A Mariusz do niej: „Nie żadne cha, cha, cha, tylko cię aresztuję, bo jesteś współwinna”. „Tak?”. „Ja cię tu zaraz załatwię” – mówi do niej i wyciąga giwerę. Kobieta tak się przestraszyła, że zaczęła płakać. Gdy przyjechali na miejsce, z wściekłości rzuciła się z pięściami na swoje koleżanki. Wtedy Mariusz zaczął ją przepraszać: „Proszę mnie zbić, mnie proszę zlać!”.

Fidel także miał wiele zabawnych zdarzeń. Żegnał kiedyś o drugiej w nocy na Okęciu wycieczkę lecącą na Kubę. I nagle na wszystkich ekranach lotniskowych pojawiła się jego twarz...

Koniec bajki

Czy spotkali swoje oryginały?

Fidel próbował dotrzeć do prawdziwego Castro. Nie, nie chciał polecieć na Kubę – po prostu pisał listy, w których prosił o zdjęcie z autografem. Ale chyba te korespondencje nie dochodziły, bo nigdy nie dostał żadnej odpowiedzi. A może po prostu Fidel nie chciał się spotykać z „konkurencją”?

Listy ze zdjęciami wysyłał też Franciszek. Nigdy jednak nie był w Rzymie. Po co wysyłał listy? Po prostu – żeby ktoś go zauważył. I jeśli papież Franciszek nie miałby nic przeciwko temu, to bardzo chętnie by się z nim spotkał. Ale do dziś z Watykanu nie przyszła żadna odpowiedź.

Chuck, owszem, spotkał się z prawdziwym Norrisem. Było to kilka lat temu – gdy obaj grali (na zmianę) w reklamie banku WBK. Kiedy dobierano dla nich ubrania, okazało się, że koszula, kamizelka i płaszcz są w tych samych rozmiarach. Prawdziwy Norris tylko buty miał większe. Podszedł od razu do Jacka, przywitał się, poklepał go po plecach. Bardzo bezpośredni – luzak.

Wszyscy trzej przyznają, iż nie sposób na byciu sobowtórem zbić fortuny. Najlepiej powodzi się Chuckowi. – Jestem politycznie obojętny, więc mam bardzo dużo zleceń. Wynajęcie sobowtóra kosztuje w mojej agencji od 500 zł do kilku tysięcy za dzień, to zależy od kilku czynników. Ale wyżyć się z tego na pewno nie da, bo zlecenia są nieregularne. Jedne sobowtóry są bardziej popularne, inne mniej. Najgorzej jest teraz z Fidelem, bo choć to postać znana na całym świecie, odbierana jest z niechęcią.

– Prawda jest taka, że jak teraz PiS walczy z opozycją, to ja jestem na totalnym bezrobociu – żali się „ojciec kubańskiej rewolucji”. – Tracę po prostu pieniądze. Jakiś czas temu grałem w reklamie sprzętu Koniki Minolty i wtedy pojawiły się głosy oburzenia wśród polityków: jak to w ogóle możliwe, że Fidel występuje w reklamie? Reklama miała być na autobusach, na billboardach – jednak ostatecznie nie doszła do skutku.

W ostatnich latach Fidel występuje częściej jako Święty Mikołaj. Wie jednak, że to wszystko jest możliwe tylko dzięki jego długiej brodzie. – Kiedyś ją zgolę i bajka się skończy.

© MARCIN CHODUŃ

POŻEGNANIE

Msza święta żałobna
za Zmarłego 17 stycznia 2021 roku w Rzymie

Ś.† P.

Alfreda Gawrońskiego

Syna Jana i Luciany z Frassatich

zostanie odprawiona dnia 19 listopada br. o godz. 13.00
w Warszawie w kościele św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach,
po czym nastąpi odprowadzenie na cmentarz miejscowy
do grobu rodzinnego.
O czym zawiadamiają, prosząc o modlitwę

ŻONA CLOTILDE Z DZIEĆMI: PIER GIORGIO, EMANUELA, JANUSZ, STAS I ORSOLA,
Z KTÓRYMI ŁĄCZY SIĘ RODZEŃSTWO: NELA, WANDA, MARIA GRAZIA, GIOVANNA, JAŚ

DOROTA

Masłowska: *Starsza kobieta udaje robota*

Stoję w rogu obfitości. Na obfitość składają się głównie zakurzone znicze. Do tego na stojakach odłogiem: piórniki, okulary do czytania, misie, kolorowanki, parasolki, artykuły papiernicze, bombonierki, skarpety, flagi, artykuły patriotyczne i antysemickie. To Poczta Polska. Nie jestem tu pierwszy raz, więc wiem, jak postępować. W myślach szykuję komunikat doskonale prosty, spójny, monolityczny, niepozostawiający pól do mnożenia wątpliwości. Chcę kupić pięć znaczków na list zwykły. Jestem klarowna, zdecydowana, nierozmowna, nie nawiązuję kontaktu wzrokowego.

Mimo to, niby w greckiej tragedii, dzieje się dokładnie to, czemu próbuję zapobiec: pracownica przypuszcza na mnie atak opcjami („Zwykły? A może jednak przyspieszony?", „Tylko pięć? A może sześć?"). Tembr głosu ma empatyczny, troskliwy; ewidentnie martwi się o mnie, że nie wiem, czego mi naprawdę potrzeba, że nie znam wszystkich możliwości („Jeden list? A może dwa listy? Trzy listy? Cztery listy?", „Zwykły? Czy może przyspieszony?"). Jednocześnie wszystkie te ciepłe propozycje składa w sposób robotyczny, nie zwracając uwagi na moje reakcje, skupiona na tym, co musi zaproponować w następnej kolejności.

To starsza pani o siwych, skromnie przyczesanych włosach: ma w sobie przez to coś ze starej, przeskalowanej dziewczynki. Z łatwością można ją sobie wyobrazić, jak biegnie przez podwórze z lejem po bombie, prowadząc koło patyczkiem. Jak tańczy rock'n'rolle z taśm z Włodkiem, choć on podoba się też Uli. Pocztę kochała od zawsze; kojarzyła jej się z paczkami z Danii i prześlicznymi kartami, które słała ciocia. Widzę, jak przybija swoją pierwszą pieczątkę. Przełącza pierwszą międzymiastową, odbiera telefaks, związuje gumką emeryturę staruszce, przyjmuje list polecony, tłumaczy się przed kierownikiem ze źle wypełnionej księgi; wbija widelczyk w wuzetkę na imieninach koleżanki. Wesele skromne, w mieszkaniu na Woli. W grudniu wychodzi ze szpitala z synkiem zawiniętym w kocyk i jedzie autobusem, choć szwy strasznie piją; mąż nie mógł. Kilka lat później rodzi się córa. Dziś dawno sami oni mają dzieci. Wnuczek ćwiczy karate, ale ma już smartfon, i tylko ciągle w tym smartfonie, gdy się go o coś pyta, coś tylko odfukuje, odburkuje. Co on ma w tym smartfonie, to nie wiadomo; wnusia jeszcze za malutka, ale też już ciągle tylko „baba, daj" i pokazuje na jej telefon komórkowy, a to jest taki bez żadnych ani internetów, ani twitterów, ani co to tam teraz jest. W pracy tak samo: same komputery, skanery i wszystko skanować, podpis też elektroniczny. A do każdej przesyłki proponować sympatycznym głosem zakup kasztanków w promocyjnej cenie, choć klient przyszedł tylko odebrać polecony, a kasztanki i mydło to sama ona woli zakupić w Biedronce, a nie na poczcie.

„A może powiadomienie smsem?" – pyta. Głos ma przymilny, choć widzę, że jej oczy patrzą na wskroś przeze mnie: tam, gdzie stoję, widzi, że grób mamy trzeba umyć i co dziś zrobi na obiad. W myślach wysypuje na talerz tartą bułkę i obtacza w niej mielone; ustami zaś wygłasza marketingowe formułki, wyuczone na jakimś szkoleniu na czwórę minus. Czy można mieć jej to za złe? Żaden z niej demon marketingu. Najwyżej nieporadny, zażenowany demonek, starający się wykonywać swoje zadanie tak dobrze, jak umie. Starsza pani źle udająca robota.

A gdy już przerobimy razem wszystkie te stopniowo odrywające się od tematu znaczków możliwości („Ubezpieczenie pocztowe?"), pozwolimy się im rozgałęzić, rozhulać („A może sprzedaż waluty?"), a wreszcie kompletnie rozabstrahować i pofrunąć szeroko („Pomoc fachowców w razie zalania?"), okaże się, że okrężną drogą wracamy do tego, że to jednak tylko te znaczki („To tylko te znaczki?"). Ona bierze klaser, zagląda do niego jak do wielkiej przenajświętszej księgi... I mówi do mnie: „Chce pani Auschwitz, Św. Józef czy Leszno?".

Widząc zaś moją zszokowaną minę: „Takie trzy rodzaje mam, musi pani już sama zdecydować". Na odpowiedź są dosłownie sekundy. Każdy wybór ma same minusy. Zażyła mnie z mańki. Auschwitz od razu wykluczam. Choć nie da się wiele złego powiedzieć o Św. Józefie. Po chwili namysłu, dając upust swoim uprzedzeniom do Kościoła katolickiego, wybieram jednak Leszno. Choć jest to wybór typu „najmniej najgorszy". „To w takim razie Leszno" – słyszę, jak mówię. I ogarnia mnie najwyższa, przeszywająca bizarność. ©

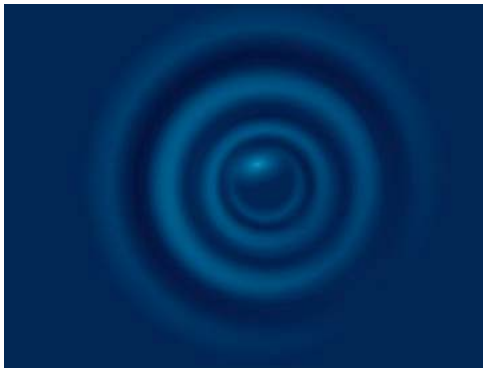

Głusi w Polsce
Niewysłuchana mniejszość

Bohaterami tekstów Anny Goc są osoby głuche, które posługują się polskim językiem migowym (PJM), a język polski jest dla nich językiem obcym. Jak się im żyje w naszym kraju? Czy ich prawa są respektowane? Na czym polega audyzm, czyli dyskryminacja osób głuchych? Kim są Głusi przez duże „G" i co się kryje za hasłem „duma z bycia Głuchym"?

Czytaj w specjalnym serwisie powszech.net/niewysluchani

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ŻYCIE MATKI

W sytuacji, gdy ciąża stanowi zagrożenie życia, dochodzi do dramatycznego konfliktu wartości. Kościół nadal nie ma dobrego pomysłu, jak go rozwiązać.

ARTUR SPORNIAK

Tragiczna śmierć ciężarnej 30-letniej Izabeli w szpitalu w Pszczynie wywołała protesty w całym kraju. Demonstrowano pod hasłem „Ani jednej więcej". By ten postulat mógł być w jak największej mierze wcielony w życie, pszczyńska tragedia powinna zostać dokładnie przemyślana. Nie jest to proste, gdyż wydarzyła się ona w kontekście skomplikowanego splotu czynników medycznych, politycznych, społecznych, ale też religijnych.

Po odejściu wód płodowych w 22. tygodniu ciąży Izabela trafiła na oddział położniczy, gdzie potwierdzono wcześniej zdiagnozowane poważne wady płodu i podwyższone markery zapalenia. Podano antybiotyki i poinformowano ją o podjęciu przez lekarzy „postawy wyczekującej" do czasu obumarcia płodu. Stan pacjentki jednak szybko się pogarszał i następnego dnia wcześnie rano zmarła.

Zagrożone istnienie

Medyczny kontekst jest chyba najłatwiej precyzyjnie zbadać. I można się spodziewać, że zostanie to dokonane podczas prowadzonego przez prokuraturę śledztwa. W tej chwili na podstawie dostępnych danych i ogólnej wiedzy medycznej można sformułować zaledwie ostrożne przypuszczenia.

Po odejściu płynu owodniowego zmienia się sytuacja płodu i matki. Gdy następuje to na długo przed właściwym terminem porodu, życie obojga staje się zagrożone. Przebywający w płynie owodniowym i otoczony błoną płodową płód jest chroniony przed zakażeniem. Przy utracie takiej ochrony szybko może rozwinąć się sepsa. Po śmierci pacjentki szpitala w Pszczynie taką sytuację poznała właśnie cała Polska. Ale nie jest prawdą, a to przekonanie dominuje w mediach i na ulicy, że w takich sytuacjach lekarze rutynowo podejmują się aborcji (albo dokonują cesarskiego cięcia, jeśli płód jest już w stanie sam przeżyć – za graniczną datę przyjmuje się początek 23. tygodnia, wówczas z każdym dniem wzrasta szansa dziecka na przeżycie). Medycznym standardem jest postępowanie wyczekujące, zwykle z jednoczesnym podawaniem antybiotyków hamujących rozwój zakażenia i sterydów stymulujących rozwój płuc u dziecka.

Jak długo płód może przetrwać bez płynu owodniowego? Literatura fachowa wskazuje na różne przypadki z różnym okresem – od kilkudziesięciu godzin do kilkudziesięciu dni. W jednym z francuskich badań, opublikowanym w 2010 r., przebadano dokumentację 38 ciąż, podczas których wystąpiło pęknięcie błon płodowych przed 24. tygodniem. Postępowanie wyczekujące zastosowano u 25 kobiet. U połowy z nich okres od odejścia wód do porodu wyniósł powyżej 35 dni, przy czym rozstrzał był bardzo duży: od 1 do 163 dni. Świadczy to o znacznym zróżnicowaniu sytuacji – każdy przypadek powinien być zatem traktowany indywidualnie, a stan kobiety ściśle monitorowany.

Tego monitoringu najprawdopodobniej zabrakło w przypadku Izabeli z Pszczyny – tak twierdzi dziennikarka i lekarka Joanna M. Kociszewska na łamach portalu Więź.pl w artykule „Nie umiem pojąć, że zignorowano jasne sygnały rozwijającej się sepsy. Sprawa Izy z medycznej perspektywy". O tych sygnałach mówiła mediom matka pani Izabeli oraz pacjentki, które leżały z nią na sali: kobieta wielokrotnie zgłaszała, że czuje się coraz gorzej, miała wysoką gorączkę z dreszczami, zgłaszała zielone „upławy", ostatecznie nie miała siły, by sama prosić o pomoc. Autorka sugeruje, że to brak właściwej opieki mógł się najbardziej przyczynić do śmierci. Jednocześnie ignoruje ona fakt, że płód posiadał wady letalne.

Lęk przed prawem

Czy w przypadku ich wystąpienia, gdy płód nie ma szans na przeżycie, postępowanie wyczekujące (na śmierć dziecka, bo przecież nie na jego prawidłowy rozwój) nie jest narażaniem kobiety na nieuzasadnione ryzyko?

Tu wkracza kontekst polityczny, czyli orzeczenie sprzed roku Trybunału Konstytucyjnego, wydane pod przewodnictwem Julii Przyłębskiej, znoszące tzw. przesłankę eugeniczną. Kociszewska uważa, że nie odegrało ono żadnej roli, gdyż Trybunał nie zniósł legalności aborcji w przypadku zagrożenia życia matki, a z tą mamy tu do czynienia. Poza tym gdyby lekarze rzeczywiście bali się oskarżenia przez prokuraturę, że dokonali aborcji z powodu wad letalnych, mimo że chcieli ratować życie matki, z równą mocą powinni bać się posądzenia, że do śmierci matki doprowadziła ich bezczynność. Pilnie zatem monitorowaliby jej stan, a tego – jak wiele na to wskazuje – nie robili.

Myślę, że Kociszewska może się tu mylić. Po pierwsze, gdyby lekarze dokonali aborcji natychmiast po przyjęciu pacjentki, prokuratura mogłaby ich rzeczywiście oskarżyć o uśmiercenie dziecka z powodu wad letalnych, bo przecież w przypadku przedwczesnego odejścia wód płodowych zasadą jest podejście wyczekujące. Potwierdza to rekomendacja ze wspomnianego francuskiego badania: „Z naszej obecnej wiedzy wynika, że przerwanie ciąży powinno być omawiane z kobietami i ich partnerami tylko w przypadku bardzo przedwczesnego, spontanicznego zerwania błon płodowych". (Wśród rozpatrywanych tam ciąż nie było jednak płodu z wadami letalnymi).

Po drugie, w przypadku pszczyńskich lekarzy mógł zadziałać prosty psychologiczny mechanizm: gdy uznali, że zażegnali główne dla nich niebezpieczeństwo (odmówili aborcji), inne (sepsa grożąca pacjentce) odruchowo zaczęli lekceważyć. Potwierdza to esemes wysłany do matki przez panią Izabelę po rozmowie z lekarzami: „Na razie dzięki ustawie aborcyjnej muszę leżeć. I nic nie mogą zrobić. Zaczekają, aż umrze lub coś się zacznie, a jeśli nie, to mogę spodziewać się sepsy. Przyspieszyć nie mogą. Musi albo przestać bić serce, albo coś się musi zacząć". I zaczęło się szybciej, niż zareagował personel pszczyńskiego szpitala. W każdym razie motyw lęku przed zaostrzonym prawem mógł odegrać większa rolę, niż sądzi autorka medycznego komentarza.

Społeczny gniew

Kontekstem społecznym są masowe protesty. Po roku mamy powtórkę erupcji ludzkiego gniewu. Jego podłożem jest lęk kobiet, że cyniczna gra polityków restrykcyjnym prawem może przełożyć się na zagrożenie ich życia. Śmierć Izy z Pszczyny jest smutnym tego potwierdzeniem.

Pojawiły się głosy rozsądku, by powrócić do kompromisu antyaborcyjnego z lat 90. Tak postulują nie tylko niektóre medyczne autorytety. Na łamach portalu Więź.pl etyk z KUL ks. Alfred Wierzbicki w komentarzu „Ani relatywizm, ani fundamentalizm" przypomina zalety kompromisowej ↦

JOANNA MRÓWKA / FORUM

Manifestacja „Ani jednej więcej". Kraków, 7 listopada 2021 r.

↦ ustawy z 1993 r.: „Sądzę jednak, że ustawa ta jest czymś więcej niż kompromisem, wyraża się w niej mądrość prawodawcy w odniesieniu do delikatnej materii zasad etycznych i prawa. Po pierwsze jest ona ustawą chroniącą prawo dziecka poczętego do życia. W ten sposób odzwierciedla w systemie prawnym zasadę osobowej godności embrionu. Po wtóre w dramatycznych okolicznościach ciąży ustawa nie nakazuje kobiecie czynów heroicznych. Po trzecie zostawia miejsce na kompetentne rozeznanie medyczne, zezwalające na działania oparte na szczegółowej i zweryfikowanej analizie konkretnego przypadku". I jako etyk zauważa: „Uwzględnienie przypadków, w których aborcja jest legalna, nie musi wcale oznaczać, że uznaje się ją za normę. Wynika ono z uznania granic prawa wobec sfery moralnej".

Nie wiadomo jednak, czy powrót do kompromisu będzie w ogóle możliwy. Najprawdopodobniej przy zmianie sceny politycznej wahadło odwinie się w drugą stronę i na wiele lat nastąpi znaczna liberalizacja prawa antyaborcyjnego.

Gdy rozważamy przypadek śmierci na oddziale położniczym szpitala w Pszczynie, powinniśmy dociekać samych fundamentów problemu. Niewielu mówi o prawdziwym źródle wszystkich tych wstrząsów. Nie są nimi kontrowersyjne poglądy aktywnych publicznie osób postrzeganych jako fundamentaliści, jak Kaja Godek czy prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski. Akurat oboje w komentarzach do przypadku z Pszczyny bronili wyroku TK, odwołując się (zapewne taktycznie) do prawnej dopuszczalności aborcji z uwagi na zagrożenie życia matki. Źródłem prawdziwie skrajnych poglądów jest Magisterium Kościoła, gdyż ono żadnych wyjątków dla terminacji ciąży nie przewiduje.

Bez wyjątków

„Przecież dobra Matka, Kościół, zna doskonale i docenia zdrowotne względy, zagrażające życiu matki, o które tu chodzi. Któż może bez głębokiego współczucia o tym myśleć?" – pochylał się z troską znad biurka w papieskim gabinecie pałacu apostolskiego Pius XI, pisząc w 1930 r. encyklikę „Casti connubii". Ale jednocześnie twardo zauważał: „Lecz jakiż kiedykolwiek przytoczyć można powód dla usprawiedliwienia zamierzonego zabójstwa niewinnego dziecięcia?

Źródłem prawdziwie skrajnych poglądów jest Magisterium Kościoła, gdyż ono żadnych **wyjątków dla terminacji ciąży nie przewiduje.**

A przecież o to tu chodzi. I czy ono [zabójstwo] godzi w życie matki, czy w życie dziecka, zawsze sprzeciwia się przykazaniu Bożemu i głosowi przyrodzonemu: »Nie zabijaj«".

Ten refren o braku wyjątków – nawet w sytuacji zagrożenia życia matki – systematycznie się powtarza bez żadnych niuansów. „Na przykład ratować i zachować życie matki to cel bardzo szlachetny. Ale zabicie wprost dziecka jako środek do tego celu nie jest dozwolone" (Przemówienie Piusa XII do położnych, 1951 r.).

„Nie możemy nie uznać tak poważnych trudności, jak na przykład, że naraża się na niebezpieczeństwo zdrowie matki, a nawet jej życie (...). Należy jednak stwierdzić, że nigdy żaden z tych motywów nie może obiektywnie przyznać prawa do decydowania o życiu drugiego człowieka, nawet w fazie początkowej" (Deklaracja o przerywaniu ciąży „Quaestio de abortu", 1974 r.).

W encyklice „Evangelium vitae" z 1995 r. Jan Paweł II próbował nawet zdogmatyzować bezwarunkową niemoralność pozbawienia życia niewinnej istoty ludzkiej, gdyż użył specjalnej, uroczystej formuły charakterystycznej dla stwierdzeń dogmatycznych (wielu jednak teologów podważyło skuteczność tego kroku).

Dramatyczny dylemat

Z jednej strony mamy chłodne argumenty moralnych absolutystów: życie ludzkie nie podlega jakościowym i ilościowym kalkulacjom, a to znaczy, że życie matki jest tak samo wartościowe, jak życie dziecka; bezpośrednie zmierzanie do czyjejś śmierci zawsze jest moralnym złem; moralnie różnią się powstrzymanie się od działania ratującego czyjeś życie i działanie ratujące życie czyimś kosztem. Z drugiej trudno ze spokojem myśleć o śmierci matki wraz ze śmiercią płodu z powodu patologicznej ciąży i bezczynności lekarzy. Czujemy, że domaganie się, by matka (a z nią lekarze) była heroicznie bezbronna, jest moralnym nadużyciem. Czy jest jakiś sposób na przełamanie bezradności, w jakiej stawia nas ten dylemat (s. Barbara Chyrowicz w książce „O sytuacjach bez wyjścia w etyce" mówi o bezradności moralnych absolutystów)?

Sygnałem, że postawa absolutystów jest trudna do utrzymania, jest fakt, że godzą się oni na działania ratunkowe, gdy ciąża bezpośrednio zaczyna zagrażać matce. Wówczas śmierć dziecka jest traktowana jako niezamierzony skutek uboczny, nawet jeśli wśród działań ratunkowych byłoby też usunięcie płodu (co jest oczywiście niekonsekwencją).

Warunkiem rozwiązania dylematu byłoby wskazanie moralnie istotnej różnicy między perspektywą matki a sytuacją płodu. I takie argumenty od dawna się pojawiały – to płód zagraża życiu matki, więc ma ona prawo do obrony koniecznej – skoro odpowiedział na nie już Pius XI: „Niedorzecznie bardzo przywodzi się przeciw tym niewinnym istotom prawo miecza, gdyż ono obejmuje jedynie winnych. Nie wchodzi tu także w grę zasada godziwości krwawej obrony przeciw napastnikowi (któż bowiem niewinne takie maleństwo mógłby nazwać napastnikiem?)".

Nowoczesna odsłona argumentu z obrony sformułowana została przez Judith Thomson w głośnym artykule „Obrona aborcji" z 1971 r., wywołując kolejną rundę sporu. Choć wydaje się on nadal nierozstrzygnięty, zdjęcia Izabeli niesione na marszach protestacyjnych powinny być mobilizacją, by w Kościele wciąż szukać argumentów umożliwiających przekroczenie dotychczasowego sztywnego stanowiska.

Oczywiście nienarodzone dziecko zagrażające życiu matki nie jest „napastnikiem". Ale gdy biegnie ktoś na nas z nożem, też nie myślimy, że biegnie „napastnik". Odruchowo postrzegamy zagrożenie i to na nie reagujemy. Z punktu widzenia osoby zagrożonej nieważne jest, czy napastnik świadomie targa się na nasze życie, więc jak zginie, sam sobie będzie winny, czy jest osobą niepoczytalną, której śmierć będzie tragedią.

Zakres normy „nie zabijaj" już raz został ograniczony do „niewinnej istoty ludzkiej". Może powinien zostać ograniczony do „istoty nikomu nie zagrażającej"?

©℗ ARTUR SPORNIAK

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Siostra Anusha Fernando, koordynatorka jednego ze żłobków prowadzonych przez Kościół w południowym Tel Awiwie. 10 listopada 2021 r.

Duszpasterstwo niewidzialnych

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL-AWIWU

Na potrzeby uchodźców i migrantów w Izraelu Kościół reaguje natychmiast – najpierw działa, potem legalizuje. Priorytetem jest ludzkie życie, a nie dobre układy z władzą.

Miała nadzieję na lepsze życie. Wtedy, gdy żegnała się z dwuletnim synem, oddając go pod opiekę rodzicom i licząc, że wkrótce się spotkają. I później, przez kilka miesięcy wędrówki w sporej grupie erytrejskich migrantów – nocami, w ciszy i panicznym lęku, by nikt ich nie złapał. Gdy kolejny członek grupy umierał z głodu i wycieńczenia, choć izraelska granica była blisko – ona wciąż miała nadzieję. I także w Izraelu – gdy dowiedziała się, że na świat przyjdzie jej córka.

Dziesięć lat później w głosie 32-letniej Erytrejki Yourdanus nadziei nie słychać wcale. Jest za to gorycz i wielkie zmęczenie.

– Na przyjście do Izraela i ubieganie się o azyl namówiła mnie siostra, której wcześniej udało się zdobyć status. Minęły lata, a ja wciąż nie mam dokumentów. Moja córka urodziła się z niepełnosprawnością. Dziś ma sześć lat, prawie się nie rusza, większość dni spędza w łóżku, dostaje leki. Podobno mogłaby zacząć chodzić, może nawet mówić, ale o specjalistycznej rehabilitacji możemy zapomnieć. Nam, uchodźcom bez statusu, nie przysługuje.

Ma żal do Izraela, że trzyma ją w zawieszeniu, nie wydając decyzji. Boli ją dziesięcioletnia rozłąka z rodziną, z synem – ale wyjeżdżając bez dokumentów, nie mogłaby wrócić do chorej córki. Jednak w odróżnieniu od wielu innych Erytrejek ma pozwolenie na pracę.

– Kocham to, co robię. Tu zapominam o problemach – mówi, a wokół niej kilkanaście małych główek z burzą drobnych loków pędzi na wyścigi plastikowymi samochodzikami, zwanymi z hebrajska bimbami. Dzieci z Erytrei, Etiopii, Filipin, Sri Lanki; od półtora roku do trzech lat. Pośród śmiechów i pisków, płaczu z powodu stłuczonego kolana, całusów wysyłanych w przestrzeń – twarz Yourdanus się rozjaśnia.

I praca, i pomoc

Zatrudnienie i pozwolenie na pracę otrzymała dzięki Kościołowi katolickiemu. Pracuje jako opiekunka w jednym z czterech żłobków dla dzieci uchodźców i migrantów u zbiegu dzielnic Neve Shaanan i Shapira w południowym Tel Awiwie. Łącznie w dziewięciu grupach jest tu 63 maluchów. Organizacją żłobków Kościół zajmuje się we współpracy z izraelską organizacją Unitaf.

S. Anusha Fernando, koordynatorka żłobka: – Do niedawna w południowym Tel Awiwie zdarzały się przypadki śmierci uchodźczych dzieci. Rodzice wychodzili na cały dzień do pracy, zostawiając je pod opieką niewykwalifikowanych osób, bez żadnej kontroli. Na jednego opiekuna przypadało po kilkadziesięcioro dzieci, były zaniedbane i niedokarmione. Po którejś z kolei tragedii nasz ówczesny wikariusz, o. David Neuhaus, zdecydował się na działanie i podjął współpracę z Unitafem. Dziś dzielimy się obowiązkami i kosztami utrzymania tych miejsc: Kościół płaci za wynajem niektórych pomieszczeń (bo część należy już do niego) oraz za ubezpieczenie zdrowotne nauczycielek. Unitaf przejmuje koszty całodziennego wyżywienia naszych dzieci. Pensje nauczycielek opłacane są w całości ze składek rodziców – opieka nad jednym dzieckiem kosztuje 1050 szekli [ok. 1350 zł – to kwota kilkakrotnie niższa niż opłaty w standardowym żłobku w Tel Awiwie – red.]. Rodzice mogą opłacać te składki, bo w tym czasie pracują. Jeśli ktoś nie może ↦

↦ pokryć kosztów, oczywiście mu pomagamy.

Opiekunkami w żłobkach są uchodźcze matki, których szczególna sytuacja sprawia, że nie kwalifikują się do innej pracy. W ten sposób Kościół pomaga także im. Yourdanus jest tego dobrym przykładem.

Maja, druga z opiekunek: – Pracuję tu od pięciu lat, przyjechałam z Filipin. Bardzo chciałam mieć dziecko, ale zachorowałam na raka i stało się to niemożliwe. Gdy wyzdrowiałam, postanowiłam podjąć pracę z dziećmi, które będą mnie potrzebowały. Jestem tu szczęśliwa, czuję, że nie tylko ja pomagam tym rodzinom i dzieciom, ale że też one pomagają mnie.

Zanim rozpoczęły pracę, Yourdanus i Maja przeszły specjalne szkolenia. Unitaf prowadzi też superwizję, pilnując standardów – m.in. tego, by na jedną opiekunkę nie przypadało więcej niż siedmioro dzieci. Raz na dwa tygodnie każda opiekunka przechodzi szkolenie dodatkowe. Do żłobków przyjmowane są dzieci rodziców, którzy nie mają w Izraelu legalnego statusu. Nikt nie pyta o ich pochodzenie, kulturę czy wyznanie.

Ks. Piotr Żelazko, wikariusz dla katolików języka hebrajskiego i proboszcz parafii w Beer Szewie, skupiającej także migrantów i uchodźców: – Te żłobki są dobrym przykładem tego, jak pracujemy w Izraelu. Spontanicznie odpowiadamy na bieżące potrzeby, najpierw organizujemy, szukamy personelu, dopiero później zastanawiamy się, jak to zalegalizować, z jakich środków zapłacić za kolejne miesiące. Działamy szybko, robimy konkretne rzeczy. Podobnie jest na poziomie parafii. Ktoś przychodzi do mnie: nie mówię po hebrajsku, czy mógłby ksiądz ze mną pójść do urzędu, na wywiadówkę do szkoły syna? Nie ma problemu, jadę. Potrzebne leki? Kupuję. Pomoc prawna? Organizuję kogoś ze wspólnoty, kto się na tym zna. Jesteśmy małymi wspólnotami, więc mamy ten luksus, że znamy wszystkich po imieniu.

> Dopóki migranci pracują legalnie, wszystko jest w porządku. Kiedy jednak osoba, która się opiekują, umiera, **tracą prawo pobytu i zaczynają się kłopoty.**

Współczesne niewolnictwo

Żłobki to projekt wikariatu dla imigrantów i azylantów, jednego z dwóch (obok katolików języka hebrajskiego) wikariatów personalnych w obrębie łacińskiego Patriarchatu Jerozolimy. Ta „minidiecezja" obejmuje opieką m.in. uchodźców oraz migrantów zarobkowych. Liczba tych ostatnich stale w Izraelu rośnie.

Najwięcej uchodźców i migrantów przebywa obecnie w Tel Awiwie – otwartym, liberalnym mieście, w którym nie brakuje izraelskich organizacji pomocowych i najłatwiej o pracę. Choć dzielnice, w których mieszkają migranci, nie mają w mieście najlepszej sławy, wciąż przyciągają Izraelczyków rozsądniejszymi cenami wynajmu – dzięki temu migranci nie są wyizolowani. Nie zdarzają się napady np. ze strony izraelskich nacjonalistów.

Benedyktyn Nikodemus Schnabel, wikariusz dla imigrantów i azylantów: – Gdy przyjechałem do Izraela, sądziłem, że grupą najbardziej marginalizowaną są uchodźcy – ci z Erytrei, Etiopii czy Sudanu. Jednak w Izraelu – szczególnie w liberalnym Tel Awiwie, ale też w wielu żydowskich środowiskach religijnych – panuje przekonanie, że przybyszami, którzy przeszli przez piekło, masz obowiązek się zająć, masz ich traktować jak swoich. Najbardziej dyskryminowani są tu migranci zarobkowi: wśród nich np. opiekunki i opiekunowie osób starszych, pomoc niezbędna dla Izraelczyków. Dopóki pracują legalnie, wszystko jest w porządku. Kiedy jednak osoba, którą się opiekowali, umiera, z miejsca tracą prawo pobytu i powinni natychmiast wyjechać. Wielu się na to nie decyduje, bo z pieniędzy zarobionych w Izraelu utrzymują rodziny na Filipinach. Pracują dalej na czarno, bez ubezpieczenia, w nieustannym strachu przed deportacją. Społeczeństwo tego nie rozumie, pyta: dlaczego nie wracają do siebie? Uważam, że to współczesna forma niewolnictwa.

REKLAMA

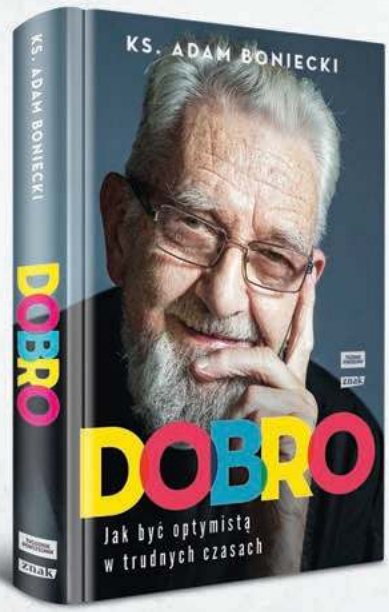

Najnowsza książka księdza Adama Bonieckiego.

Głos rozsądku w twoim domu.

- Jak ze sobą rozmawiać mimo różnic?
- Jak odnaleźć spokój i harmonię w pocovidowej rzeczywistości?
- Czego w dobie kryzysu klimatycznego naucza nas Ewangelia?

PREMIERA JUŻ W LISTOPADZIE

Zamów w przedsprzedaży na stronie
www.znak.com.pl

znak TYGODNIK POWSZECHNY

Izrael pozyskuje opiekunów na podstawie umów z innymi krajami, np. z Filipinami i Indiami. O. Schnabel: – Z naszych danych wynika, że w Izraelu pracuje obecnie legalnie 100 tys. migrantów. 19 tys. przebywa na nieaktualnej wizie. 30 tys. pracuje zupełnie nielegalnie, a 60 tys. to osoby, które przyjechały do kraju turystycznie i zostały. To liczby zebrane w czasie pandemii. Nie ma wątpliwości, że teraz, po otwarciu granic przez Izrael, one wzrosną.

W grupie migrantów zarobkowych dominują kobiety. Wśród nich wiele samotnych matek ze skomplikowaną sytuacją osobistą. W Kościele szukają wsparcia: rozmowy, porady, czasem pomocy materialnej. O. Schnabel: – Ich wiza zależy od pracodawcy, są od niego zupełnie zależne. Często pracują wśród ludzi, którzy stają się dla nich drugą rodziną i pomagają im w trudnych sytuacjach. Ale czasem jest odwrotnie: dochodzi do przemocy, nawet gwałtów. Te historie łamią serce. Kobiety przyznają czasem, że nie mają już siły żyć.

Schnabel przeżywa to osobiście – w rodzinnych Niemczech mama wychowywała go samotnie. Dlatego jest pełen podziwu dla mierzących się z losem Filipinek. – W pierwszej kolejności udzielam im pomocy duszpasterskiej. Mówię: jesteś bohaterką, a ten kościół jest twoim domem. Niezależnie od twojego paszportu, statusu, wizy. Bóg widzi twoją godność, twoje wielkie serce. Mówi ci „tak". Możesz zawsze do mnie przyjść, a ja ci pomogę.

Pocztówka z raju

Większość zarobionych pieniędzy kobiety przekazują na Filipiny. Rodzinie i znajomym wysyłają też zdjęcia: plaże, wieżowce Tel Awiwu, sztuczne uśmiechy. Rodzina nie może poznać prawdy – o gwałcie, aborcji, panicznym lęku przed przyszłością. Niektóre z tych kobiet zostają tu ze swoimi tajemnicami po 30, 40 lat. S. Regina Cobrador, dyrektorka Our Lady Woman of Valor Pastoral Center w Tel Awiwie, opowiada o kryzysach całych rodzin.

– Koszt wyjazdu na kontrakt do Izraela jest bardzo wysoki; aby tu przyjechać, Filipińczyk najczęściej musi coś sprzedać. Przez pierwszy okres pracuje po to, by ten koszt się zwrócił. Czasem zanim zdąży uzbierać potrzebną kwotę, jego podopieczny, osoba starsza, umiera – wtedy trzeba szukać kolejnej pracy, już na czarno. Sytuacja się komplikuje, kiedy rodzą się dzieci, zwłaszcza gdy przychodzą na świat w związku, w którym każde z rodziców ma na Filipinach drugą rodzinę... Ujawnienie tego mogłoby zakończyć się procesem o bigamię i utratą wszystkich pieniędzy zarobionych przez lata w Izraelu. Na Filipiny para wrócić nie może. Mamy obecnie taką sytuację w naszej wspólnocie: para otrzymała tymczasową pomoc od jednego z moszawników, dzięki któremu przedłużono jej wizy. Ale na jak długo to wystarczy?

Szansą dla dzieci migrantów z nieuregulowaną sytuacją jest wstąpienie do armii izraelskiej. **Wiele z nich otrzyma po służbie obywatelstwo.**

W ostatnich latach nagłówki izraelskich gazet krzyczały o problemie deportacji dzieci nielegalnych pracowniczek, głównie filipińskich. W 2006 i 2009 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Izraela groziło deportacją setek urodzonych w Izraelu filipińskich dzieci, których rodzice nie posiadali aktualnych wiz. Publiczne protesty i interwencje izraelskich organizacji pomocowych sprawiły, że około tysiącu udzielono zezwolenia na pobyt. Wiele rodzin zagrożonych deportacją nadal jednak żyje w zawieszeniu, przedłużającym się przez pandemię oraz impas polityczny związany z kolejnymi wyborami. Tymczasem dzieci, wychowywane w tutejszej kulturze, nie znają innej rzeczywistości niż izraelska. W żadnej ze społeczności nie są jednak akceptowane w stu procentach. Na Filipiny jechać nie chcą, często z braku znajomości języka. S. Regina: – Szansą dla tych młodych jest wstąpienie do armii izraelskiej. Wielu z nich otrzyma po służbie obywatelstwo. W naszej społeczności mamy obecnie około 50 dzieci w wieku 16-17 lat, które czekają na powołanie.

Kościół w żydowskim państwie

Kościół zdaje sobie sprawę z tego, że w obliczu kryzysu zmienia się też jego rola. Wie, że deportacje są nieuniknione, bo Izrael nie zdoła wchłonąć tak wielu zagranicznych pracowników i ich rodzin. S. Regina: – Rozmawiamy z władzami, nie mamy złudzeń. Pozostaje nam wspierać te rodziny tak, by powrót na Filipiny wiązał się dla nich z jak najmniejszą traumą. Częścią naszej pracy powinno być teraz merytoryczne przygotowanie dzieci i wprowadzenie lekcji języka tagalog, historii i kultury filipińskiej, oczywiście z pomocą rodziców.

O. Schnabel: – Te dzieci są prezentem, są przyszłością naszego Kościoła. W zglobalizowanym świecie ich podwójna tożsamość to skarb: niech czerpią ze znajomości obu światów, judaizmu i chrześcijaństwa, z tych wielu perspektyw, i z tego, że jak nikt potrafią się w tym odnaleźć.

Kościół działa w Izraelu w specyficznych warunkach. Chrześcijanie stanowią tu zaledwie 2 proc. mieszkańców, parafie katolickie są małe. Odnajduje jednak swoje pole działania i robi to skutecznie – w porozumieniu z władzami, ale niezależnie od nich. Jego społeczna działalność jest postrzegana pozytywnie.

O. Schnabel uważa, że bycie mniejszością pozwala rozwinąć skrzydła. – Niebezpieczna dla Kościoła jest sytuacja, w której rząd daje mu poczucie uprzywilejowania, rozpieszcza – bo łatwo wtedy o utratę krytycznego spojrzenia. Kościół powinien proponować innowacyjne rozwiązania, czasem prowokować, tworzyć płaszczyznę do rozmowy. W przeciwieństwie do polityków Kościół nie musi mierzyć się z wyzwaniem, czy zostanie wybrany na kolejne lata. Dzięki temu może sobie pozwolić na stawanie w prawdzie wobec siebie i ludzi. Dlatego tak ważna jest niezależność od państwa.

S. Cobrador: – W naszym centrum duszpasterstwa mamy pełne ręce roboty. Kilkaset ludzi przewija się każdego dnia, kolejne grupy odprawiają msze w językach: hebrajskim, angielskim, tagalog, gudźarati, syngaleskim i innych. Nasz kościół żyje.

S. Fernando: – Nie możemy rozwiązać wszystkich problemów naszych migrantów spowodowanych polityką, ale możemy pomóc im przetrwać w tym konkretnym trudnym momencie. Niezależnie od ich kultury, religii – wszystkim, którzy tego potrzebują. Bo tak mówi Ewangelia.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Synowie wolności

MAGDALENA KRYSIŃSKA-KAŁUŻNA

Oddzielani siłą od rodziców, wynaradawiani, wykorzystywani – to los nie tylko dzieci kanadyjskich ludów tubylczych. Także dzieci duchoborców.

Do Kanady przywiodła ich w 1899 r. seria tragicznych wydarzeń. Znalazłszy swoją ziemię obiecaną, nie potrafili zaakceptować idei indywidualnie gromadzonego dostatku, zrezygnować z samopoświęcenia i zaufać państwu. Synowie wolności – jeden z odłamów rosyjskich duchoborców, czyli zapaśników Ducha – postanowili wojować z materialistycznym światem, podpalając szkoły i wysadzając mosty. Wysoką cenę zapłaciły za to ich dzieci, przymusowo umieszczane w szkole z internatem, w której próbowano „zabić duchoborcę w dziecku".

Duchoborcy wyłonili się z protestów i rozruchów, które wybuchły w Rosji w końcu XVII i w początkach XVIII w. po wprowadzeniu przez patriarchę Nikona uniformizacji obrzędów i tekstów religijnych. Niezadowoleni ze zmian konserwatywni parafianie niejednokrotnie traktowali wówczas duchownych mianowanych przez carską administrację jak szpiegów. Mnożyły się schizmy, a kraj przemierzali religijni dysydenci. Wśród nich znaleźli się duchoborcy, których pod koniec XVIII w. można było już spotkać od Finlandii po Kamczatkę. Odrzucali prawosławną hierarchię i liturgię oraz kult ikon.

Przeciwnicy duchoborców w carskiej Rosji nazwali ich tak twierdząc, że siłują się z Duchem Bożym. Oni sami twierdzili, że i owszem, prowadzą zmagania duchowe, lecz działając nie przeciwko Bogu, tylko wraz z Nim. Zdaniem zapaśników Ducha każdy ma w sobie iskrę Bożą, świątyniami nie są więc budowle, lecz ciała i serca ludzkie. Duchoborcy są też przekonani, że chrześcijanie nie potrzebują kleru, a Biblia zawiera nauki wyrażone w formie alegorii, nie zaś przytoczone dosłownie Słowo Boże.

Pomoc Tołstoja

Przodkowie kanadyjskich duchoborców stworzyli w Rosji w regionie Tawria osadę Mleczne Wody, skąd jako sekta zostali zesłani na Kaukaz. Radzili sobie jednak całkiem nieźle i pod koniec XIX w. stali się dobrze prosperującą wspólnotą. W 1885 r. jeden z jej najważniejszych liderów – znany później w Kanadzie jako Peter „Lordly" Verigin – nakazał duchoborcom spalenie broni. Wówczas wydarzyło się coś, co na zawsze naznaczyło losy zapaśników Ducha: mieszkańcy wsi Orłowka gromadzący rynsztunek, by go zniszczyć, zostali przez swoich adwersarzy posądzeni o niecne zamiary. Wezwano kozaków. Ci nie mieli skrupułów, by zabijać i gwałcić bezbronnych mieszkańców osady. Badacze uważają, że dla kanadyjskiego odłamu duchoborców było to jedno z najważniejszych, konsolidujących wydarzeń.

Konsekwentnie odmawiający służby wojskowej zapaśnicy Ducha byli więzieni i torturowani, zsyłani na Syberię i wcielani do oddziałów karnych. W tych mrocznych dla nich czasach pojawiła się jednak nadzieja. Był nią Lew Tołstoj. Podzielał idee, które głosili, przede wszystkim pacyfizm i komunitarianizm. Wraz z kwakrami i przy udziale słynnego anarchisty Piotra Kropotkina pomógł grupie siedmiu i pół tysiąca duchoborców dostać się do Kanady, gdzie miały skończyć się ich prześladowania. Jednak i tym razem los się od nich odwrócił. Duchoborcy, ludzie z innego świata i czasu, przywiązani do ziemi, lecz niechcący jej posiadać na własność, w 1907 r. stracili ponad 100 tys. hektarów gruntów rolnych w Saskatchewan. Przenieśli się wówczas do Kolumbii Brytyjskiej, gdzie w 1939 r. uprawianą, zadbaną ziemię skonfiskowano im po raz drugi.

Po 1902 r., kiedy do Kanady pozwolono przyjechać zwolnionemu z zesłania Peterowi Veriginowi, duchoborcy stawali się coraz bardziej podzieleni. Około tysiąca osób zdecydowało się złożyć przysięgę wierności królowej brytyjskiej i zostać farmerami (byli to tzw. niezależni, *jedzinaliczniki*). Ponad 7 tys. tych, którzy odmówili złożenia przysięgi, tworzyło Christian Community of Universal Brotherhood (CCUB), jedną z największych organizacji wspólnotowych w dziejach Ameryki Północnej. Gdy ortodoksyjni duchoborcy stracili uprawianą przez siebie ziemię, poczuli się oszukani, tak jak wcześniej prześladowani i oszukiwani czuli się w Rosji. Wzrosło wówczas ich poparcie dla trzeciej, marginalizowanej wcześniej grupy – synów wolności (*swobodniki*), którzy, pielgrzymując nago, nauczali o konieczności niszczenia upraw i uwalniania bydła.

Boży szaleńcy

Synowie wolności nie chcieli posyłać dzieci do państwowych szkół, ponieważ uważali, że będą tam uczone postaw materialistycznych, nacjonalistycznych i przekonywane o słuszności prowadzenia wojen. Odrzucali prywatną własność, w szczególności dotyczącą posiadania ziemi, jako niezgodną z wolą Bożą. Uważali, że możliwość pracy na ziemi

DOMENA PUBLICZNA / LIBRARY AND ARCHIVES CANADA

Pocztówka fotograficzna przedstawiająca kobiety duchoborców ciągnące pług. Kolonia Północna w prowincji Saskatchewan. Kanada, 1907 r.

i utrzymywania się z jej plonów nie powinna wymagać ani jej kupowania, ani sprzedaży.

Trzy lata po przybyciu do Kanady mieszkańcy wsi Truzdenia po raz pierwszy w historii kanadyjskich duchoborców użyli ognia paląc dobytek, który obciążał ich sumienia. Spłonęły kożuchy i końskie uprzęże. Miejscowi duchoborcy uwolnili też zwierzęta i pozbyli się metalowych przedmiotów. Niektórzy rozdawali pieniądze, inni pielgrzymowali, nauczając, jak żyć, by przestrzegać nakazów Boga. Te radykalne – nawet jak na duchoborców – działania były zainspirowane m.in. listami, które Peter Verigin pisał do Lwa Tołstoja jeszcze w Rosji. Listy dotarły do Kanady przed Veriginem i ugruntowały postawę części duchoborców wobec wszystkiego, co mogło sprzyjać gromadzeniu dóbr i bogaceniu się.

W swojej misji zbawiania świata, a przede wszystkim zbawiania braci duchoborców przed materializmem, synowie wolności nie tylko palili zbiory z pól oraz domy swoje i sąsiadów (w tym samego Verigina), lecz także wysadzali w powietrze szkoły, mosty i linie kolejowe. Przede wszystkim jednak protestowali chodząc nago. Dla pruderyjnych Kanadyjczyków, którzy kobietom po licznych protestach pozwolili opalać się topless dopiero w latach 90. zeszłego wieku, pojawianie się nagich ludzi na ulicach miasteczek i wsi było nie do zaakceptowania. Dla duchoborców natomiast nagość symbolizowała skromność i równość. Nawiązywała także do postaci Adama i Ewy.

Przymusowe szkoły

We wrześniu 1953 r. Królewska Kanadyjska Policja Konna (RCMP) – w łonie której w 1952 r. powołano specjalny Oddział „D" do walki z synami wolności – aresztowała 148 osób mieszkających w wiosce namiotowej za chodzenie nago w pobliżu szkoły. Zostali przetransportowani do Vancouver, osądzeni i skazani na więzienie w Oakalla. Schwytane przy okazji tej obławy 104 dzieci duchoborców zabrano autobusem do odległego New Denver, gdzie miały spędzić kilka kolejnych lat w szkole z internatem. Część dzieci jednak zwolniono i w styczniu 1954 r. edukację w placówce mieszczącej się w dawnym sanatorium dla gruźlików rozpoczęło 36 uczniów.

Gdy w 2009 r. w Kolumbii Brytyjskiej spotkałam się z duchoborcami, nie wiedziałam, że jeden z moich rozmówców – miły, starszy człowiek, z którym mogłam rozmawiać również po rosyjsku – część swojego dzieciństwa spędził w „szkole" w New Denver. Rozmawialiśmy w jego domu, który stoi w pięknej dolinie, w pobliżu rzeki. Siedzieliśmy w rozświetlonym słońcem pokoju, gdy opowieść o wspólnocie świetnie obecnie prosperujących duchoborców zmieniła w pewnym momencie swój tor, a uśmiech stopniowo zniknął z twarzy Olega (imię zmienione na życzenie rozmówcy).

Przenieśliśmy się do lat 20. zeszłego wieku. – Porto Rico jest niedaleko stąd, w pobliżu Nelson – opowiadał. – Rząd zrobił tam w 1929 r. obóz internowania dla kilkuset kobiet, mężczyzn i dzieci. Zatrzymano ich, gdy szli do Nelson, gdzie przebywał w areszcie mężczyzna oskarżony o podpalenie, jak uważano – niesłusznie. Wędrujący ludzie protestowali również przeciwko wojnie, bo mówiło się, że nadchodzi. Część zatrzymanych wysłano do więzienia w Oakalla, resztę, w tym starców i dzieci, umieszczono w starym obozie drwali należącym kiedyś do Christian Community of Universal Brotherhood. Warunki były straszne. W starych budynkach nie było drzwi ani okien. Zimą nie dawano im jeść. Przez dwa miesiące zeskrobywali owies ze ścian stajni. Nie wszyscy przeżyli Porto Rico. Niektóre dzieci zabrano rodzicom. Moja matka i ojciec trafili do poprawczaków. Mojego wujka umieszczono w rodzinie kanadyjskiej, gdy miał rok. Nigdy nie nauczył się mówić po rosyjsku. Mnie też próbowano zmusić, bym zapomniał języka, którym mówiono u mnie w domu. Na kilka lat zamknięto mnie w szkole w New Denver.

W połowie lat 50. władze uznały, że rozwiązaniem problemu synów wolności będzie przymusowa edukacja ich dzieci obejmująca jedną lub dwie generacje. W 1953 r. postanowiono zatrzymać każde dziecko, które wyglądało, jakby miało mniej niż 18 lat, i które – jak czytamy w raporcie ombudsmana prowincji Kolumbia Brytyjska z kwietnia 1999 r. – „z powodu działań podejmowanych przez rodziców lub z innych przyczyn nie uczęszczało do szkoły i mogło ↦

dorastać bez odpowiedniego wykształcenia".

RCMP w poszukiwaniu nieuczęszczających do szkoły dzieci nachodziła domy duchoborców w nocy lub nad ranem. I tak np. 18 stycznia 1955 r. RCMP najechała wieś Krestova i zabrała z domów 40 dzieci. Funkcjonariusz rządowy poinformował o udanej operacji przeprowadzonej o siódmej rano przez policję „w liczbie około 70 ludzi". Dzieci uciekały i ukrywały się wszędzie, gdzie zdążyły dobiec. Nie miały jednak większych szans, ponieważ RCMP miała ze sobą psy. Działania policji były brutalne, osoby stawiające opór były bite. W jednej z opisanych historii szukano dziecka w stogach siana za pomocą wideł.

Pomarańcza do potrzymania

– Początkowo rodzice – ci, którzy pozostawali na wolności – mogli odwiedzać nas dwa razy w tygodniu, jednak z czasem odwiedziny ograniczono do jednej godziny co dwa tygodnie. Spotkania odbywały się przez płot okalający szkołę. Czuliśmy się jak w więzieniu – mówi Oleg.

Placówka była przeludniona, dzieci chorowały, brak było jakiejkolwiek prywatności. Uczniowie musieli pracować, m.in. sprzątając dom dyrektora i mieszkanie higienistki. Kadra była nieprzygotowana i bez doświadczenia. Angielski, którym posługiwały się dzieci, był „w najlepszym przypadku marny", jednak nie zapewniono tłumacza ani nauczycieli władających rosyjskim. W jadalni wolno było mówić jedynie po angielsku, a w przypadku nieprzestrzegania tej zasady dzieci były karane, np. zakazem spotkania z rodzicami. Nie wyrażano zgody na uczestnictwo we wspólnych modlitwach z krewnymi (np. z okazji Bożego Narodzenia, które duchoborcy obchodzili 27 listopada). Przepustkę na wyjazd do domu można było otrzymać jedynie na pogrzeb matki lub ojca. Gdy ktoś uciekł z placówki, wymierzano kary kolektywne. Gdy dziecko zachorowało, rodzice nie mogli go odwiedzić, jednak nawet chore dzieci musiały uczęszczać na lekcje (czasem pod eskortą RCMP wzywanej przez higienistkę).

> Zdaniem zapaśników Ducha każdy ma w sobie iskrę Bożą, **świątyniami nie są więc budowle, lecz ciała i serca** ludzkie. Nie potrzebujemy także kleru.

Paczki – w tym jedzenie – przekazywane przez rodziców nigdy nie trafiały w ręce uczniów. „Pamiętam jeden dzień, kiedy przyszli ludzie i posadzono mnie w kuchni. Dali mi do potrzymania pomarańczę. Zrobiono zdjęcie. Ludzie odeszli, pomarańczę zabrano. Nic nie było twoje" – mówi były uczeń cytowany przez ombudsmana. Jedna z kobiet wspomina, jak kazano jej odwracać się twarzą do ściany, kiedy personel zjadał przyniesione dla niej przez rodzinę jedzenie. Dzieci były wegetarianami, ale w posiłkach dla nich ukrywano czasem mięso.

W zeznaniach wielu osób, które złożyły skargę na traktowanie po zatrzymaniu w szkole, powtarza się ta sama fraza, której używa również Oleg: „Życie w New Denver to było piekło". Dzieci nie tylko zostały pozbawione kontaktu z rodzicami (nie licząc spotkań przez płot, których z byle powodu zakazywano), z kulturą i językiem, w których wyrosły, lecz przede wszystkim były maltretowane i nie było nikogo, kto by im pomógł. „Ludzie dziwili się, że żyję, tak bardzo byłam bita...". Ktoś inny opowiada, że został pobity deską, z której wystawały gwoździe. Część byłych uczniów wniosła skargi na wykorzystywanie seksualne.

Zatrzymania dzieci trwały do 1959 r., kiedy placówkę zamknięto po tym, jak rodzice złożyli przed sądem przysięgę, że będą posyłać dzieci do szkoły. Musieli to zrobić, choć po uwolnieniu opiekunów z więzienia w Oakalla przetrzymywanie dzieci w New Denver odbywało się wbrew prawu.

© MAGDALENA KRYSIŃSKA-KAŁUŻNA

Korzystałam m.in. z A. Bondoreff „Spirited Differences: Doukhobor Sectarianism, Freedomite Terrorism and Government Policy", University of Victoria, 2008.

Autorka jest etnologiem, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych, nauczycielem akademickim Instytutu Ameryk i Europy Uniwersytetu Warszawskiego.

REKLAMA

SZTUCZNA INTELIGENCJA – PODRÓŻ W NIEZNANE

DEBATY
Sztuczna inteligencja i społeczeństwo
04.11., 18.11., 25.11 / na żywo / Kraków

PREZENTACJE
Sztuczna inteligencja i sztuka
02.12., 09.12. / na żywo / Kraków

Antydystopijny kongres: 12.11 / online

Pokaz filmów: 09–14.11 / online

Wszystkie informacje na stronie:
www.goethe.de/krakow/SI

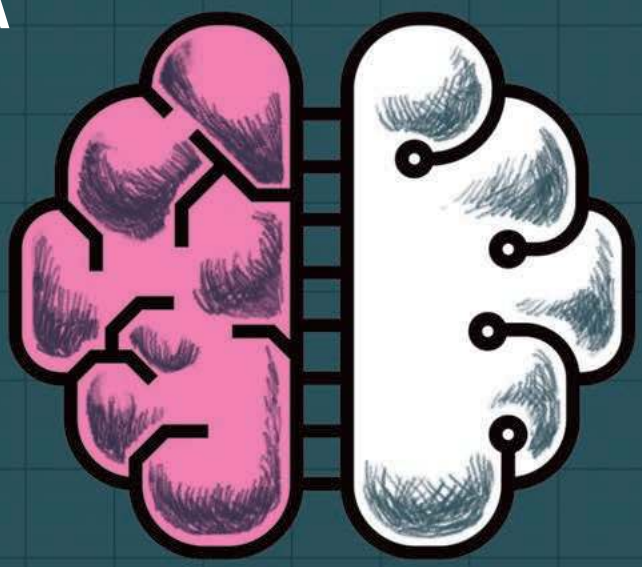

GOETHE INSTITUT

Partner
TYGODNIK POWSZECHNY

ZUZANNA

Radzik: *Śmieszkowanie*

Dom kultury, niemy film z towarzyszeniem szesnastoosobowej orkiestry. Prawdę mówiąc, niemy film trwający półtorej godziny bez tej muzyki byłby pewnie nie do wytrzymania. Ostre makijaże aktorów, zepsute zęby tego, który grał kanclerza, dziwne włosy Lotte, nieznośna teatralność gestów. Napisy po niemiecku, bo to austriacka produkcja z 1924 r. Ekranizacja budzącej wtedy emocje powieści „Miasto bez Żydów". To miała być komedia, wyszło proroctwo.

Oto w Wiedniu demonstracje, bo wydarzył się kryzys ekonomiczny. Kanclerz za namową amerykańskiego antysemity, którego ma za doradcę, postanawia, że najskuteczniej poradzi sobie z tym poprzez wygnanie Żydów. Wszystko odbywa się demokratycznie, przez głosowanie. Niewiele pomaga, że Żydzi są i posłami, i dziennikarzami. Do 25 grudnia przyjdzie im się wynosić z kraju. Idą z tobołkami, wsiadają do pociągów, niektórzy pakują garść ziemi lub lamentują nad opuszczanym rodzinnym domem. Film jest z lat 20., więc nawet robiąc satyrę na antysemityzm, po ten antysemityzm sięga. Historia bowiem kończy się tak, że upada handel, moda, życie kulturalne, a na dodatek międzynarodowe banki (wiecie w czyich są rękach?) wywierają presję ekonomiczną na wolny od Żydów kraj. Tam coraz częściej mówi się, że Żydów brak, a jeden z bohaterów podsyca te dyskusje i w wyniku usnutej przez niego intrygi prawo zostaje zmienione, a pierwszy powracający Żyd jest witany kwiatami.

Tyle film. Rzeczywistość przerosła oczekiwania jego twórców. Obrazy ludzi uchodzących z tobołkami, wygarnianych siłą z domu, oraz pociągów wysiedlających ich nie wiadomo gdzie budzą zbyt wiele skojarzeń, by oglądać je spokojnie. Czy oni wiedzieli? No, nie mogli. Po prostu uciekali w satyrę, by wykpić brunatniejącą rzeczywistość, żeby coś jeszcze wobec niej móc. Choćby „móc" oznaczało tylko wyśmianie. Wiadomo, śmiech to broń bezsilnych.

Hugo Bettauer napisał swoją zawadiacką polityczną satyrę „Die Stadt ohne Juden" w 1922 r. Pochodzący z żydowskiej rodziny popularny pisarz był autorem chętnie czytanych powieści i kryminałów. Trzaskał 4-5 książek rocznie, ale „Miasto bez Żydów" jest jego najbardziej znaną powieścią. W tej książce komentował rosnący w Wiedniu antysemityzm, ale był też wydawcą „Tygodnika Bettauera", który wywoływał skandale, wspierając prawo do rozwodu i przerywania ciąży czy zniesienie kar za homoseksualizm. Budził kontrowersje, co doprowadziło do konfiskaty czasopisma. Gęstniały emocje, wytoczono mu proces, grożono śmiercią i nawoływano do morderstwa. Gdy, uniewinniony, zaczął znów wydawać pismo, osiągnęło ono rekordowe 60 tys. sprzedanych egzemplarzy. A potem stało się: do redakcji wtargnął w 1925 r. młody narodowy socjalista Otto Rothstock i strzelił sześć razy. Chciał ponoć ocalić kulturę niemiecką przed „żydowską degeneracją". Bettauer zmarł po kilku dniach w wyniku odniesionych ran. Rothstock po 18 miesiącach w klinice psychiatrycznej został zwolniony, mimo że sąd uznał go za winnego zabójstwa. Przez wielu został okrzyknięty bohaterem.

Zatem podśmiewali się z tego filmu, ale dekadę później w kraju obok już powstawały obozy koncentracyjne. Za 20 lat Zagłada europejskich Żydów będzie już faktem, a na tobołki, wygnania i pociągi nigdy nie spojrzymy już lekko.

Śmiali się, a niedługo później w Zagładzie zginęła część żydowskich aktorów, których widzimy na ekranie. Reżyser zaś... wstąpił w 1940 r. do NSDAP. Nigdy nie wiadomo.

Film jest lekko ocenzurowany, miasto nazywa się Utopia, a nie Wiedeń, jak w książce. Tak, by nikt się nie obraził. Zaginął na prawie 100 lat i dopiero niedawno ktoś odkrył jego kawałek na holenderskim pchlim targu. Drugi znalazł się gdzieś w Paryżu, trzeci jeszcze gdzie indziej. Posklejali, wyczyścili. Można oglądać. Tylko gorzko się robi, gdy się pomyśli o bezzębności tego śmiechu. Choć książka i film prorocze, ale nikogo to śmieszkowanie nie uratowało.

Ten seans w Międzynarodowy Dzień Walki z Faszyzmem i Antysemityzmem, czyli w rocznicę nocy kryształowej, to nie przypadek. Państwo polskie postanowiło ten dzień obejść inaczej, zadrwić chyba. Tego dnia usłyszeliśmy, że Marsz Niepodległości się odbędzie, z pominięciem zakazów miasta i sądów, pod państwowym patronatem. Ktoś pyta w internecie z przekąsem, kiedy urodziny Hitlera staną się świętem państwowym. Po co, skoro już teraz marsz – owo ponoć rodzinne święto, radośnie dekorowane symbolami nienawiści rasowej – jest państwowy. Czy czegoś więcej trzeba? Oto 11 listopada, Narodowy Dzień Wspierania Faszyzmu i Antysemityzmu. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet

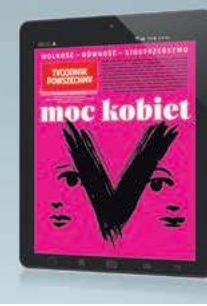

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CZASEM JE ODZYSKUJEMY

W Jonglei, największym stanie Sudanu Południowego, porwania dzieci to społeczna trauma. Próby ich odszukania mogą być szansą na pogodzenie grup etnicznych.

TEKST I ZDJĘCIA NATALIA OJEWSKA Z BOR I PIBOR (SUDAN POŁUDNIOWY)

Achol Deng Patel, wdowa i matka czworga dzieci z wsi Duk Padiet, miała już na zawsze zapamiętać tamten dzień.

Była z wizytą w sąsiedniej miejscowości, gdy usłyszała znany jej dobrze odgłos strzałów z broni maszynowej, dobiegający od strony rodzinnej wsi.

Achol była przerażona: w domu zostawiła czworo dzieci pod opieką drugiej żony ich wspólnego, nieżyjącego już męża.

Wtedy, w styczniu 2012 r., Sudan Południowy istniał jako niepodległe państwo dopiero od sześciu miesięcy, ale walki na tle etnicznym już siały w nim spustoszenie. Ich epicentrum był Jonglei, największy i najludniejszy stan w kraju, na tere-

Wioska Anyiodi, zamieszkana przez lud Dinka. Miejscowi udzielili schronienia grupie kobiet i dzieci z ludu Murle, których wioska została zaatakowana.
Sudan Południowy, 2021 r.

nie którego leży Duk Padiet. Wówczas to wcześniejsze starcia między poszczególnymi ludami, mniejsze co do ich skali, eskalowały do serii skoordynowanych ataków.

Tamtego dnia, 16 stycznia 2012 r., około trzystu uzbrojonych mężczyzn z ludu Murle zaatakowało Duk Padiet, zamieszkaną głównie przez lud Dinka.

– Natychmiast pobiegłam do domu. Gdy dotarłam, zobaczyłam ciała sąsiadów. Dowiedziałam się, że wszystkie moje dzieci zostały porwane – Achol Deng Patel opowiada to głosem cichym i spokojnym. Jej spojrzenie znieruchomiało, jakby każdy szczegół wydarzeń sprzed niemal 10 lat rozgrywał się przed nią na nowo.

Napastnicy działali w sposób typowy: atak na Duk Padiet cechowała bezwzględność, podobnie jak setki innych podobnych napadów, które miały i nadal mają miejsce w całym Sudanie Południowym. Ofiarami były głównie kobiety, dzieci i osoby starsze. W Duk Padiet spłonęło wówczas około trzystu tukuli – tradycyjnych okrągłych chat z gliny krytych strzechą. Skradziono też kilkaset sztuk bydła.

W Sudanie Południowym liczebność bydła świadczy o statusie społecznym ich właściciela. Stanowi także walutę, którą opłaca się posag lub odszkodowania, zasądzane przy rozstrzyganiu sporów. Bydłem płaci się również, kupując od porywacza uprowadzone dziecko czy kobietę.

Na własną rękę

Drugą żonę ich wspólnego męża Achol znalazła w krytycznym stanie. Kobieta próbowała wygrać nierówną walkę z napastnikami, zasłaniając dzieci własnym ciałem.

– Byłam załamana, ślad po moich dzieciach zaginął. Jednak czułam też ulgę, bo wiedziałam, że wciąż żyją. Pogrążyłam się w niemocy – wspomina Achol. Gdy o tym mówi, pozostaje skupiona, a jej szczupła, lecz silna sylwetka emanuje tęsknotą. – Postanowiłam ich szukać na własną rękę. Pomyślałam, że nie mam nic do stracenia, nawet gdybym miała umrzeć. Przecież straciłam już wszystko, co miałam – wspomina.

Intensywność i skala starć zmusiły wówczas ponad 140 tys. ludzi do szukania schronienia w innych regionach kraju. W obliczu pogłębiającego się kryzysu humanitarnego rząd w stołecznej Dżubie podjął decyzję, by w Jonglei przeprowadzić akcję rozbrajania ludności cywilnej.

Achol dostrzegła w tym cień szansy. Udało jej się porozmawiać z lokalnym dowódcą wojskowym i przekonać go, by pomógł jej w sposób nietypowy: otrzymała mundur i została wcielona do armii. Gdy inni żołnierze konfiskowali cywilom broń, ona szukała swoich dzieci.

– Szliśmy od wsi do wsi. W jednej rozpoznałam moje najmłodsze dziecko i przepełniła mnie nieopisana radość. Wprawdzie pozostałe dzieci wciąż były w obcych rękach, ale znalezienie jednego dodało mi odwagi do szukania pozostałych – wspomina Achol.

Spędziła tak z żołnierzami dwa lata, ale nie udało jej się natrafić na żaden ślad po dwóch córkach i synu. Do dziś nie skontaktował się z nią ani żaden przedstawiciel władz, ani żadna z instytucji, które zajmują się szukaniem porwanych dzieci. – Nie mam już nadziei, że zobaczę je ponownie, ponieważ rząd nie radzi sobie z szukaniem uprowadzonych dzieci – mówi Achol.

Anatomia konfliktu

Od ponad dwustu lat ludy Dinka, Murle i Nuer, zamieszkujące stan Jonglei, wymieniały między sobą nieślubne dzieci, ↦

↦ których pozostanie w rodzimych wsiach łamało surowe patriarchalne zasady. Dochodziło do tego nie tylko między tymi plemionami, dzieci trafiały również do rodzin w sąsiedniej Etiopii.

Z biegiem czasu podczas regularnych napaści na stada bydła, które były i są tutaj częstą praktyką, również kobiety i dzieci stały się celem porwań. I choć wszystkie żyjące tu społeczności były zaangażowane w ten niechlubny proceder, to prym wiódł lud Murle. Próby odnalezienia dzieci na własną rękę przez mieszkańców danej społeczności były (i są nadal) praktycznie niemożliwe.

Konsekwencją było systematyczne pogorszenie się relacji między ludem Murle a pozostałymi grupami etnicznymi, które od dekad charakteryzują nieufność i wrogość, przejawiające się ciągłymi atakami odwetowymi.

Ostatni nastąpił w 2020 r. Połączone siły ludów Dinka, Lou Nuer i Gawaar Nuer przeprowadziły skrupulatnie zorganizowane, zakrojone na szeroką skalę i wspierane przez polityków z Dżuby ataki przeciwko społeczności Murle, aby zemścić się za trwające latami porwania dzieci.

– Murle przeprowadzili dużo więcej ataków niż my. My zaatakowaliśmy ich w roku 2011 oraz w ubiegłym. Daliśmy im dużo czasu na myślenie o pojednaniu, ale nic z tego nie wyszło – przekonuje Anter Simon, lokalny lider, który stoi na czele ok. 2,8 tys. gotowych do walki mężczyzn z ludu Dinka z powiatu Duk Padiet.

W bilansie strat za rok 2020 to właśnie Jonglei był najbardziej dotkniętym przemocą i zniszczeniami ze wszystkich stanów Sudanu Południowego. Zarejestrowano tu 33 proc. wszystkich śmiertelnych ofiar walk i to tutaj doszło do aż 92 proc. ze wszystkich 612 zarejestrowanych porwań dzieci.

Dzieci uprowadzone przez lud Murle z reguły są naturalizowane i traktowane jak własne. Dlatego ich ponowna integracja z rodziną biologiczną – zakładając, że uda się w ogóle odnaleźć dziecko – jest bardzo trudna. Samodzielne odszukanie dziecka jest zresztą praktycznie niemożliwe, ponieważ każde niezapowiedziane wejście na tereny zamieszkałe przez inną grupę etniczną jest równoznaczne z wypowiedzeniem wojny.

Achol była wyjątkiem – jej to się udało, gdyż występowała w mundurze, w otoczeniu żołnierzy.

ACHOL DENG PATEL *jest matką, której troje dzieci zostało porwanych dekadę temu. Jedno odnalazła dzięki temu, że została przyjęta do armii i poruszała się wraz z żołnierzami. Sudan Południowy, 2021 r.*

Światełko w tunelu

Dopiero w marcu tego roku, po trwających ponad sześć miesięcy negocjacjach, reprezentanci ludów Murle, Dinka i Nuer podpisali w miejscowości Pieri porozumienie pokojowe. Zakończyło ono trwające przez niemal cały rok 2020 walki w stanie Jonglei. Nie była to pierwsza próba zakończenia konfliktu, jednak na tle pozostałych wyróżnia ją podjęta decyzja o wspólnych poszukiwaniach porwanych dzieci, aby przerwać błędne koło napaści.

Porwania są bowiem przeżyciem traumatycznym nie tylko dla rodzin porwanych, lecz dla całych społeczności. Potęgują i tak głęboko zakorzeniony brak zaufania i nakręcają spiralę odwetu.

Wspólne poszukiwania dzieci – i następnie ich powrót do biologicznych rodzin – mają więc pomóc w zabliźnieniu ran. Mają stać się także fundamentem dla zbudowania stabilnego pokoju w całym kraju. Powstrzymanie przemocy między ludami to również klucz do złagodzenia nieustającego kryzysu humanitarnego, spowodowanego naprzemiennie suszą i powodziami, a pogłębianego ciągłymi walkami.

– Na sytuację w Sudanie Południowym coraz bardziej destabilizująco wpływają skutki zmian klimatu – mówi Helena Krajewska z Polskiej Akcji Humanitarnej. – Trzeci rok z rzędu kraj pustoszą wielkie powodzie, które niszczą plony, zabijają zwierzęta hodowlane i zmuszają do ucieczki całe miejscowości. Od lipca ponad 700 tys. ludzi zostało poszkodowanych przez wylewający Biały Nil, a 100 tys. z nich to powodzianie, którzy od 2020 r. nie zdążyli jeszcze wrócić do domu. Większość mieszkańców Sudanu Południowego potrzebuje pomocy w zapewnieniu spraw absolutnie podstawowych: czystej wody, żywności, schronienia.

Niesienie pomocy psychoterapeutycznej jest w tych warunkach jeszcze cięższe. Egzystencja między katastrofami naturalnymi a walkami dodatkowo obciąża emocjonalnie mieszkańców. – Brak poczucia bezpieczeństwa jest odczuwalny. Takie organizacje jak PAH wspierają ofiary przemocy, zwłaszcza kobiety i dzieci – mówi Krajewska. – Tworzone są tzw. bezpieczne strefy i schroniska, udzielana jest pomoc psychospołeczna, wsparcie dla powrotu dzieci do szkół czy uczenie możliwości rozwoju, w tym zdobycia źródła dochodów.

Wspólne poszukiwania

Warunkiem sukcesu w Jonglei jest współpraca między wodzami plemiennymi, lokalnymi przywódcami duchowymi oraz liderami, którzy w razie kryzysu mobilizują lokalne bojówki. Musi ona opierać się na wzajemnym zaufaniu między przedstawicielami ludów Dinka, Murle i Nuer, bo tylko wspólnie są w stanie zlokalizować dzieci i wynegocjować ich oddanie.

– Odzyskanie takiego dziecka jest trudne, gdyż jest ono asymilowane ze społecznością porywaczy. Trzeba z nimi rozmawiać. Tak długo, dopóki nie zdadzą sobie sprawy, że to, co zrobili, jest złe, i dopóki nie ulegną perswazji – mówi David Yau Yau, były komendant (w stopniu generała) Frakcji Cobra, lokalnej bojówki ludu Murle, która lata temu wszczęła antyrządową rebelię.

Kilka lat po tym, jak w 2014 r. Murle podpisali porozumienie z rządem w Dżubie, Yau Yau stanął na czele utworzonego wtedy na wpół autonomicznego Obszaru Administracyjnego Wielkiego Piboru, zamieszkanego głównie przez lud Murle. Ambicją Yau Yau stało się załagodzenie relacji między ludem Murle a społecznościami Dinka i Nuer właśnie przez odszukanie porwanych dzieci. Jednak w trakcie jego krótkiej kadencji, w latach 2018-19, udało się odnaleźć zaledwie 58 dzieci, w tym te uprowadzone z Etiopii.

Uciekinierzy ze zniszczonej miejscowości Gumuruk otrzymują pomoc humanitarną w okolicy lądowiska w Piborze. Sudan Południowy, 2021 r.

Wioska w Sudanie Południowym, 2021 r.

↦

Stado krów w pobliżu obozowiska pasterzy w miejscowości Bor. Sudan Południowy, 2021 r.

↦ Punktem wyjścia dla podjętych dziś nowych poszukiwań jest deklaracja o współpracy zwaśnionych stron, przy dodatkowym wsparciu organizacji lokalnych i międzynarodowych, jak Save the Children, UNICEF, UNHCR czy Misja ONZ w Sudanie Południowym (UNMISS).

On należy do Chola!

Abraham Anet Achiek nie pamięta dnia, w którym on i jego dwuletnia wówczas siostra zostali porwani. Było to krótko przed Bożym Narodzeniem w 2008 r. Zostali rozdzieleni i nigdy nie udało mu się ustalić, dokąd trafiła siostra.

Abraham został oddany bogatej rodzinie Murle i szybko zintegrował się z ich szóstką dzieci. Jednak jego ciepłe wspomnienia z tego okresu dzieciństwa, pełne historii o wspólnych zabawach i opiece nad bydłem, przeplatają się z pasmem tych bardziej bolesnych – o płaczu porwanych maluchów, które przywożono do pasterskiego obozu Murle.

– Widziałem wiele porwanych dzieci. Murle nie pozwalali nikomu ich pocieszać – opowiada Abraham. – Nie podobało mi się to, dlatego nie brałem udziału w porwaniach – zaznacza.

Z przybraną rodziną Abraham spędził 12 lat, wierząc, że należy do ich grupy etnicznej. I prawdopodobnie spędziłby tak resztę życia, gdyby miejscowy lekarz nie powiedział jego rodzicom, iż jego obecność ściągnęła na rodzinę klątwę, w wyniku której zmarła dwójka ich biologicznych dzieci. Przybrany ojciec Abrahama usłyszał, że powinien go zabić. Zamiast to zrobić, ostrzegł przybranego syna i dał mu pieniądze na podróż do miasta Bor, stolicy stanu Jonglei, z którego, jak się okazało, pochodził Abraham.

– Spojrzałem na niego i od razu wiedziałem! Widać, że nasze kości policzkowe są podobne – z serdecznym uśmiechem na twarzy mówi John Chol Anet z ludu Dinka. Chłonie każdą chwilę z synem, który wrócił do domu zaledwie na sześć dni przed naszą rozmową.

– Również inni od razu mówili: „On należy do Chola" – dodaje John Chol, żwawo gestykulując, aby podkreślić wizualne podobieństwo z odzyskanym synem.

Na razie nie ma jednak pewności, że powrót 19-letniego Abrahama to historia z happy endem. Dorastał jako Murle o imieniu Lochodok, kochał przybraną rodzinę. Na ramionach ma znaki plemienne Murle, przypominające o jego przeszłości. Nigdy nie chodził do szkoły i nie mówi dialektem Dinka. Jego życie znów zostało wywrócone do góry nogami.

Teraz on i jego biologiczna rodzina muszą znaleźć sposób na zintegrowanie się nie tylko w zaciszu domowym, ale też z otoczeniem.

Mechanizm odwetu

Porozumienie z Pieri przynosi pierwsze rezultaty. Od marca udało się pojednać z rodzinami setkę dzieci – jak na tak krótki czas to wyjątkowo wysoki wynik. Jednak poszukiwania wciąż odbywają się, rzec można, między jednym a drugim strzałem.

– Porozumienie przyczyniło się do zmniejszenia intensywności i skali lokalnej przemocy, ale nie rozwiązało całego problemu – mówi Yves Willemot z UNICEF w Sudanie Południowym.

Bo relacje między grupami etnicznymi, dla których Jonglei jest domem, wciąż są naznaczone nieufnością i lękiem. Powszechna jest świadomość, że w przeszłości podejmowano już niezliczone i bezskuteczne próby wypracowania pojednania, a niejedno porozumienie pokojowe zostało złamane.

Również porozumienie z Pieri okazało się kruche – nie przetrwało nawet dwóch miesięcy. Na początku maja napastnicy, prawdopodobnie z ludu Murle, zaatakowali obóz hodowców bydła z ludu Gawaar Nuer w powiecie Ayod. Wprawiając tym samym w ruch stary mechanizm odwetu – pod postacią ataków odwetowych na wsie zamieszkane przez Murle.

Jedną z nich była Gumuruk. Napastnicy zniszczyli domy, zrabowali zapasy leków i aż 550 ton żywności, która miała wystarczyć dla 33 tys. ludzi.

– Myślałem, że mamy pokój, sprzedałem więc broń i otworzyłem małą działalność. Wycinałem drzewa i sprzedawałem węgiel drzewny na opał, miałem z tego wystarczający zarobek – wspomina Simon Giro z ludu Murle. Gdy jego wieś został zaatakowana, uciekł do pobliskiego miasta Pibor.

– Przybyli z bronią. Nożami zamordowali kobiety i zabrali nasze dzieci – mówi Simon, który wraz ze swoimi czterema żonami i licznymi dziećmi znalazł

się wśród 20 tys. uchodźców. Jego rodzina znalazła tymczasowe schronienie w szkole w Pibor. Dom Simona i jego stragan spalono, zginęli jego rodzice, a setka krów została skradziona.

Napaść na wieś Gumuruk sprawiła, że teraz to Murle zaczęli się obawiać, że to ich dzieci mogą paść ofiarą porywaczy.

– Żyję w ciągłym strachu, że może nadejść atak. Z nami sąsiaduje lud Nuer, więc nawet teraz, gdy tu rozmawiamy, nie jestem pewna, czy coś złego nie dzieje się moim dzieciom, które są w domu – mówi 40-letnia Ngacho Lokonjen z ludu Murle.

Ngacho wraz z rodziną już osiem razy musieli uciekać przed zbrojnymi atakami. Ostatni raz zaledwie trzy dni przed naszą rozmową. Spotkaliśmy się w ośrodku pomocowym w Pibor, który oferuje żywność samotnym matkom.

MASIO DENG, *przywódca grupy pasterzy z obozowiska w miejscowości Bor. Sudan Południowy, 2021 r.*

ABRAHAM, *chłopiec z ludu Dinka, został uprowadzony przez napastników z ludu Murle. Do swojej biologicznej rodziny wrócił po 12 latach. Sudan Południowy, 2021 r.*

Kałasznikow pod ręką

W Sudanie Południowym każdy mężczyzna ma broń palną i jest gotowy chronić rodzinę i wieś przed atakami. Tu nikt nie ufa rządowi, nie wierzy w mechanizmy egzekwowania prawa.

Także w małym obozowisku, które jest tymczasowym domem dla pasterzy bydła z ludu Dinka, karabin szturmowy typu kałasznikow wisi na drzewie, w którego cieniu siadam do rozmowy.

Pasterze żyją tu od 2005 r., gdy musieli uciekać z rodzinnej wsi, położonej o kilka godzin drogi stąd. – Nie czujemy, żeby w kraju panował pokój. Gdyby był, nie byłoby więcej ofiar. Rząd podpisał porozumienie, ale są takie miejsca w kraju, jak to tutaj, gdzie nie ma pokoju, bo Murle są naszym odwiecznym wrogiem – tłumaczy pasterz Awan Matthiang.

– Możemy podpisać z nimi traktat pokojowy. Zresztą już kilka razy takie porozumienia podpisywaliśmy, ale oni ich nigdy nie dotrzymują. Ich przywódcy tłumaczą, że za atakami stoi grupa kilku przestępców, ale reszta społeczności chce pokoju – mówi Masio Deng, przywódca grupy.

Pasterze zgodnie twierdzą, że niezliczone spotkania pokojowe z przedstawicielami ludu Murle załamywały się jedno po drugim.

Prawie każdy kogoś stracił

– Trzeba robić więcej, nie ograniczać się do rozmów o pojednaniu. Potrzebujemy konkretnych rozwiązań i decyzji na szczeblu krajowej polityki. Trzeba uwzględnić kompleksowość konfliktu i stworzyć koncepcję obejmującą takie aspekty, jak szeroko pojęty rozwój czy kwestie zarządzania – tak Antipass Nyok Kucha, zastępca gubernatora stanu Jonglei, odpowiada na pytanie, jak przerwać krąg przemocy.

Jednak to, co dzieje się „na dole", w stanie Jonglei, jest w pewnym sensie lustrzanym odbiciem wydarzeń „na górze".

Trzy lata po tym, jak prezydent Salva Kiir Mayardit i jego wieloletni wróg oraz przywódca opozycji Riek Machar podjęli drugą już próbę osiągnięcia politycznego kompromisu i utworzyli rząd koalicyjny, żaden z kluczowych elementów tego porozumienia – jak rozbrojenie czy utworzenie zjednoczonej armii – nie został zrealizowany.

– Nie ma prawa, które by powstrzymało Murle przed przeprowadzaniem ataków i porwań. Prawie każdy kogoś tak stracił – mówi pasterz Matthinag z obozowiska w Bor, którego bratanek jest wśród porwanych dzieci.

Przemieszczając się sezonowo ze swoim bydłem, pasterze wędrują czasem wzdłuż granicy z Demokratyczną Republiką Konga. Tam na lokalnym targu kupują broń.

– Zawsze ruszamy w pościg za porywaczami Murle. Czasem udaje nam się odzyskać część uprowadzonych dzieci. Ale nigdy wszystkie – mówi Masio Deng.

© NATALIA OJEWSKA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowy w Sanoku pod sygn. akt I Ns 518/21 toczy się postępowanie z wniosku Henryki Reguły o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Bażanówce gm. Zarszyn, oznaczonej numerem ewidencyjnym 828/1, o pow. 0,03 ha, dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1S/00045278/6

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności spadkobierców Stefanii Ćwiąkały, c. Jana i Marii, aby w terminie trzech miesięcy od niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu, w I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygn. I Ns 496/21 postępowanie z wniosku GPM Vindexus Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Różańskim, s. Tadeusza i Marianny, zm. 1 kwietnia 2020 r. w Górnie. Ostatnim miejscem zwykłego pobytu spadkodawcy była Wydrza w gminie Grębów.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Moja Ameryka wciąż się sypie

CHARLIE LEDUFF, AUTOR KSIĄŻEK O KONDYCJI USA:

Dla nas nie jest najważniejsze, czy Biden wprowadzi darmowe przedszkola. Największy problem jest taki, że pracownicy fabryk samochodów zarabiają o połowę mniej niż 20 lat temu.

MARTA ZDZIEBORSKA: Przed wyborami prezydenckimi w 2016 r. objechałeś Stany, rozmawiając z ludźmi, których nikt nie chciał wysłuchać. Z kim chciałbyś porozmawiać teraz, po niemal dziesięciu miesiącach rządów Joego Bidena?

CHARLIE LEDUFF: Na pewno nie chcę gadać z politykami. To mnie nie interesuje. Bo jaki jest sens rozmowy z kimś, kto i tak nic nie powie? Mam w dupie ludzi władzy. Jasne, chciałbym szczerze porozmawiać np. z Gretchen Whitmer, gubernatorką stanu Michigan, w którym mieszkam. Ale wiem, że to nigdy nie nastąpi. Wolałbym spędzić czas z kimś, kto np. przewozi do kostnicy ciała osób, które zmarły na covid w domach seniora.

Krytykujesz dziś gubernatorkę Whitmer za to, że nie chciała ujawnić statystyk dotyczących zgonów w domach spokojnej starości. Podobnie jak gubernator stanu Nowy Jork zezwoliła na szybki powrót ze szpitala zakażonych seniorów, co mogło przyczynić się do wzrostu infekcji. Czy w Michigan zaniżano liczbę zgonów?

Z wyliczeń audytora generalnego wynika, że władze Michigan nie zaraportowały 850 zgonów chorych na covid. Na razie nie wiadomo, ile z tych osób to seniorzy. Wyniki audytu będą znane za kilka tygodni. Ta sprawa może pokazać, że nasza wspaniała pani gubernator, która wprowadzała lockdowny opierając się na twardych danych, nie zadbała o tych najbardziej narażonych na śmierć z powodu koronawirusa. Ludzie mają dość. Nie chcą kolejnych obostrzeń i czują się zmanipulowani. Uważam, że politycy Partii Demokratycznej posłużyli się pandemią, żeby wywalić Trumpa z urzędu.

Fakt, pandemia bardzo to ułatwiła. Ale w wyborach prezydenckich w 2020 r. chodziło głównie o to, co reprezentuje sobą Trump i jego rządy.

Ale czy Demokraci nie chwytali się w kampanii wyborczej wszystkiego? Nic nie było święte. Są też dobre rzeczy, które Trump zrobił w trakcie pandemii.

Na przykład?

Naciskał na szybkie prace nad szczepionką przeciw covidowi. Jeśli prześledzisz wypowiedzi Demokratów z tamtego okresu, to krytykowali w tej kwestii Trumpa. Gretchen Whitmer, Joe Biden i inni wykrzykiwali, że nie można ufać w skuteczność szczepionki opracowanej za rządów tej administracji. A teraz co? Jest na odwrót, Demokraci mówią: „Nie wierzymy, że nie ufacie szczepionkom i nie chcecie ich przyjąć!". A jakby spojrzeć na statystyki, to dużą część sceptyków stanowią tu czarni Amerykanie, którzy popierają Bidena.

W ich przypadku nie chodzi o szczepionkową dezinformację, ale o głęboko zakorzeniony brak zaufania do służby zdrowia.

I nie ma się czemu dziwić, skoro amerykański rząd prowadził na nich eksperymenty medyczne. Przecież zamiast ich leczyć, sprawdzano, jak rozwija się u nich syfilis. Czarni Amerykanie mają prawo obawiać się szczepienia. Nie zapomnieli o przeszłości.

Wróćmy do Trumpa. Czy jest jeszcze coś, czym zaskoczył Cię były prezydent, który miesiącami bagatelizował zagrożenie związane z koronawirusem?

Na początku pandemii zapewnił zasiłki milionom bezrobotnych Amerykanów. A tak w ogóle: gdyby przeprowadzić teraz wybory prezydenckie, Biden przegrałby z Trumpem.

Dlaczego tak uważasz?

Spójrz na fatalny sposób wycofania amerykańskich wojsk z Afganistanu, wysoką inflację, deficyt budżetowy, napływ imigrantów na granicę z Meksykiem, rosnącą przestępczość. Nawet teraz, choć mamy szczepionkę na koronawirusa, wciąż nie widać końca pandemii. Do tego jeszcze Biden wprowadził nakaz szczepień wśród pracowników federalnych. Wielu Amerykanów to wkurza.

Do tej listy można dodać burzliwe negocjacje w Kongresie w sprawie wielkiego planu Bidena, czyli inwestycji w infrastrukturę, oraz reform klimatycznych i społecznych. Ludzie są rozczarowani: działania prezydenta popiera zaledwie 42 proc. Amerykanów.

To niewiele więcej niż notowania Trumpa na tym samym etapie rządów. Trzeba zrozumieć jedną rzecz: dla Amerykanów nie jest najważniejsze, czy Biden zagwarantuje im teraz darmowe przedszkola albo wyśle kolejny czek pomocowy. Największym problemem jest to, że pracownicy fabryk samochodów zarabiają o połowę mniej niż 20 lat temu. Jak mają się teraz utrzymać? Nasze miejsca pracy wyeksportowano do Meksyku, Chin, Wietnamu czy Indonezji. Politycy obiecują, że w ramach inwestycji w infrastrukturę Amerykanie wrócą do fabryk i będą zarabiać po 15 dolarów za godzinę. Ale teraz jest już na to za późno! Reformy Bidena nie zrewolucjonizują amerykańskiego rynku pracy, tak jak kiedyś zrewolucjonizowały go – moim zdaniem, negatywnie – porozumienie NAFTA [podpisana w 1992 r. umowa między USA, Kanadą i Meksykiem, tworząca pomiędzy nimi strefę wolnego handlu – red.], normalizacja stosunków handlowych z Chinami i deregulacja banków. Biden za tym wszystkim kiedyś głosował. On mógłby być równie dobrze Republikaninem.

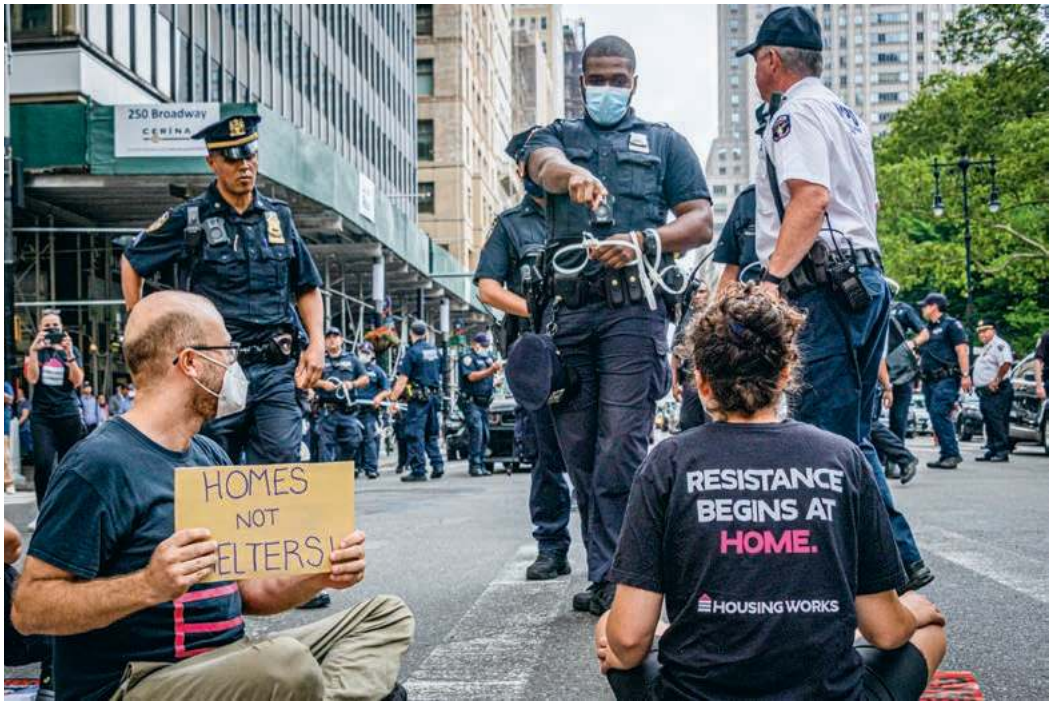

ERIK MCGREGOR / GETTY IMAGES

Na skutek kryzysu coraz więcej Amerykanów popada w bezdomność. Demonstracja nowojorczyków domagających się wyższych zasiłków, lipiec 2021 r.

Naprawdę tak uważasz?

Przecież to on napisał w latach 90. ustawę „three strikes law", przez którą miliony czarnych Amerykanów trafiły za kratki [w wolnym przekładzie: „prawo do trzech razy sztuka"; zaostrzono wówczas drastycznie kary więzienia dla recydywistów, którzy po raz trzeci mieli być sądzeni za poważne przestępstwo – red.]. Demokraci od lat mydlą nam oczy, mówiąc o sprawiedliwości, równych szansach i redystrybucji bogactwa. Ale czy to kiedykolwiek miało miejsce? Nie. To, co dostaliśmy do tej pory za rządów Bidena, to kolejny zasiłek federalny i nowe święto Juneteenth [upamiętniające zniesienie niewolnictwa w USA – red.]. To nie jest sprawiedliwość.

Biznes wciąż ma duży wpływ na politykę w USA. Pokazały to negocjacje w sprawie pakietu reform społecznych i klimatycznych, które za sprawą dwóch senatorów, Kyrsten Sinemy i Joego Manchina, zostały mocno okrojone. Sinema bierze darowizny od przedsiębiorców sprzeciwiających się podwyższeniu podatków, a Manchin od sektora naftowo-gazowego i węglowego.

W tym konkretnym przypadku myślę inaczej. Reformy, które proponuje Biden, tylko zwiększą deficyt budżetowy. On kolejny raz chce wyłożyć worek z pieniędzmi, nie przejmując się konsekwencjami. Politycy uspokajają nas, że stać nas na takie wydatki. Ale oni zawsze tak mówią. Szczególnie przed przyszłorocznymi wyborami do Kongresu.

Demokraci wyszli ostatnio z propozycją, by wprowadzić „podatek od miliarderów".

Jasne, to dobrze brzmi. Ale nikt nie jest w Ameryce głupi. Politycy wciąż obiecują, że to zrobią, mijają jednak kolejne lata, a ty orientujesz, że to się, cholera, nigdy nie zdarzyło. Wiemy za to na pewno, że ceny benzyny wzrosły o 100 procent, ceny żywności o 10 procent. To nie są już czasy, gdy pracowałeś ciężko, ale mogłeś odłożyć pieniądze, pojechać na wakacje i kupić sobie łódkę.

Jak pandemia wpłynęła na sytuację w Twoim rodzinnym Detroit – mieście, które osiem lat temu ogłosiło bankructwo, a o którym wydałeś w 2013 r. książkę „Detroit. Sekcja zwłok Ameryki"?

Pandemia nas dobiła. Wiele restauracji w centrum jest pozamykanych. To tylko pogorszyło sytuację. Nasze miasto od lat błaga międzynarodowe firmy, by zechciały otworzyć tutaj fabryki. Dajemy im wielomilionowe ulgi podatkowe tylko po to, żebyśmy mieli miejsca pracy. To dobre dla ludzi, ale nie dla naszych władz, które przez to mają mało kasy na działania policji albo oczyszczanie ścieków. Jestem na to wściekły, ale nie będę zadymiarzem. Nie wyjdę na ulicę i nie będę rozwalał witryn sklepów.

Opowiem o moim bracie, który pracuje w fabryce samochodów. Niedawno zadzwonił do mnie i pochwalił się, że dostał trzyprocentową podwyżkę. Powiedziałem mu: „Chłopie, gratuluję, ale wiesz, że przy sześcioprocentowej inflacji to nic nie znaczy?". Odpowiedział, że przynajmniej firma pokazała mu, że nie zamierza go zwolnić. Drugi mój brat zaczął nową pracę i mówi, że zarabia mniej, niż dostawał na bezrobociu.

Ile wynosi płaca minimalna w stanie Michigan, na terenie którego leży Detroit?

Jakieś 10 dolarów. Mając taką stawkę przy 40 godzinach pracy w tygodniu, roczne zarobki wynoszą niewiele ponad 19 tys. dolarów, podczas gdy granica ubóstwa to ok. 18 tys. dolarów. Nie ma się co dziwić, że ludzie kombinują i wolą siedzieć na zasiłku. Jeśli mają dziecko, to dostaną jeszcze 300 dolarów miesięcznie w ramach ulgi podatkowej. To lepsze niż kolejna gówniana praca.

Po odejściu z telewizji zatrudniłeś się w restauracji z hot dogami w Detroit. Nadal tam pracujesz?

Tak, na pół etatu.

Czytałam, że zatrudniłeś się tam, żeby mieć ubezpieczenie zdrowotne. ↦

JAKUB SZAFRAŃSKI / KRYTYKA POLITYCZNA

CHARLIE LEDUFF (ur. 1966) jest amerykańskim dziennikarzem. Zanim został osobowością medialną, pracował w różnych zawodach, np. jako cieśla w Michigan i w fabryce konserw na Alasce. Był reporterem „New York Times", „Los Angeles Times" i „Detroit News". Autor serii książek o problemach współczesnej Ameryki. W Wydawnictwie Czarne ukazał się właśnie polski przekład jego książki z 2005 r. „Praca i inne grzechy. Prawdziwe życie nowojorczyków".

Jestem Amerykaninem, więc nie będę siedział w domu i czekał, aż rząd mi je zapewni. Jestem wdzięczny, że mam tę pracę. Niektórzy powiedzą: o mój Boże, wielki pan dziennikarz musi sobie ubrudzić rączki. Czy to jest porażka zawodowa? Nie! W Ameryce brudne ręce oznaczają uczciwie zarobione pieniądze. Gdy na początku pandemii restauracja była przez jakiś czas zamknięta, pomagałem przy remontach, dłubałem przy hydraulice. Poza tym nic się nie zmieniło. Dalej piszę książki, robię podkasty, piszę do mediów jako freelancer. Nadal stać mnie na wyżywienie rodziny. Moja żona może pójść do dentysty. A weź pod uwagę, że moja żona też ma pracę. Jest psychologiem w szkole.

Opowiesz o ludziach, z którymi teraz pracujesz?

To Arabowie, czarni, biali, Latynosi. Ludzie zarzucają nam, dziennikarzom, że nie rozumiemy zwykłych ludzi i żyjemy z dala od ich problemów. A ja mogę teraz porozmawiać z kolegami z pracy, jak idziemy na piwo. Rozmawiamy o ważnych dla nich sprawach, jak dojazd autobusem do pracy w czasach pandemii. Dużo rozmawiam też z bezdomnymi, którzy ściągają do centrum z innych części miasta. Szukają resztek w śmietnikach i zaczepiają ludzi. „Hej, bracie, kupisz mi coś do jedzenia? Jest mi zimno". Orientujesz się, że tych ludzi nie stać na leki. Miasto zamknęło schroniska dla bezdomnych, tłumacząc, że to ograniczy rozprzestrzenianie się wirusa. To super idea, ale ci ludzie muszą się gdzieś podziać.

W Nowym Jorku kwaterowano bezdomnych w hotelach i to nawet w prestiżowych dzielnicach, jak Upper West Side.

Spójrz na to z tej perspektywy. W Upper West Side mieszkają inteligentni i świetnie wykształceni ludzie. Dużo mówią o równości i tolerancji. Ale gdy w ich okolicy pojawili się bezdomni, zaczęli się na to wściekać. To hipokryzja.

Hipokryzji pełno jest też wśród kalifornijskich bogaczy, którzy nigdy nie jechali nawet autobusem. Z transportu publicznego w San Diego korzystają głównie imigranci z Meksyku, Afroamerykanie i bezdomni.

Moja książka o Nowym Jorku [„Praca i inne grzechy" z 2005 r. – red.] jest właśnie o tym jeżdżeniu autobusem, do którego bogacze nie chcą wsiąść. A wiesz, co odkryłem po 20 latach?

Powiedz.

Gdy chodzę teraz po Nowym Jorku, Detroit czy San Francisco, to widzę na chodnikach niedopałki papierosów wypalonych aż do samego filtra. Kiedyś było inaczej. Pamiętam, że jak 20 lat temu rozmawiałem z pucybutem na Wall Street, to ludzie wokół wychodzili na zewnątrz, zaciągali się ze dwa razy i wyrzucali peta. Myślałem wtedy: ale oni są bogaci.

Teraz nawet jeśli ktoś wywali papierosa, to zaraz znajdzie się kilku chętnych, którzy go po nim dopalą. Ludzi nie stać na takie marnotrawstwo. To szczegół, ale sporo pokazuje.

Wróćmy na chwilę do polityki. Kiedyś powiedziałeś, że członkowie Twojej rodziny głosowali na Trumpa w 2016 r. Co teraz sądzą na jego temat?

Moi krewni głosowali na Trumpa także w 2020 r. i zagłosowaliby na niego znowu w 2024 r. Jestem tego pewien.

Po tym, jak 6 stycznia mówił o rzekomo sfałszowanych wyborach i zagrzewał swoich zwolenników do pójścia pod Kapitol?

Zapomnijmy na chwilę o Trumpie. O tym, kim jest i co mówi. Spójrzmy na jego wyborców, którzy nie są świrami albo białymi suprematystami. Ludzie są wściekli, że od samego początku prezydentury Trump miał przeciwko sobie elity i media. Atakowano go na każdym kroku i powtarzano, że nie powinien być prezydentem. Już w 2016 r. „New York Times" napisał, że będzie stawiał opór jego rządom, co brzmiało jak wypowiedzenie wojny pełnoprawnie wybranemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Ludzi wkurzało też to, że Trump jest wyzywany od fanatyków i seksistów. Czuli się wtedy tak, jakby ich też obrzucano błotem.

W każdym razie republikańscy wyborcy wciąż stoją murem za Trumpem. Aż 86 proc. z nich ocenia Trumpa pozytywnie, a 67 proc. chciałoby, aby znów starał się o prezydenturę. Dla mnie to przerażające.

Tak, to jest straszne i irracjonalne. Ale Trump przegrał wybory i nie zapominajmy o tym. Chrzanić Trumpa. To Bi-

den jest u władzy, Gretchen Whitmer jest u władzy. To im trzeba patrzeć na ręce. Nawet nie wiemy, czy Trump rzeczywiście znów będzie kandydował, i czy pozwoli mu na to jego poziom cholesterolu. Przecież ten facet jest stary i ma dużą nadwagę! Bycie prezydentem to praca 24 godziny na dobę.

Nawet jeśli Trump nie wystartuje w 2024 r., nadal ma silne wpływy w Partii Republikańskiej. Nie brakuje polityków, którzy wałkują jego teorie spiskowe na temat „skradzionych wyborów".

OK, ale czemu nie porozmawiamy też o świrach na lewicy? Nie spytałaś mnie o kongresmenkę Rashidę Tlaib z Michigan, która na fali protestów Black Lives Matter twierdzi, że nie da się zreformować policji i należy ją rozwiązać. I takie bzdury mówi kongresmenka! U nas w Detroit nikt nie żąda obcięcia funduszy dla policji. Ludzie chcieliby je wręcz zwiększyć. Od początku pandemii od kul zginęło 120 dzieci, to trzykrotny wzrost w porównaniu ze statystykami sprzed czasów koronawirusa. Kilka miesięcy temu pisałem o strzelaninie, do której doszło na oczach dwóch policjantów. Na nagraniu widać, jak ktoś wyciąga przez okno samochodu karabin automatyczny AR-15 i strzela do jakiegoś gościa. I wiesz, co zrobiła wtedy policja? Po prostu zwiała z miejsca zdarzenia.

Afroamerykanie mają za złe Bidenowi, że nie walczy o federalną reformę policji, która zwiększyłaby odpowiedzialność funkcjonariuszy. Co mówią o prezydencie czarnoskórzy mieszkańcy Detroit?

Reforma policji jest dla nich ważna, ale przede wszystkim wkurzają ich rosnące ceny żywności. Podobnie jak inni odwracają się od Bidena, bo nie podoba im się kryzys na granicy z Meksykiem i sposób wycofania wojsk z Afganistanu. Mówią mi: „Chłopie, to wszystko jest jakiś cyrk". Nie jarają się oglądaniem CNN. Zajmują się własnym życiem. I widzą, że w Ameryce jest coraz gorzej, a nie lepiej.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Ukraińscy żołnierze przed chwilą przeżyli ostrzał ich schronu, w tle jego resztki. Październik 2021 r.

Póki my żyjemy

TEKST I ZDJĘCIA MONIKA ANDRUSZEWSKA Z FRONTU UKRAIŃSKO-ROSYJSKIEGO

Wojna na wschodzie Ukrainy zniknęła z medialnych czołówek. Kolejne ofiary na froncie donieckim to dla świata już tylko oswojona statystyka. Jak wygląda ósma jesień w okopach?

Nad niewielkim leśnym zagajnikiem unosi się czarny dym.

Gdy chwilę wcześniej w ich pozycję trafił pierwszy pocisk, wystrzelony najpewniej z naprowadzanego systemu przeciwpancernego, był wczesny poranek. Na szczęście wybuchł w korytarzu dobiegowym, prowadzącym do okopu. Na szczęście, bo oni, doświadczeni i teraz ostrzeżeni, zdążyli wybiec ze schronu. Kilkanaście sekund później kolejny pocisk, już namierzony precyzyjniej, uderzył w miejsce, gdzie przed chwilą spali.

Spokojny słoneczny dzień

Eksplozja wymieszała ziemię, drewno i ich rzeczy osobiste. Teraz krzątają się po gruzowisku: pięciu mężczyzn o osmolonych twarzach. Jakby spod ziemi, spośród zgliszczy, co chwila słychać stłumiony wystrzał. To w żarze eksploduje amunicja. – Nasz karabin do końca chce strzelać do Rosjan – próbują żartować. Ktoś wybucha nerwowym śmiechem.

Starają się rozkopać zgliszcza, znaleźć coś, co można jeszcze uratować. Rzucają urywane: „żyjemy", „nic nie zostało". Potem przypalają papierosy i milczą, aby po chwili znów odreagować: zaczynają powtarzać sobie nawzajem, że przeżyli, jakby musieli to jeszcze sobie potwierdzić. – Niewiele brakowało! Moje dziecko ma kilka miesięcy, jak pierwszy raz walnęło, pomyślałem, że go już nie zobaczę. Że szkoda, że nie będzie mnie pamiętać. Niewiele brakowało... – powtarza w kółko jeden.

– A ja pomyślałem, żeby chwycić karabin, bo zaraz zaczną szturm i zostaniemy kilkaset metrów od wroga bez broni. I żeby tylko nie wzięli do niewoli, bo zakatują. Ale zobacz, pomyliłem się, to nie mój automat. Przez przypadek wziąłem twój – powiada drugi.

↦

Andrij służy w wojsku od początku wojny, w tym czasie pochował ośmiu przyjaciół. Linia frontu w Donbasie, październik 2021 r.

↦ Wygrzebują zniszczone hełmy i kamizelki kuloodporne. Według instrukcji nie powinni byli wybiegać z okopu bez nich. – No, gdybyśmy tracili czas na przebieranki, już by nas nie było – wsuwają palce w dziury w hełmie, który odłamki przebiły na wysokości potylicy.

Oceniają, że z drugiej strony strzelał profesjonalista, bo pocisk trafił w cel ze snajperską precyzją. – Tak nie strzela separatysta, tak strzela kadrowy rosyjski wojskowy.

Cieszy ich, że tej nocy nie zdjęli mundurów do snu, więc telefony mieli w kieszeniach.

– A najlepsze, że tuż po ostrzale, jak się wszystko jeszcze jarało, moja żona jakby coś wyczuła. Powinna jeszcze spać, a tu nagle dzwoni, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko dobrze. „Jasne, kochana! Spokojny, słoneczny poranek, robimy sobie śniadanko" – powiedziałem. A ona pyta, co to za dźwięki w tle. No to głupio mówię, że to kuchenka turystyczna, na której robimy kawę, tak szumi. Już o nic nie pytała. Myślicie, że uwierzyła? – śmieje się jeden.

– Dobrze zrobiłeś! Nie trzeba denerwować żony – klepią go po ramieniu.

Wygrzebują odłamki. Muszą je pozbierać, żeby przekazać jako dowód do sztabu wraz z informacją, że przeciwnik użył broni o kalibrze, który teoretycznie – według niezliczonych już porozumień rozejmowych – nie powinien znajdować się na linii frontu.

Przerzucają się słowami: – Napiszą raport i tyle. Może gdybyśmy zginęli, ktoś by się przejął? Pięć trupów naraz, co sądzicie? Może w Kijowie manifestację zrobiliby przed Administracją Prezydenta, trochę pokrzyczeli? Media może by puściły o nas informację? A może nawet w Europie coś by o pięciu trupach powiedzieli? Coś ty, w jakiej Europie?

Osiem krzyży

– W każdym społeczeństwie są ludzie, którzy dbają tylko o własny interes. Są też ci bierni, którzy bez zaangażowania czekają, co los przyniesie. No i tacy, którzy potrafią poświęcać się dla innych, dla wspólnego dobra. Ale czasami, gdy wyjeżdżasz z wojny, znaczy z frontu, choćby na rocznicę śmierci towarzysza broni, i gdy patrzysz na tych obojętnych, to już nie wiesz, dla kogo to poświęcenie – mówi filozoficznie rudy brodacz, gdy krążymy po labiryncie okopów i indywidualnych pozycji strzeleckich.

Andrij został zmobilizowany do armii w 2014 r., zaraz na początku wojny na wschodzie Ukrainy. Ale jego oddział został początkowo wysłany na drugą linię.

– W armii mówi się, że im dalej od frontu, tym więcej medali i tym głupsi dowódcy. Tak było i w naszym przypadku. Praktycznie nic nie robiliśmy. Mimo to, gdy ukończyłem służbę, traktowano mnie jak weterana. Źle się z tym czułem, wiedziałem, że to niezasłużone. Dlatego gdy kolega zadzwonił i zaproponował mi powrót do wojska, zgodziłem się.

Tym razem znalazł się na pierwszej linii – Jak tylko podpisałem kontrakt, zaraz na drugi dzień trafiłem pod ostrzał i widziałem pierwszego rannego. Zapamiętałem tylko ten pierwszy raz. Kolejnych takich sytuacji już nie liczę. Dopiero teraz, po czterech latach na froncie czuję, że spłaciłem swój dług wobec kraju.

Andrij żałuje, że wojna w Donbasie przekształciła się w pozycyjną. Żałuje, gdyż – jak ocenia – z tego powodu będzie

W zniszczonym przed chwilą schronie. Linia frontu w Donbasie, październik 2021 r.

trwać jeszcze przez długie lata, bo żaden ukraiński polityk nie weźmie na siebie odpowiedzialności za decyzję, żeby pójść naprzód.

– No i ludzie będą tu gnić. I ginąć. Nawet żeby odpowiedzieć ogniem na ostrzał, jest teraz problemem, ci tchórze u władzy nie pozwalają – dodaje, wskazując na pozycję strzelecką zarośniętą trawą. – Tu dzika łąka wyrosła, bo nikt z niej długo nie korzystał.

– Skończę ten kontrakt i wrócę do mojego życia, jakie miałem przed tym wszystkim. Mam plan: będę transportował jachty z południa Ukrainy do Europy. Z wojną dla mnie już koniec. No, może nie do końca: zawsze będę mieć za plecami tych osiem krzyży moich przyjaciół, pochowanych. Akurat symbolicznie – reflektuje się – no bo trwa ósmy rok wojny.

Cena ziemi

– Nie widziałem rodziców przez dwa lata, choć mieszkają niedaleko. Mógłbym dojść do ich domu pieszo, ale dzieli nas front. Wciąż mieszkają w rodzinnej miejscowości, która od 2014 r. jest pod okupacją Rosji. A teraz, odkąd trwa pandemia, zamknięto przejścia między tzw. republikami separatystów a wolną Ukrainą – zaczyna swoją opowieść mężczyzna w kominiarce.

Nie zdejmuje jej nawet na chwilę. Nie ma konta na Facebooku ani w żadnych serwisach społecznościowych. Nikt nie może się dowiedzieć, że służy w ukraińskiej armii. Boi się, że wówczas separatyści wzięliby jego rodziców jako zakładników, aby go szantażować.

– Mój kolega był w takiej sytuacji. Separatyści wysłali mu zdjęcie jego domu i napisali: „Zwalniaj się z ukraińskiej armii, zdrajco, albo więcej nie zobaczysz bliskich" – dodaje.

– Zresztą rodzice mają i tak dość problemów – opowiada. – Mojego ojca już raz ciężko pobili. To dlatego, że wcześniej służył w Afganistanie i separatyści chcieli, żeby teraz walczył po ich stronie. Jego historia pasowała im do ich propagandowych legend. Nie zgodził się, no to trafił pobity do szpitala. A ziemię, którą dostał wiele lat temu od państwa za ten Afganistan, skonfiskowali mu za karę. Na rzecz rozwoju młodej republiki, tak powiedzieli. A teraz jeszcze starają się im wcisnąć rosyjskie paszporty.

Jak do niego mówić? Niech będzie: Nazar. Imię oczywiście zmienione.

Kiedy wiosną 2014 r. na terenach obwodu donieckiego i ługańskiego utworzono tzw. republiki ludowe, Nazar akurat przebywał w miejscowości, która pozostała pod kontrolą rządu Ukrainy.

– W rosyjskich mediach przedstawiano to jako ludowy zryw, ale mój tata od razu do mnie zadzwonił i powiedział: „Synku, tu są sami Rosjanie poprzebierani za miejscowych! Nie przyjeżdżaj tu nigdy więcej" – wspomina. – Już wiele razy prosiłem rodziców, żeby się stamtąd wyprowadzili. Ale mówią, że nie będą wyjeżdżać, bo są u siebie.

Wtedy, w 2014 r., Nazar od razu chciał się zgłosić do ukraińskiej armii, ale ze względu na problemy z sercem proponowano mu tylko biurowe posady: – Nie mógłbym w sztabie przewracać papierów, gdy ktoś inny walczy o moją ziemię. Dlatego gdy skończyła się moja tura i kolejny raz zgłosiłem się do armii, po prostu ukryłem problemy zdrowotne. I teraz za każdym razem, gdy podpisuję kontrakt z armią, dobieram oddziały tak, żeby walczyły niedaleko moich rodzinnych stron.

Nazar mówi, że chciałby, żeby politycy, którzy powtarzają o konieczności utrzymania zawieszenia broni, powiedzieli to w twarz komuś takiemu jak on: – Nie zgadzam się na przetwarzanie Donbasu w jakieś Naddniestrze, w jakiś zamrożony konflikt. Zabrali mi dom! Jedyne rozwiązanie sytuacji to ofensywa, do końca. Niech Rosjanie wracają do siebie.

On może czekać: – Nieważne, czy ta wojna potrwa jeszcze pięć lat czy piętnaście, kiedyś osobiście uwolnię spod okupacji moją wieś, mój dom i to pole, co je zabrali ojcu.

Babcia Masza

– Najbardziej to mi szkoda drzew. Tak je pokaleczyły te ostrzały. Biedne drzewa, tyle lat spokojnie przetrwały, a tu coś takiego. I nawet się poskarżyć nie mogą – starsza kobieta gładzi korę przydomowej jabłoni. Rozgląda się po zagraconym podwórku. – Tu był taki porządek, ale wybuchy wszystko porozrzucały! Muszę poczekać, aż żołnierze przyjdą pomóc to pozbierać. Sama się boję, że coś jeszcze wybuchnie.

– A to moje kotki – przedstawia swoich bliskich. – Ta szara to Ślicznotka, trikolorka to Jula, a ostatnia przybłąkała się tu niedawno. Po ostrzale uciekły i ich tydzień nie było, jak ja się o nie bałam – trzy koty łaszą się u jej stóp.

75-letnia babcia Masza – jak sama siebie nazywa – pochodzi z Połtawy, miasta położonego w centralnej Ukrainie. Tutaj, na Donbas, przyjechała za mężem, już lata temu.

– Z Doniecka wyjechaliśmy od razu, jak to wszystko się zaczęło. Powiedziałam mężowi, że nie będę żyć w Rosji, jestem Ukrainką! Zamieszkaliśmy tutaj, na naszej działce. Myśleliśmy, że jeśli działka jest kilkadziesiąt kilometrów od Doniecka, to będzie tutaj bezpiecznie. A okazało się, że to pierwsza linia frontu – załamuje ręce.

↦

Masza (z lewej) mieszka tuż przy linii frontu samotnie, tylko z trzema kotami. Żołnierze z pobliskich stanowisk traktują ją jak swoją babcię. Październik 2021 r.

↦ Od pozycji rosyjsko-separatystycznych dom Maszy dzielą niecałe dwa kilometry. Okna po stronie wschodniej są zakryte szmatami. – To żeby nie było widać światła, bo Rosjanie ostrzelają. Tydzień temu tak zrobili. Siedzę, liczę wybuchy, raz, dwa, trzy... Doliczyłam do siedmiu, a tu bach, na moim podwórku! – wykrzykuje, gestykulując. – A następny znowu, bach! Uderzył obok okna, wszystko się sypie, szkło lata! Trzeba było się schować pod stół, ale wybiegłam z domu. Próbowałam uciec przez siatkę do sąsiadów, a tu znowu huk i poczułam takie uderzenie, aż mi oddech zabrało. Dobrze, że byłam ciepło ubrana! Tylko siniak został – demonstruje dziurę w kurtce, pośrodku pleców, zrobioną przez odłamek.

– Chłopcy, bo tak nazywam naszych żołnierzy, od razu przybiegli, żeby sprawdzić, czy jestem cała. Martwili się. Kochani ci chłopcy. Mam jednego syna i mieszka daleko, nie może do mnie przyjeżdżać. To teraz jakbym miała ich wielu! Rozmawiam z nimi jak z dziećmi. Każdy z nich ma w domu babcię, mamę. A tu jestem ja, babcia Masza, ich frontowa babcia – uśmiecha się. – Czasem im pomidorków marynowanych przyniosę, a oni dla mnie czasem lekarstwa. Albo posprzątają. I tak sobie razem żyjemy.

– Wtedy to na nich aż nakrzyczałam, że tak przybiegli od razu, choć kule latały – przypomina sobie. – Ja im mówię: dzieci, o babcię się nie martwcie, swoje przeżyłam. Najważniejsze, żebyście wy byli zdrowi!

■■■

Babcia Masza nie słyszała o porozumieniach mińskich. Wieści o rozmowach polityków – czy to w tzw. grupie kontaktowej, czy w formacie normandzkim – nie docierają do jej domu na skraju wojny. – Jak to nie strzelają, skoro wciąż strzelają? – dziwi się. – Czego to ludzie nie wymyślą. Wojna jest, a oni tam gdzieś się gimnastykują, żeby jej nie nazywać wojną. I co to zmienia? – znów się dziwi, gdy słyszy, że oficjalnie trwa zawieszenie broni.

Mąż zmarł trzy lata temu. Masza: – Teraz mam już tylko moje kotki i moich chłopców.

Męża pochowała tutaj, na miejscowym cmentarzu. – Wojna, nie wojna, teraz nie mogę już wyjechać z naszej wsi, bo przecież nie zostawię jego mogiłki. Ktoś kwiaty musi dla męża nosić, grób posprzątać.

Masza tak sobie myśli, że nie dożyje końca tej wojny. – Mówię wszystkim sąsiadom, żeby mnie pochowali obok męża. Ja już się tylko martwię, żeby bomba nie rozbiła cmentarza. Żebyśmy chociaż po śmierci byli razem w spokoju.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego" dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego".

TYGODNIK POWSZECHNY Legimi

weź, czytaj!

TOMASZ

Stawiszyński: *Droga ponad światem*

Każdy, kto bacznie i bez uprzedzeń przyjrzy się osławionemu wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. oraz jego dramatycznym skutkom, dostrzeże, że jest tu w grze pewien odwieczny, uniwersalny mechanizm. Rozmaicie go można nazywać. Na przykład – zderzenie ideologii z rzeczywistością, weryfikacja teorii przez praktykę, bolesna lekcja, jaką życie daje wyobrażeniom, które sobie na jego temat wytwarzamy. A może także – oczarowanie językiem, utożsamienie prawdy wyobrażonej z prawdą materialną. Utrata świadomości, że pomiędzy światem słów a światem obiektów i zdarzeń zachodzą wprawdzie niekiedy korespondencje, ale nie zachodzi żadna ścisła, przedustawna odpowiedniość. Po prostu okoliczność, że w naszych rozważaniach wszystko harmonijnie się ze sobą splata, a dodatkowo napawa nas poczuciem wzniosłości i mocy, nie oznacza automatycznie, że obcujemy z jakąkolwiek realnością poza realnością własnej psychiki.

Radykalna perspektywa ideologiczna jest na tę różnicę z definicji zamknięta. Właśnie dlatego najczęściej prowadzi do tragicznych konsekwencji, których nadejścia ani sama nie przewiduje, ani też nie chce ich widzieć, kiedy już zaistnieją. Ideał powszechnej równości, ideał czystości rasowej, ideał moralnej perfekcji wdzierają się w kosmos ludzkich spraw, w sferę niesymetryczności, światłocienia, rozmaitych odcieni szarości, tak odległych od czerni i bieli. Powie ktoś, że ideał moralnej doskonałości albo powszechnej równości to jednak coś innego niż ideał czystości rasowej. Czy rzeczywiście? Jeżeli prawdą jest, że różnicę pomiędzy doskonałym światem wyobraźni a niedoskonałą rzeczywistością zniwelować pozwala wyłącznie przymus bezpośredni – kwestia treści wydaje się drugorzędna, przemocowe jest tutaj bowiem samo to pomieszanie porządku pojęć i porządku rzeczy. Historia najnowsza dobitnie to ilustruje.

Oczywiście, zjawisko, o którym piszę, jest rozległe i dzieli się na szereg poszczególnych wcieleń, przy czym dalece nie wszystkie, a nawet nie większość, to wcielenia prowadzące do zbrodni. Zawsze jednak, kiedy mamy do czynienia ze wzmiankowaną zależnością, do głosu tak czy inaczej dochodzą rozwiązania siłowe, inaczej bowiem nie sposób zredukować tego dysonansu. Niezredukowany zaś rozsadziłby ideologiczną budowlę w jednej chwili. Ten, od którego zacząłem niniejszy tekst, ufundowany jest na mitologii nierealistycznej, a zatem odwracającej się od realnego dramatu ludzkich losów i faktycznych, a nie imaginacyjnych wyborów, przed którymi człowiek może stanąć. Na mitologii nieprzyjmującej do wiadomości bezwładu i bezsensu tkwiących w życiu, w przyrodzie, w świecie. Pracowicie zasłaniającej bezwład i bezsens wzniosłymi formułami odwołującymi się do świętości, absolutu i transcendencji. Przemawiającej z wyżyn, z których nie dostrzega się nawet słabych konturów tego, co dzieje się w dolinach. A właśnie tam rozgrywa się przecież codzienność.

Z całą pewnością dzisiejsza epoka – czas wielopoziomowych i wieloaspektowych niepewności, od egzystencjalnej, przez ekonomiczną, po metafizyczną – sprzyja wspinaczce na tego rodzaju wysokości. Ostatecznie, jak słusznie powiedział kiedyś Wallace Stevens, droga ponad światem jest znacznie prostsza niż droga przez świat. Niestety – ta pierwsza pociąga za sobą drastyczne koszty. Ślepa na realny dramat prowadzi do jeszcze większych dramatów, ślepa na tragiczność ludzkich życiorysów i ludzkich wyborów tylko tragiczność intensyfikuje.

Przy czym ruch w górę nie jest wcale – dodajmy – w sposób konieczny spowinowacony z religią. Anselm Grün, ten niezwykły benedyktyn, odróżnia duchowość autorytarną (ruch w górę) od duchowości nieautorytarnej (ruch w głąb). W pierwszej dostrzega te same niebezpieczeństwa, o których pisałem wyżej, w drugiej dopiero widzi perspektywę zdolną uchwycić jakąś prawdę o ludzkim życiu.

Nieprzypadkowo w moim pierwszym felietonie na łamach „Tygodnika Powszechnego" przywołuję nieautorytarny styl myślenia. „Tygodnik" zawsze był – i jest do dzisiaj – jego bastionem. Był i jest przestrzenią zdolną pomieścić nieoczywistość, unikającą zero-jedynkowych ideologicznych sztanc, zachowującą stosowny dystans do moralnych wzmożeń, brutalności i panik charakteryzujących dziś debatę publiczną. Jest mi to postawa bardzo bliska. Tym większy to dla mnie zaszczyt i przyjemność, że dołączam do grona stałych felietonistów tego pisma, tym większy to dla mnie zaszczyt i przyjemność przywitać się dzisiaj z Wami, drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy. ©

TOMASZ STAWISZYŃSKI *jest filozofem i publicystą. Autor wielu audycji w Radiu Tok FM oraz podkastu „Skądinąd", a także książek „Potyczki z Freudem. Mity, pułapki i pokusy psychoterapii", „Co robić przed końcem świata" oraz wydanej właśnie „Ucieczki od bezradności".*

Rozmowę z naszym nowym felietonistą czytaj na:
powszech.net/planetaulgi

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 316/20 z wniosku Marii Kicińskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie Franciszku Wołoszyn, s. Franciszka i Marii, kawalerze, duchownym, zm. 1 czerwca 2019 r. w Dźwirzynie i tam mającym ostatnie miejsce pobytu, po którym pozostał majątek w postaci: nieruchomości położonej w Dźwirzynie, samochodu osobowego marki Škoda i oszczędności pieniężnych, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowanu i udowodniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

NAUKA

MALOWANIE ZIEMI NA ZIELONO

Szczyt klimatyczny ONZ w Glasgow miał pomóc zapobiec katastrofie. Ale zamiast globalnego porozumienia jest seria bezzębnych obietnic.

AGATA KAŹMIERSKA

JEFF J MITCHELL / GETTY IMAGES

1 Gdy w zeszłym tygodniu w Glasgow zamykano obrady szczytu klimatycznego COP26, w obozie dla uchodźców Dar-es-Salam w Czadzie właśnie skończyła się pora deszczowa, która w tym roku przyniosła wyjątkowo gwałtowne ulewy. Niedługo zaczną się dni ze skwarem przekraczającym 40 st. Celsjusza. Niektórzy w Dar-es-Salam dostali od organizacji humanitarnych plastikowe płachty, pod którymi chronią się przed pogodowymi ekstremami. Innym musi starczyć schronienie sklecone z gałęzi i starych szmat. Glasgow odległe jest od Dar-es-Salam tak, jakby było w innej galaktyce. Choć to o losie m.in. ludzi takich, jak mieszkańcy tego obozu na obrzeżach miasteczka Baga Sola, właśnie zadecydowano.

„Wiemy, co mówią naukowcy, nauczyliśmy się ich nie ignorować" – podkreślał, otwierając COP26, jego gospodarz, premier Wielkiej Brytanii. To samo powtarzali politycy z całego świata od przeszło ćwierć wieku, gdy organizowano szczyty ONZ na rzecz ratowania klimatu i mogłoby to być motto takich zjazdów. Problem w tym, że to kłamstwo. Gdyby politycy rzeczywiście przyjęli do wiadomości, co mówią naukowcy, od dawna mogłoby nie być problemu rosnącego stężenia gazów cieplarnianych w atmosferze i napędzanych tym zmian klimatu. Gdyby choćby sam Boris Johnson i inni uczestnicy COP26 naprawdę uwierzyli nauce, ten szczyt trwałby do tej pory, bo nikt by się nie godził na zakończenie obrad bez wypracowania realnych rozwiązań.

Zamiast tego po Glasgow została seria bezzębnych deklaracji i oświadczeń, które mogą się okazać warte mniej niż papier,

Marsz Friday For Future na ulicach Glasgow, 5 listopada 2021 r.

na którym je zapisano. Osobno znaczą niewiele, ale razem tworzą bardzo niebezpieczną iluzję.

2 Rok 1988. Przed komisją Energii i Zasobów Naturalnych Senatu USA zeznaje grupa naukowców. Jeden z ówczesnych dyrektorów NASA, dr James Hansen mówi, że pierwszych pięć miesięcy roku było najcieplejsze w ciągu 130 lat, podczas których prowadzi się pomiary temperatury (w kolejnych dziesięcioleciach takie komunikaty staną się normą). Dr Hansen cierpliwe wyjaśnia, że to efekt pompowania przez ludzkość do atmosfery gazów cieplarnianych i potwierdza to 99 proc. prac naukowych. „Mając takie dowody, nie możemy sobie pozwolić na to, by dalej nic z tym nie robić" – przekonuje. „Jeśli dr Hansen i inni naukowcy mają rację, to ludzie, poprzez spalanie paliw kopalnych, zmienili globalny klimat w sposób, który wpłynie na życie na Ziemi przez nadchodzące stulecia" – komentuje następnego dnia na głównej stronie „The New York Times".

Tego samego roku, dzięki uporowi Hansena i innych klimatologów z całego świata, pod auspicjami ONZ powstanie Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu, IPCC – setki działających charytatywnie badaczy co kilka lat będzie publikować raporty, by dostarczać politykom i opinii publicznej najbardziej aktualne informacje o stanie klimatu.

W 1988 r. miejsce, gdzie powstanie obóz Dar-es-Salam, znajduje się jeszcze kilka metrów pod wodą. Jezioro Czad to wówczas wciąż jeden z największych zbiorników śródlądowych na świecie. Położone u jego brzegów miasteczko Baga Sola tętni życiem, bo na targ rybny przyjeżdżają mieszkańcy z całej okolicy. Ludzie zaczynają już jednak zauważać, że z jeziorem dzieje się coś niedobrego. Zawsze występowały na nim dramatyczne wahania poziomu wody między porą deszczową a suchą, ale staje się jasne, że jezioro się kurczy. Cieki wodne zaczynają porastać trzciny i lilie, zatykając je i uniemożliwiając poruszanie się po starych szlakach między wyspami, którymi usiane jest jezioro Czad.

Rok 1995. ONZ organizuje pierwszy COP. Uczestniczący w nim politycy zgadzają się, że w świetle tego, co mówi nauka, ich dotychczasowe działania na rzecz ochrony klimatu nie były wystarczające. Jezioro Czad, które jeszcze w latach 60. XX w. miało powierzchnię 26 tys. km^2, zajmuje już obszar niewiele większy niż 1,5 tys. i w zasadzie podzieliło się na dwa zbiorniki, z których północny co roku na kilka miesięcy kompletnie wysycha. Na wysepkach na jeziorze zaczyna się plaga. Muchy tse-tse ucztują na krowach. Krowy chorują i nie dają mleka. Nie ma też masła, które, po podgrzaniu i wlaniu do nosa, służyło za lekarstwo na pospolite choroby. Wyspiarzom po raz pierwszy głód zagląda w oczy. Baga Sola podupada, bo coraz więcej pól pożera pustynia, a tam, gdzie brzegi się cofnęły i ziemia jest wciąż jeszcze żyzna, regularnie wybuchają o nią spory.

Rok 2015. Dżihadyści z Boko Haram na wysepki przyszli ze strony sąsiadującej z jeziorem Czad Nigerii. Terroryzują je. Mordują albo porywają mieszkańców. Maczety i narzędzia rybackie nie mogą się równać z granatami i karabinami Boko Haram. ↦

SIA KAMBOU / AFP

Jezioro Czad od kilkudziesięciu lat systematycznie wysycha. Na zdjęciu obszar w pobliżu miasta Bol w Czadzie.

W październiku zamachowcy-samobójcy wysadzają się na targu rybnym w Baga Sola i w powstałym tuż obok miasteczka obozie dla uchodźców. Zabijają 43 osoby. Miesiąc później świat świętuje. 195 państw podczas konferencji COP21 w Paryżu uzgodni, że będzie się starać ograniczyć globalne ocieplenie znacznie poniżej 2 st. Celsjusza, a jeśli to możliwe – do 1,5 st. względem epoki przedprzemysłowej. Słynne Porozumienie Paryskie ma pozwolić ludzkości na uniknięcie najbardziej katastrofalnych zmian klimatu, skutkujących ekstremalnymi suszami, pożarami, huraganami czy powodziami. Te nowe uzgodnienia mają sprawić, że uda się zapobiec sprzężeniom zwrotnym, gdy jedna zmiana klimatu napędza kolejną.

Rok 2021. Emisje gazów cieplarnianych cały czas rosną. Wszystko zapowiada, że znów pobiją rekordowe poziomy. Wokół tego, co zostało po jeziorze Czad, trwa jeden z największych na Ziemi kryzysów humanitarnych. W Czadzie, Nigrze, Nigerii i Kamerunie terror Boko Haram wygnał z domów 2,5 mln ludzi. W Dar-es-Salam wegetują tysiące, nikt nie wie nawet dokładnie, ilu. Pustynia wokół obozu usiana jest minami podłożonymi przez dżihadystów. Zresztą i tak nie ma dokąd odejść.

Boris Johnson, otwierając COP26, porównuje uczestniczących w obradach przywódców do Jamesa Bonda zmagającego się z tykającym „zegarem zagłady". Apeluje o pilne działania, by ocalić przyszłe pokolenia i „nienarodzone jeszcze dzieci". „Mogło się wydawać – komentuje »El País« – że przeszedł coś w rodzaju damasceńskiego nawrócenia na ekologię od czasów, gdy jako felietonista »The Daily Telegraph« flirtował z dość haniebnym rodzajem negacji zmian klimatu". Zaraz po ceremonii otwarcia Johnson wskakuje jednak do wyczarterowanego odrzutowca – do Londynu wezwać go miały obowiązki, ponoć aż tak pilne, że uniemożliwiły podróż mniej szkodliwym dla klimatu pociągiem. Okazało się, że w klubie dla dżentelmenów brytyjski premier miał spotkanie z dawnymi kolegami z redakcji, wśród nich ze swym byłym redaktorem naczelnym Charlesem Moore'em, obecnie zasiadającym w Izbie Lordów, który od lat powtarza, że żadnych działań na rzecz klimatu nie trzeba, bo żadnego kryzysu klimatycznego nie ma.

3

Coraz bardziej intensywne upały, niszczycielskie powodzie, trwające przez wiele miesięcy potężne pożary w tym roku praktycznie nie znikały z czołówek światowych mediów. „Korzystając z symulacji komputerowych teraz możemy sprawdzać, co by się stało, gdyby stężenie gazów cieplarnianych było dziś takie, jak w 1850 r., jak wyglądałaby wtedy intensywność upałów czy burz, jaki byłby poziom morza i co za tym idzie, jaki obszar wybrzeża byłby zalany" – tłumaczył w niedawnym wywiadzie Michel Oppenheimer, jeden z naukowców, którzy 33 lata temu zeznawali w amerykańskim kongresie, i jeden z czołowych autorów raportów IPCC.

Dziś stężenie gazów cieplarnianych zbliża się do 420 cząstek na milion i jest najwyższe od 3 milionów lat. Dzięki modelom klimatycznym wiemy, że prawdopodobieństwo powodzi takich jak te, które latem nawiedziły zachodnią Europę i zabiły 242 osoby, jest dziewięć razy wyższe niż na początku ubiegłego wieku. Badacze wyliczyli też, że gdyby nie emisje dwutlenku węgla w ciągu ostatnich stu lat, fala tegorocznych ekstremalnych upałów w USA i Kandzie nie byłaby możliwa. Gdyby stężenie gazów cieplarnianych było takie, jak w latach 50. ubiegłego wieku, prawdopodobieństwo powodzi towarzyszącej huraganowi Harvey, który spustoszył Teksas w 2017 r., byłyby dwukrotnie niższe.

Szczyt COP26 odbył się trzy miesiące po publikacji nowego raportu IPCC. Wykazano w nim, że świat już jest cieplejszy średnio o 1,09 st. Celsjusza niż na początku epoki przemysłowej, a od 40 lat każda kolejna dekada jest gorętsza od poprzedniej. Zdaniem autorów wiele zmian, do których już doszło, jest nieodwracalnych i przebiegają znacznie szybciej, niż się spodziewano. Autorzy wykazali, że jest już niemal pewne, iż do zjawisk związanych ze wzrostem poziomu morza, które w przeszłości zdarzały się raz na stulecie, pod koniec XXI w. będzie dochodzić raz do roku. W wielu regionach świata wzrośnie częstotliwość pojawiania się warunków sprzyjających gwałtownemu rozprzestrzenianiu się pożarów. Przed połową tego wieku Arktyka będzie co roku do września niemal zupełnie pozbawiona lodu. Ze scenariuszy rozpisanych w raporcie IPCC wynika również, że dalsze ocieplenie jest nieuniknione, a jego konsekwencje zależą od zmian emisji gazów cieplarnianych. Kluczowe będą działania podjęte do końca tej dekady. Sekretarz Generalny ONZ, zwykle ważący słowa, nazwał dokument „czerwonym alarmem dla ludzkości".

Jak ludzkość zareagowała? Podczas COP26 podpisano szereg deklaracji, dotyczących m.in. powstrzymania wylesiania, konkretnych funduszy dla państw rozwijających się czy ograniczenia emisji metanu. Na ostatniej prostej negocjacji najgorętsze dyskusje dotyczyły tego, czy w bilansie emisji uwzględniać technologie odsysania dwutlenku węgla. Technologie, których nie można jeszcze używać na dużą skalę.

Doskonałym przykładem tego, jaką wagę mają te zobowiązania, jest uznawana za jeden z największych sukcesów Glasgow deklaracja Financial Alliance for Net Zero, do której przystąpiło ponad 450 instytucji finansowych. Zobowiązały się do składania raz do roku sprawozdań, ile CO_2 emitują projekty, na które pożyczają pieniądze i w które inwestują. Problem w tym, że to inicjatywa bliźniaczo podobna do deklaracji składanych zaraz po podpisaniu w 2015 r. Porozumienia Paryskiego czy Zasady Odpowiedzialnej Bankowości (PRB) zainicjowanej podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ w 2019 r. Jaki jest efekt? Amerykański Citi, który deklaruje zaangażowanie w realizację celów porozumienia z Paryża i jest sygnatariuszem PRB, a teraz podpisał się pod deklaracją z Glasgow, w latach 2016-19 był trzecim co do wielkości na świecie pożyczkodawcą inwestycji związanych z paliwami kopalnymi, a rok temu, czyli już po podpisaniu się pod PRB, wskoczył w tym rankingu na drugie miejsce. Udzielanie pożyczek związanych z paliwami kopalnymi rozwijają także japoński MUFG oraz chiński gigant ICBC, oba z pierwszej dziesiątki banków na świecie, także zgodnie deklarujące wypełnianie klimatycznych zobowiązań.

Nierozwiązaną kwestią pozostaje to, wedle jakich dokładnie kategorii sygnatariusze mają mierzyć emisje gazów cieplarnianych projektów, w które inwestują lub na które pożyczają pieniądze. A to kluczowa sprawa, daleko wykraczająca poza tradycyjne kompetencje banków i znacząco wpływająca na koszty operacyjne. Za niewywiązanie się ze zobowiązań zarówno w przypadku PRB, jak i tych z Glasgow żadnej instytucji nie grozi nawet upomnienie. Choć w Glasgow – i to trzeba przyznać – zrobiono krok do przodu, bo pojawiła się deklaracja corocznych deklaracji o emisjach CO_2. Prof. Paul David Richard Griffiths, dyrektor Banking, Finance & Fintech w École de management de Normandie uważa, że podczas COP26, zamiast wymyślać nową inicjatywę, należało się skupić na wzmocnieniu PRB. Zamiast tego mamy fanfary wieszczące narodziny tygrysa. Problem w tym, że to kolejna bezzębna kaleka.

4 Tylko czy należy się dziwić instytucjom finansowym, których działalność polega na zarabianiu pieniędzy, skoro dokładnie tych samych metod chwytają się polityczni przywódcy, którzy powinni dbać przynajmniej o los swoich własnych obywateli?

Jeszcze podczas trwania COP26 eksperci Programu Środowiskowego ONZ policzyli, że deklarowane przez państwa członkowskie cięcia emisji – nawet jeśli owe państwa wywiążą się ze swoich obietnic – pomogą ograniczyć globalne ocieplenie w bardzo niewielkim stopniu, a świat jest na szybkiej ścieżce do ogrzania się o średnio 2,4 st. Celsjusza. ↦

REKLAMA

PRESTIGE MJM PREZENTUJE

SCORPIONS
ROCK BELIEVER
World Tour 2022

28 MAJA 2022
TAURON ARENA
KRAKÓW

BILETY: BILETSERWIS.PL

THE-SCORPIONS.COM

Prestige MJM · BILET SERWIS · radio ZET · ANTYRADIO · TYGODNIK POWSZECHNY · Gitarzysta · VIXON · PRESS SERVICE

W przypadku niewywiązania się z obietnic pędzimy wprost ku prawie 3 st. W tej sytuacji w deklaracji końcowej ze szczytu mogło się znaleźć jedynie sformułowanie, że jego uczestnicy „do końca przyszłego roku zaktualizują swoje plany tak, by spełniły cel Porozumienia Paryskiego", tj. ocieplenia o 1,5 st. Czyli znów: nie ignorujemy naukowców, jakieś działania deklarujemy, jakieś teoretycznie podejmujemy.

W powietrzu wisi też pytanie, ile tych nowych deklaracji o ograniczeniu emisji będzie prawdziwych, bo dotąd i z tym nie jest najlepiej. Z dziennikarskiego śledztwa „The Washington Post" wynika, że część państw zwyczajnie mija się z prawdą. Z liczącego 285 stron raportu, jaki Malezja złożyła do ONZ, wynika na przykład, że jej lasy pochłaniają aż cztery razy więcej dwutlenku węgla niż bardzo podobne lasy w sąsiedniej Indonezji. Dzięki temu węglowy bilans kraju na papierze jest aż o 73 proc. niższy, niż powinien. 243 mln ton CO_2 trafia do atmosfery i tam jednak nie ginie. Z ustaleń „Washington Post" wynika, że różnica między tym, co państwa deklarują, a co rzeczywiście emitują, waha się od 8,5 mld do nawet 13,3 mld ton rocznie. Łączne zadeklarowane emisje całego świata w ostatnich latach wynosiły ok. 35 mld ton, a w 2030 r. wedle prognoz wyniosą 52,4 mld. Jeśli chcemy zapobiec katastrofie, trzeba je ściąć do 26,6 mld. W Glasgow wynegocjowano jedynie ścięcie ich do 41,9 ton. A mówimy tu wyłącznie o dwutlenku węgla. Z danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej wynika, że Rosja jest największym na świecie emitentem metanu, pochodzącego z instalacji wydobywczych ropy i gazu. Jednak wcale nie wynika to z danych, które Moskwa wysyła do ONZ. Podobnie o miliony ton mogą być zaniżone dane Zjednoczonych Emiratów Arabskich czy Kataru. Metan, choć w atmosferze utrzymuje się krócej niż dwutlenek węgla, jest od niego znacznie silniejszym gazem cieplarnianym.

Różnica między tym, co państwa deklarują, a co rzeczywiście emitują, waha się **od 8,5 mld do nawet 13,3 mld ton CO_2 rocznie.**

5 Do Glasgow zjechało prawie 40 tys. delegatów z całego świata, z czego aż pół tysiąca to lobbyści koncernów naftowych, węglowych i gazowych. Było ich więcej niż łącznie przedstawicieli państw najbardziej dotkniętych zmianami klimatu i dwa razy więcej niż delegatów rdzennych ludów. Delegacja krajów położonych nad jeziorem Czad liczyła w sumie 20 osób. „Jedyną wartością COP jest to, że ci, którzy wywołali kryzys klimatyczny, muszą spojrzeć jego ofiarom w oczy. Ale czy przywódcy USA, Unii Europejskiej, prezesi Exxon, Shella czy BP wciąż są w stanie to zrobić? – pytała gorzko Mia Mottley, premier Barbadosu, i podkreślała, że już dziś walutą, w której świat płaci za zwłokę, jest ludzkie życie. – To niemoralne i niesprawiedliwe".

Oczywiste jest, że nikt wprost nie powiąże nieumiejących się dogadać na szczytach COP światowych przywódców z tym, co się dzieje nad jeziorem Czad. Tak samo nie można jednoznacznie powiedzieć, że wojny wybuchają z powodu zmian klimatu. Nigdy nie wiadomo, w jaki sposób natura wpłynie na ludzką chciwość, oportunizm czy skłonność do okrucieństwa. Znaczenie ma też po prostu bogactwo czy dostęp do technologii w danym kraju. Prawdopodobieństwo wybuchu starć w Holandii i Bangladeszu jest różne, choć oba te państwa mierzą się z podobnym zagrożeniem wzrostu poziomu mórz wywołanego globalnym ociepleniem.

Czy wojna domowa w Syrii wybuchłaby, gdyby nie poprzedziła jej potężna susza, która wygnała rolników do miast, rozbudzając między ludźmi wrogość? I bez tego przecież Syryjczycy mieli dość powodów, by buntować się przeciwko opresyjnemu reżimowi Baszara al-Asada. Modele klimatyczne wskazują jedynie, że emisje gazów cieplarnianych spowodowały, iż susza w tym regionie stała się dwukrotnie bardziej prawdopodobna.

Czy w Mali doszłoby do czystek etnicznych, gdyby pasterze i rolnicy nie musieli rywalizować o ziemię? Jedna z ofiar tamtych rzezi relacjonowała: „Byli przecież naszymi przyjaciółmi od czasu naszych prapradziadków. A potem przyszli z karabinami automatycznymi i maczetami. Odcinali dłonie, ramiona i penisy. Powiedzieli, że albo odejdziemy, albo nie przeżyje nikt". Czy naprawdę nie można twierdzić, że winna jest temu najbardziej ekstremalna susza? Albo w sudańskim Darfurze – czy rząd posunąłby się do ludobójczej kampanii, by tłumić bunt, gdyby nie wywołały go kurczące się zasoby żywności i wody spowodowane pustynnieniem i coraz bardziej skąpymi opadami? Przedstawiciele Programu Środowiskowego ONZ już w 2007 r. argumentowali, że właśnie w Sudanie wybuchła pierwsza w historii wojna wywołana zmianami klimatu, choć twarde dane z modeli klimatycznych wskazują jedynie, że Afryka – odpowiedzialna za zaledwie 4 proc. światowych emisji CO_2 – ociepla się ponad dwa razy szybciej niż reszta planety.

Łatwych odpowiedzi nie będzie także w sprawie jeziora Czad. Nie ma modelu, który wskazałby jednoznacznie, ilu terrorystów Boko Haram rzeczywiście wierzy w wizje raju na ziemi budowanego dzięki surowym prawom szariatu, a ilu uznało, że grabieże to po prostu najlepszy sposób, żeby przeżyć w szybko zmieniającej się rzeczywistości u brzegów wyschniętego jeziora.

To splątana opowieść, także o klimacie. Z prowadzonych od kilkudziesięciu lat badań wiadomo, że co najmniej połowa spadku stanu wód w Czadzie rzeczywiście wynika ze zmian klimatycznych – choć jezioro od lat 60. kurczy się także z powodu rosnącego zapotrzebowania na wodę wśród okolicznych rolników coraz intensywniej nawadniających nią pastwiska. Jednocześnie położony w gorącym klimacie płytki zbiornik błyskawicznie zaczął parować, a dopływające do niego rzeki nie wystarczały do skompensowania ubytku.

Paradoksalnie, od kilkunastu lat tylko intensywne ulewy wywołane zmianami klimatu powstrzymują ostateczną śmierć jeziora i utrzymują przy życiu tysiące ludzi, którzy nie mają gdzie odejść. Ale według najbardziej optymistycznych scenariuszy IPCC do połowy wieku temperatura nad jeziorem Czad wzrośnie co najmniej o 2,1 st. Celsjusza. Jeśli świat nie dotrzyma klimatycznych obietnic, może tam być nawet o 4,1 st. więcej. Wtedy warunków do życia raczej już tam nie będzie.

© AGATA KAŹMIERSKA

Tekst ukończono 12 listopada.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 47/2021

Nagroda Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera

Fot. Paweł Jaroszewski

Wspólnie szukając prawdy

WOJCIECH BONOWICZ

Nigdy nie była to nagroda gwiazdorska. A jednak jej laureatki i laureaci to prawdziwe gwiazdy: po spotkaniu z nimi chce się mądrzej i pełniej żyć.

NIE MA DRUGIEJ TAKIEJ NAGRODY. Żadna nie łączy tylu różnych światów. Żadna też nie traktuje ich z równą powagą. Istniejąca od przeszło 20 lat Nagroda Znaku i Hestii imienia ks. Józefa Tischnera sprawiała, że na jednej scenie mogli się spotkać na przykład młody teolog skupiony na precyzyjnym opisaniu wybranego problemu, doświadczona reporterka, która starała się przekazać prawdę o współczesnej Rosji, i zakonnica pomagająca kobietom uciekającym przed przemocą domową lub usiłującym porzucić „pracę na ulicy".

Nigdy nie była to nagroda gwiazdorska. Jury, któremu od początku przewodniczy ks. Adam Boniecki, nie polowało na „nazwiska", kierowało się w swoich wyborach wyłącznie merytorycznymi kryteriami. A jednak wszystkie laureatki i laureaci to prawdziwe gwiazdy: ludzie, po spotkaniu z którymi chce się mądrzej i pełniej żyć. Przypominam sobie nagrodzone przed wielu laty siostry Sawickie – Teresę i Martę – które wyróżniono za to, że prowadziły domową kuchnię dla potrzebujących. Równolegle z nimi nagrodę odbierał znany dziennikarz Wiktor Osiatyński, autor przejmującej książki o własnych zmaganiach z alkoholizmem. „Cogito Ergo Hestia" – zażartował, co było ukłonem w stronę fundatora nagrody. Bo piękne jest i to, że nagroda ma wymiar finansowy, nie ogranicza się do wręczenia dyplomu i uścisku ręki.

Powołały ją do życia dwie instytucje – Grupa Ergo Hestia i Społeczny Instytut Wydawniczy Znak (przy czym w powstaniu nagrody udział miały redakcje zarówno wydawnictwa, jak miesięcznika). Każdy z laureatów otrzymuje 33 tys. złotych oraz piękną statuetkę zaprojektowaną i wykonaną przez Mariana Gromadę. Trzy kategorie, które wymyślili twórcy nagrody, odzwierciedlają trzy pola, na których aktywny był jej patron. Pole pierwsze to wysoka filozofia i teologia, pole drugie – publicystyka i eseistyka reagująca na bieżące wydarzenia, pole trzecie – inicjatywy duszpasterskie i społeczne o charakterze humanitarnym. Każda z kategorii nawiązuje do tytułu jednej z książek ks. Tischnera: „Myślenie według wartości", „Nieszczęsny dar wolności" i „Polski kształt dialogu". W tym roku w poszczególnych kategoriach nagrodzono ks. Tomáša Halíka (to pierwszy zagraniczny laureat w historii nagrody!), Łukasza Lamżę oraz Archidiecezjalny Zespół Domowej Opieki Paliatywnej z Warszawy, kierowany przez ks. Władysława Dudę.

Wielkim przeżyciem są zawsze gale, w trakcie których nagroda jest wręczana. Najważniejsze podczas nich nie są efekty specjalne, gra świateł czy głośna muzyka, lecz – słowo. Uroczystość wieńczy rozmowa z laureatkami i laureatami. Rozmowa niespieszna, pozwalająca poznać, co ich w życiu motywuje i inspiruje, a zarazem zrozumieć lepiej, co się dzieje w naszym świecie i jak można zaradzić rozmaitym jego biedom. Głosy ludzi przychodzących z rożnych stron łączą się we wspólną opowieść, pokazując jednocześnie, że – jak pisał Tischner – nie wolno na świat patrzeć tylko z jednego okna, trzeba szukać nowych punktów widzenia.

Lista nagrodzonych jest imponująca. Są na niej m.in. s. Anna Bałchan, Jacek Filek, ks. Michał Heller, Marina Hulia, ks. Józef Krawiec, Michał Łuczewski, Karol Modzelewski, Jan Nowak-Jeziorański, Lidia i Jerzy Owsiakowie, Bogdana Pilichowska, Stefan Swieżawski, Jerzy Szacki, Paweł Śpiewak, Karolina Wigura czy o. Ludwik Wiśniewski. Celowo tak mieszam nazwiska, żeby pokazać, jak bardzo wielowymiarowe były i są poszukiwania jury. Gdyby wszystkie laureatki i laureaci – żywi i umarli – mogli jednocześnie stanąć przed nami, byłby to zaiste imponujący wielogłos. Imponujący także swoim pluralizmem. Bo pluralizm, jak pisał patron nagrody, polega „nie tylko na tym, że wielu ludzi jedzie na jednym wozie i każdy siedzi na swoim miejscu. Pluralizm to jakby wymiana spojrzeń. Idzie o to, że nikt nie znałby pełnej prawdy o sobie, gdyby jej nie wyczytał z oczu drugiego człowieka. Potrzebujemy nawzajem siebie, abyśmy mogli znać prawdę o sobie. Wierzący potrzebuje oczu niewierzącego, a niewierzący spojrzenia wierzącego. Nie osiągnie się prawdy w samotności". ©

Wiara w pogodzie ducha

WOJCIECH BONOWICZ

W Polsce nazywany bywa „czeskim Tischnerem"; w istocie, wiele cech jego osoby i myślenia zbliża go do autora „Etyki solidarności".

Jesienią 1978 roku Tomáš Halík, trzydziestoletni doktor filozofii Uniwersytetu Karola w Pradze, przygotowywał się do potajemnych święceń kapłańskich. 16 października, odbywszy spowiedź z całego życia, razem ze spowiednikiem zasiadł przy radioodbiorniku. Z szumów wyłowili głos obwieszczający, że nowym następcą św. Piotra został Karol Wojtyła. „Tuż po wybrzmieniu tych słów rozpoczęliśmy mszę – wspominał Halík po latach. – Kto wie, czy nie była to w ogóle pierwsza msza na świecie za nowego papieża?".

Następnego dnia pojechał z tą radosną nowiną do przyjaciela, także „tajnego" księdza. Przyjaciel święcenia przyjmował w Krakowie; ilekroć później odwiedzał Polskę, zawsze wiózł Wojtyle jako dar ziemi morawskiej palonego kalwadosa. „Miałem jechać w przyszłym miesiącu, kalwados stoi przygotowany w szafie – powiedział. – Do Watykanu go chyba nie przemycę, dlatego wypijmy go razem za jego zdrowie". Butelka została opróżniona. „Kiedy wychodziłem – opowiadał później Halík – miałem ochotę napisać opowiadanie w stylu Jana Nerudy: »Jak to się stało, że wypiłem papieżowi gorzałkę«".

Dorastał w rodzinie o przekonaniach agnostycznych. Był późnym dzieckiem; kiedy przyszedł na świat, jego matka miała 45 lat, a ojciec prawie 50. W 1966 r. zaczął studiować na Uniwersytecie Karola socjologię i filozofię. W czasie studiów zetknął się ze znakomitymi wykładowcami, m.in. z najwybitniejszym współczesnym czeskim filozofem Janem Patočką. Stwo-

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Tomáš Halík

rzył też na wydziale klub dyskusyjny, który zapraszał przedstawicieli intelektualnej i politycznej opozycji, także z Polski.

Jeszcze w liceum Halík zainteresował się religią. Jednym z impulsów była fascynacja husytyzmem, później – filozoficzne zainteresowanie egzystencjalizmem. Z czasem jego poszukiwania nabrały charakteru duchowego. Tuż przed rozpoczęciem studiów wyspowiadał się i przyjął po raz pierwszy w życiu komunię świętą. W okresie Praskiej Wiosny działał nie tylko w opozycyjnym ruchu studenckim, ale też w ekumenicznym ruchu chrześcijan, zdelegalizowanym później przez władze państwowe.

Po czystkach politycznych na początku lat 70. dostał zakaz pracy na wyższych uczelniach. Mimo to w 1972 r. zdołał jeszcze uzyskać stopień doktora filozofii. Ponieważ kariera naukowa była przed nim zamknięta, pracował m.in. jako socjolog w firmie Chemoprojekt Praha, a także jako psychoterapeuta alkoholików i narkomanów. Równolegle studiował tajnie teologię. Choć miał intensywne kontakty z twórcami Karty 77, przełożeni kościelni nie pozwolili mu jej podpisać, obawiając się, że prześladowania mogą uniemożliwić mu przyjęcie święceń. Do roku 1989 działał w nielegalnych strukturach Kościoła katolickiego, będąc jednym z najbliższych współpracowników legendarnego kardynała Františka Tomáška.

Po upadku komunizmu Halík stał się jednym z najważniejszych autorytetów w Republice Czeskiej. Był doradcą prezydenta Václava Havla. W Polsce nazywany bywa „czeskim Tischnerem"; w istocie, wiele cech jego osoby i myślenia zbliża go do autora „Etyki solidarności". Halík postrzegany jest przede wszystkim jako budowniczy mostów między chrześcijaństwem i światem współczesnym, między wierzącymi i niewierzącymi, między filozofią i wiarą. Każda z jego książek staje się bestsellerem w Czechach i na Słowacji.

Od 1990 r. jest rektorem kościoła akademickiego Najświętszego Salwatora w Pradze, w którym gromadzą się tłumy studentów. Jest też przewodniczącym Czeskiej Akademii Chrześcijańskiej oraz wykładowcą w Instytucie Filozofii i Religioznawstwa na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Karola. Od połowy lat 90. angażuje się w inicjatywy na rzecz dialogu między religiami i kulturami; uczestniczył w rozmowach z intelektualistami żydowskimi w Izraelu i USA, z hinduistami w Indiach i Wielkiej Brytanii, z buddystami w Nepalu, Japonii i Tajlandii, z muzułmanami w Egipcie, Jordanii, Wielkiej Brytanii. Za wybitne zasługi na tym polu otrzymał m.in. Nagrodę Tolerancji, Nagrodę Templetona, a w 2019 r. – Medal Świętego Jerzego.

Jednym z głównych tematów jego licznych książek (m.in. „Co nie jest chwiejne, jest nietrwałe", „Wzywany czy niewzywany, Bóg się tutaj zjawi", „Cierpliwość wobec Boga. Spotkanie wiary z niewiarą" czy autobiograficznej „Od podziemnego Kościoła do labiryntu wolności") jest miejsce wiary religijnej we współczesnym świecie. Halík przeciwstawia się w nich myśleniu sekciarskiemu, tak w obrębie religii, jak i poza nią, które to, co niejednoznaczne, usiłuje zredukować do własnych definicji i wniosków. Lubi żartować, że zdrowa wiara wyraża się trzema postawami wobec świata, którym odpowiadają trzy wykrzykniki: „o!" – czyli pełne zachwytu zamilknięcie przed tajemnicą, „aha!" – rozumowe spojrzenie na tajemnicę, i „cha cha!" – wyzwalający śmiech tych, których duch nie jest ociężały.

Jury Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera nagrodziło ks. Halíka za książkę „Czas pustych kościołów", opublikowaną w Polsce przez wydawnictwo WAM w tłumaczeniu Tomasza Maćkowiaka. W tym zbiorze homilii czeski duchowny i myśliciel pokazuje – czytamy w werdykcie – „że czas pandemii zmusza do ponownego odkrywania chrześcijaństwa. Przestrzega w niej przed nowym faryzeizmem, który zastępuje wiarę ideologią, świadectwo teorią, pomoc pouczaniem, a miłosierdzie systemem nakazów i zakazów. Nawołuje zaś do przekraczania religijnych podziałów oraz do »globalizacji współczucia«". ©

YOUTUBE.COM / COPERNICUS CENTER

Łukasz Lamża

Podglądanie pseudonauki

ŁUKASZ KWIATEK

Książka Łukasza Lamży o pseudonauce ukazała się tuż przed pandemią, w czasie której pseudonaukowe teorie zaczęły się mnożyć niemal jak wirus.

Największym bohaterem naukowym Łukasza Lamży jest Antoni van Leeuwenhoek. Ten żyjący na przełomie XVII i XVIII w. niderlandzki handlarz suknem wynalazł mikroskop – i jako pierwszy człowiek na świecie uzyskał wgląd w świat mikroorganizmów. Maleńkie życie, które zobaczył w kropli brudnej wody, w równym stopniu go zdumiało, jak zachwyciło. Na lekcjach biologii pogardliwie nazywaliśmy te żyjątka „pierwotniakami" (mało kto mógł usłyszeć o protistach), ale van Leeuwenhoek był od nas lepszym człowiekiem, bo dalekim od uprzedzeń. Wpatrywał się w ich świat chciwie, wymyślał eksperymenty, próbował swoich maleńkich towarzyszy zrozumieć i opisać ich nadspodziewanie złożone zachowania.

Książka Lamży „Światy równoległe", wyróżniona Nagrodą Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera w kategorii publicystyki lub eseistyki na tematy społeczne, nie traktuje o protistach – choć autorowi pewnie przemknęło przez myśl, że tytuł pasowałby i do tego tematu (mikroorganizmy, które Lamża kocha równie mocno jak Leeuwenhoek, pojawiają się sporadycznie w jego poprzednich książkach). Ale gdy czytałem „Światy równoległe", trudno było mi pozbyć się skojarzeń z tym przedziwnym życiem niewidocznym gołym okiem – i jego zapalonym badaczem.

W nagrodzonej książce Lamża zajął się pseudonauką. Dziś wiemy, że to społecznie doniosły temat, warto jednak zauważyć, że książka ukazała się tuż przed pandemią, w czasie której pseudonaukowe teorie zaczęły się mnożyć prawie tak skutecznie, jak koronawirus. Lamża zaczyna od ruchów antyszczepionkowych (mamy uwierzyć, że to przypadek?!), a potem przygląda się wyjątkowo egzotycznym wytworom ludzkiego umysłu. Pojawiają się w „Światach równoległych" m.in. metody powiększania biustu przez hipnozę, teorie płaskiej i młodej Ziemi, relacje z długich negocjacji z radiestetami, dyskusja o wpływie człowieka na zmiany klimatyczne czy wreszcie rozmaite próby uczynienia z wody... czegoś więcej – poprzez „strukturyzowanie jej atomów" czy wielokrotne rozcieńczanie w niej mikrodawek rozmaitych substancji (homeopatia). Jest nawet rozdział dla audiofilów – o wymrażaniu końcówek kabli zasilających do głośników, co według producentów ma

wpływać na jakość odtwarzanych dźwięków. Jak łatwo się domyślić, nie wpływa, ale przynajmniej można na tym zarobić.

Gdy słyszymy o tym wszystkim, mamy ochotę popukać się w czoło i zająć się poważnymi rzeczami, ale siłą książki nie jest to, że autor wyzłośliwia się na temat pseudonaukowych koncepcji. Przeciwnie – Lamża do wszystkich opisywanych zagadnień podchodzi z „metodologiczną życzliwością". Próbuje zrekonstruować poglądy ich zwolenników i zastanawia się bardzo dokładnie, dlaczego, zgodnie z najlepszym stanem dzisiejszej wiedzy, to nie może działać. W przypadku każdego z omawianych zagadnień wymaga to zresztą świetnego rozeznania w wielu dyscyplinach naukowych.

Przy okazji przemyca solidny wykład o tym, jak działa nauka. Na przykład pisząc o wspomnianych końcówkach kabli do głośników wyjaśnia, dlaczego złotym standardem w eksperymentach naukowych jest podwójna ślepa próba. Nie zawsze udaje mu się zachować całkowitą powagę i trudno się dziwić, skoro musiał się przebić choćby przez długie analizy poświęcone temu, czy Noe mógł zmieścić na Arce te wszystkie zwierzęta i co robił z ich odchodami. Niektóre wnioski mogą zaskakiwać: wyobraźcie sobie, że wedle dostępnych danych z tą hipnozą i biustem mogłoby być coś na rzeczy. Tyle że nie są to dane najwyższej jakości, więc nie należy się nimi ekscytować.

„Światy równoległe" to nie jest książka psychologiczna – nie mówi ona o umysłach osób, które wierzą w pseudonaukę, choć Lamża zgrabnie pokazuje, jakie cechy tych teorii decydują o ich atrakcyjności. On sam wgryza się w nie z nieudawanym zainteresowaniem. Wie oczywiście, że teorie pseudonaukowe są niebezpieczne dla społeczeństwa. Ale przecież to samo można powiedzieć o protistach – i nie znaczy to jeszcze, że podglądanie ich nie może być przyjemne. Zwłaszcza jeśli uda nam się pozbyć uprzedzeń. ©℗

ADOBE STOCK

Hospicjum Pani Kasi

KS. ADAM BONIECKI

To najstarsze hospicjum domowe w Warszawie. W 1987 r. jego inicjatorką była 80-letnia Katarzyna Dembińska.

Chirurg rozłożył ręce. Powiedział: już nic się nie da zrobić. I dodał z troską w głosie: oddajcie chorą do hospicjum, sami nie dacie rady. Odpowiedzieli: damy radę. Zadzwonili do działającego przy parafii św. Zygmunta na Żoliborzu hospicjum domowego. Powiedzieli, że diagnoza jest taka, jaka jest, a chorą dziś zabierają ze szpitala.

Rozmowa trwała kilka minut. Dyrektor hospicjum, ks. Władysław Duda, który przyjął zgłoszenie, powiedział, że jeśli trzeba, to zaraz przyśle regulowane elektrycznie szpitalne łóżko. I zaraz przysłał, tak że kiedy chora wróciła, łóżko już czekało w jej pokoju. Nazajutrz zjawiły się lekarka i pielęgniarka. Od tej pory chorej towarzyszyła ich spokojna, troskliwa obecność. To dzięki nim do końca byli z nią najbliżsi. W czasie, gdy lekarze udzielali porad przez telefon, a w szpitalach i hospicjach ludzie chorowali i umierali w samotności.

Bielańskie hospicjum jest najstarszym hospicjum domowym w Warszawie. Inicjatywa wyszła od Katarzyny Dembińskiej z domu Szeptyckiej (1905-1997), starszej pani, która widząc jak w Gdańsku palotyn ksiądz Eugeniusz Dutkiewicz, wzorując się na hospicjum Cicely Saunders w Anglii, zakłada hospicjum, postanowiła przenieść ten pomysł do Warszawy. ↦

TOMASZ GOŁĄB / FOTO GOŚĆ / FORUM

Ks. Władysław Duda, dyrektor Archidiecezjalnego Zespołu Domowej Opieki Paliatywnej, Warszawa, wrzesień 2021 r.

↦ 80-letnia wówczas Pani Kasia (tak była nazywana) zabrała się do tego w 1987 r. W połowie maja zwołała pierwsze spotkanie organizacyjne, na które zaprosiła swoich znajomych warszawskich lekarzy i ks. Dutkiewicza z Gdańska. Do września kompletowała zespół. Dowiedziała się, że w Zalesiu Górnym pracuje młody ksiądz Władysław Duda, który mógłby się nadać. Najpierw wysłała kogoś do Zalesia na zwiady, w czerwcu księdza zaprosiła do siebie i się dogadali.

Na wrześniowym zebraniu ks. Dudę przedstawiono jako kapelana hospicjum. Na tym zebraniu podzielono Warszawę na 10 zespołów pokrywających się z dzielnicami. Do każdej został przydzielony lekarz, jedna dyplomowana pielęgniarka i kilkoro wolontariuszy. Pierwsi podopieczni byli już w październiku. Pani Kasia informowała o hospicjum na spotkaniach Klubu Inteligencji Katolickiej, w którym żywo uczestniczyła. Ukazało się ogłoszenie w „Życiu Warszawy".

Informacje o hospicjum i o tym, że potrzebują wolontariuszy, wysłali do wszystkich warszawskich parafii. Z niewielkim skutkiem, bo parafie na ogół nie publikowały tego ogłoszenia. Co innego parafia pani Kasi – św. Zygmunta na warszawskich Bielanach. Proboszcz ks. Kazimierz Kalinowski, który już wcześniej powierzył jej zorganizowanie, a potem prowadzenie apteki z darów, ideę hospicjum zaakceptował. Parafialna apteka z darów stała się pierwszą siedzibą hospicjum. Od tego czasu upłynęły 34 lata, a pierwsze warszawskie hospicjum domowe nadal ma swoją siedzibę przy placu Konfederacji 55.

Ksiądz Władysław Duda jako kapelan przyjeżdżał raz w miesiącu. Odprawiał mszę św. dla pracujących w hospicjum („hospicjantów") i organizował dla nich spotkania. Na te spotkania zapraszał najlepszych znawców będącego w Polsce nowością ruchu hospicyjnego, np. dr. Jerzego Jarosza specjalizującego się w leczeniu bólu. W 1989 r. ks. Duda zamieszkał w parafii św. Zygmunta jako wikary zajmujący się hospicjum.

Przez pierwsze dwa lata hospicjum było zupełnie nieformalne. Wspomina ks. Władysław: „Wszystko się robiło zupełnie bez pieniędzy – pracowali tu tylko i wyłącznie wolontariusze. Wszystko było z darów. Przychodziły transporty z darami: bardzo dużo leków, pieluchomajtek itp. Te transporty, głównie z Francji, organizowała przez swoich znajomych pani Kasia Dembińska. Miała ich mnóstwo w całej Europie. Transporty przychodziły na jej nazwisko. Ona tym wszystkim kierowała. Miała fantastyczny talent organizacyjny, była zaangażowana w wiele różnych inicjatyw. Osoba niezwykła, niziutka, szczupła, ruchliwa jak wróbelek".

Często tiry rozładowywało się po nocach. Pani Kasia miała przyjaciół w Hucie Warszawa i Solidarność z Huty kierowała ludzi do rozładunku. Pomieszczenie, gdzie dziś jest hospicjum, było zawalone pakami.

Pani Kasi bardzo zależało, żeby to była grupa nieformalna. Co roku składała do kurii dwa sprawozdania, z apteki i z działalności hospicjum: ile osób pracuje, ilu podopiecznych itd. Kuria zresztą w sprawy hospicjum zbyt się nie angażowała, wiedząc, że akcja charytatywna zawsze pociąga za sobą jakieś koszty.

Tymczasem w Polsce zaczęły powstawać hospicja, wszędzie jako stowarzyszenia. Po konsultacjach ze znajomymi prawnikami zapadła decyzja, że trzeba hospicjum zarejestrować. Pani Kasia wymyśliła nazwę. Żarliwa katoliczka nie chciała, żeby organizacja miała charakter kościelny i zaproponowała nazwę stowarzyszenia: Warszawskie Hospicjum Społeczne.

W 1996 r. z Ministerstwa Zdrowia nadeszła wiadomość, że po raz pierwszy przyznano pulę pieniędzy na opiekę hospicyjną. Ktoś doradził, żeby w nazwie znalazło się słowo „paliatywny", bo „na paliatywny pieniądze z miejsca pójdą". Wtedy, w porozumieniu z kurią, ks. Władysław Duda zaczął organizować kościelne hospicjum. 2 października 1996 r. kardynał Glemp podpisał dekret powołujący do życia Archidiecezjalny Zespół Domowej Opieki Paliatywnej. Ten dzień – Święto Aniołów Stróżów – uważają za datę powstania hospicjum.

Kiedy zaczynali w 1996 r., były 4 lekarki, 4 pielęgniarki, księgowa, pół sekretariatu i dyrektor. Teraz jest 20 pielęgniarek i 11 lekarzy (za mało!), 3 rehabilitantów, 3 psychologów, pracownik socjalny, 3 osoby w sekretariacie. Wolontariuszy jest ok. 15. Średnia wieku jest dość wysoka, jednak są wśród nich także ludzie młodzi. Wolontariusze muszą pokonać lęk przed spotkaniem z osobami ciężko chorymi, z obawą „co ja mam powiedzieć?". A przecież nie chodzi o mówienie, tylko o wysłuchanie.

Tak piszą o sobie: „Archidiecezjalny Zespół Domowej Opieki Paliatywnej znajduje się w Warszawie na placu Konfederacji. Jest to instytucja, która została powołana w 1996 roku. Placówka sprawuje opiekę hospicyjną nad osobami, które umierają na choroby nowotworowe. To profesjonalna i komfortowa opieka lekarska, duchowa, pielęgniarska oraz socjalna, która sprawowana jest w domu chorego. Jest to nie tylko wsparcie dla chorego, ale również dla całej jego rodziny. Hospicjum opiekuje się dziennie ponad 130 pacjentami. To pełna pomoc zarówno lekarska, jak i pielęgniarska. Placówka zapewnia też pacjentom cały niezbędny sprzęt medyczny oraz aparaturę w ich domach. Wszystko po to, aby zapewnić chorym jak najlepsze warunki w ostatnich chwilach ich życia".

Hospicjum przyjmuje każdego, kto się zgłosi. Koszty opieki nad „nadliczbowymi" pacjentami, których nie refunduje NFZ, pokrywa z własnych funduszy. Może to robić dzięki licznym darczyńcom. Co miesiąc za tych, którzy wsparli to dzieło, odprawiana jest specjalna msza św.

©℗ KS. ADAM BONIECKI

Most nad brudną wodą

KS. JÓZEF TISCHNER

Żeby zbudować most, trzeba się przenieść wyobraźnią z jednego brzegu na drugi.

Gdy w górach lunął deszcz, przyszła wiosna i ciepłe słonko zaczęło topić śniegi, wzbierały wody Dunajca i wody Łopuszanki, a wsią szła powódź. I wtedy było się czemu przypatrzeć. Czystą, spokojną wodę ogarniała wściekłość. Rwała tamy, regulacje, zbierała po drodze drzewa, domy, nawet domową zwierzynę. Wszyscy w Łopusznej myśleli wtedy o moście: „Pudzie czy nie pudzie?". Na drodze, w bezpiecznej odległości od rzeki, stali chłopi, na głowach mieli złożone worki lub jakie takie peleryny, mierzyli wodę, czy jej przybywa, czy ubywa, patrzyli w most i zadawali sobie to samo pytanie: „Pudzie czy nie pudzie?". (...)

Muszę powiedzieć, że choć powódź była dla ludzi wielkim nieszczęściem, to jednak zdarzały się też momenty humorystyczne. Pamiętam, jak razu jednego pojawiła się obok chłopów starsza już babcia z wózkiem pełnym buraczanych liści. Patrzy na wodę, która podchodziła już pod same przęsła, patrzy na chłopów, przygląda się mostowi, który drgał, ale jeszcze się trzymał. Chciała przejechać na drugą stronę. Wreszcie pyta chłopów: „Rezykować?". Wtedy jeden z nich – świeć Panie nad jego duszą, bo nie tak dawno pomarł – zauważa słusznie: „E, babko, ta dużo nie stracicie, nowysyj rok, dwa...". Ale babce szkoda było tych lat – i została. Po chwili most poszedł.

Most łączy ludzi. I dlatego trzeba budować mosty między ludźmi, żeby się mogli spotykać. Dziś tych mostów bardzo nam potrzeba, bo ludzie są podzieleni. Trudno się ludziom porozumieć, trudno się spotkać. Czasem wydaje się, że jakbyś jakieś brudne wody między ludzi wpuścił, które ich straszą i dzielą, i nie pozwalają na porozumienie. Ludzie nie umieją budować mostów pomiędzy sobą. Pamiętacie, jak się dawno budowało most? Jedynym sprzętem do roboty była piła, siekiera, świder i dłuto. Nawet słupy pod most wbijało się ręcznie. (...) Aby zbudować most, trzeba było pomyślunku. Trzeba się było przenieść wyobraźnią z jednego brzegu na drugi. Nie wystarczyło mieć jeden przyczółek, trzeba było poznać drugi i przewidzieć, gdzie się ten most skończy.

I tak jest z ludźmi. Jak chcesz budować most ku drugiemu człowiekowi, musisz zrozumieć, jaki ten drugi jest i czego chce.

Fragment felietonu „Most", który znajdzie się w zbiorze tekstów ks. Tischnera pt. „Wolność człowieka gór". Książka opublikowana przez Znak będzie miała premierę 24 listopada br.

Zapraszamy do udziału w Gali wręczenia Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera
czwartek | 25 listopada | godz. 18.00 | Scena NCK Kraków, al. Jana Pawła II 232

Rozmowę z tegorocznymi laureatami poprowadzą: DOMINIKA KOZŁOWSKA i KS. ADAM BONIECKI
Prowadzenie wieczoru: JOLANTA KOGUT
Wstęp za zaproszeniami – liczba miejsc ograniczona, informacja i rezerwacja:
rezerwacja@nck.krakow.pl
więcej: **www.nagrodatischnera.pl**
transmisja live: **fb.com/JozefTischner/ fb.com/dni.tischnerowskie**

ORGANIZATORZY NAGRODY znak Fundacja Znak
FUNDATOR NAGRODY ERGO HESTIA
WSPÓŁORGANIZATOR GALI nowohuckie centrum kultury

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 47/2021
REDAKCJA: Wojciech Bonowicz | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
KOREKTA: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | SKŁAD: Andrzej Leśniak
Organizatorzy Nagrody: SIW ZNAK, Fundacja ZNAK, Fundator Nagrody: Grupa ERGO Hestia
Współorganizator Gali: Nowohuckie Centrum Kultury

IRLANDZKIE STULECIE

Sto lat temu, 6 grudnia 1921 r., podpisano traktat tworzący państwo irlandzkie. Dla Irlandczyków był to koniec jednego konfliktu – i równocześnie początek kolejnego.

PEADAR DE BURCA

Pragnienie wolności się dziedziczy, tego polskiemu czytelnikowi tłumaczyć nie trzeba. Przed stu laty Irlandczycy wywalczyli sobie wolność od Brytyjczyków, ale konflikt na mojej wyspie miał trwać jeszcze przez kolejnych 77 lat.

Peter Burke, mój dziadek, wstąpił do Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA) podczas naszej Wojny o Niepodległość (piszemy ją z dużych liter), tej z lat 1919-21. Uczynił tak po tym, jak opłacani przez brytyjską Koronę najemnicy – zwani Czarno-Brązowymi (*Black and Tans*), od koloru ich mundurów – spalili połowę Tuam, jego rodzinnego miasta.

Dziadek nie pogodził się z traktatem podpisanym z rządem brytyjskim 6 grudnia 1921 r., na mocy którego powstała wprawdzie wolna Irlandia (obejmująca 26 hrabstw w centralnej i południowej części naszej wyspy), lecz sześć północnych hrabstw nie weszło w jej skład – oddzielono je jako twór nazwany Irlandią Północną, który pozostał częścią Korony.

W irlandzkiej wojnie domowej, którą toczyli między sobą zwolennicy i przeciwnicy tego traktatu (1921-23), dziadek nie wziął udziału. Ale swoje obawy i niezadowolenie przekazał najstarszemu synowi, mojemu ojcu.

Dorastałem w domu, w którym poglądy były mocno irlandzko-republikańskie. Słuchałem opowieści o zaangażowaniu ojca w Border Campaign w latach 50. XX stulecia. Była to wojna partyzancka, która – jak wierzono – zakończy brytyjskie rządy w Irlandii Północnej i ostatecznie doprowadzi do zjednoczenia kraju. Od zawsze wiedziałem, że granica dzieląca naszą wyspę to złowrogie narzędzie, przy pomocy którego obce mocarstwo zamierzało podzielić Irlandczyków.

Ojciec nigdy jednak mnie nie nakłaniał, bym poszedł w jego ślady i chwycił za broń. Być może zrozumiał, podobnie jak nasz noblista William Butler Yeats w swoim wierszu „Wielkanoc 1916", że

Zbyt długotrwałe poświęcenie
Zamienić może serce w kamień.

Pragnienie wolności się dziedziczy i mój ojciec, jak zobaczymy niebawem, wiedział aż za dobrze, że może ono być również obciążeniem.

Czas okupacji

Brytyjska okupacja Irlandii zaczęła się w 1167 r., gdy normańscy rycerze z Anglii wylądowali na naszej wyspie. Poczynając od drugiej połowy XVI w., Korona przekazywała szkockim i brytyjskim protestantom ziemię odebraną Irlandczykom. To potomkowie tych kolonizatorów tworzą dziś znaczącą wspólnotę protestancką w Irlandii Północnej.

W wieku XVII zaczęła się seria krwawych wojen: katoliccy właściciele ziemscy stawiali opór, gdy odbierano im zie-

SEAN SEXTON / GETTY IMAGES

Członkowie brytyjskiej formacji pomocniczej zwanej Czarno-Brązowymi (w charakterystycznych beretach z pomponem) i brytyjscy żołnierze (w hełmach) na skrzyżowaniu Middle Abbey Street i O'Connell Street w Dublinie podczas wojny o niepodległość, 1921 r.

mię. Od Olivera Cromwella poczynając, a na Wilhelmie Orańskim kończąc, brytyjscy protestanci dławili go metodami, które nazywamy dziś ludobójstwem. Bogactwa naturalne eksploatowano, język praktycznie wyszedł z użycia. Podczas Wielkiego Głodu z lat 1845-52 Korona eksportowała żywność, a ludność Irlandii wymierała – zmniejszyła się z 8 mln do 6,5 mln (kolejny milion wyemigrował).

W latach poprzedzających I wojnę światową kwestia irlandzka stała się dla Londynu głównym problemem. Gdy sytuacja tego wymagała, brytyjskie partie polityczne stawiały ją na porządku dziennym, obiecując pewną formę samorządu. Później, gdy poparcie irlandzkie nie było już potrzebne, wycofywały się z obietnic. Tak było w 1914 r., gdy perspektywa tzw. *Home Rule*, autonomii, stała się znów przedmiotem negocjacji – pod warunkiem, że irlandzcy ochotnicy zasilą armię brytyjską.

Wątpiąc w szczerość obietnic brytyjskich, w Wielkanoc 1916 r. irlandzcy republikanie zorganizowali w Dublinie powstanie. Ogół Irlandczyków go nie poparł, a Brytyjczycy, dla których był to akt zdrady, zdławili je w ciągu tygodnia. Prócz Éamona de Valery, który miał obywatelstwo USA, wszyscy przywódcy zostali straceni. Ocalony de Valera kolejne dwa lata spędził w Stanach, starając się o poparcie dla idei niezależnej Irlandii.

Wojna o Niepodległość

Potem, już jako lider republikańskiej partii Sinn Féin, de Valera wygrał wybory powszechne w Irlandii, otrzymując mandat do utworzenia Republiki Irlandzkiej. 21 stycznia 1921 r. utworzył rząd i ogłosił niepodległość. Tego samego dnia w zasadzce IRA zginęło dwóch policjantów. Wojna zaczęła nabierać rozpędu. Wcześniej, poczynając od roku 1919, aktywność IRA koncentrowała się na pozyskiwaniu broni i uwalnianiu więźniów. W tym samym czasie stawiający pierwsze kroki parlament zajmował się budową struktur państwa. Słynny Michael Collins – wcześniej założyciel i dowódca IRA – zarządzał ministerstwem finansów z sypialni w swoim domu.

We wrześniu brytyjski rząd zdelegalizował irlandzki parlament i Sinn Féin. Konflikt się zaostrzał. IRA organizowała zasadzki na patrole armii brytyjskiej ↦

↦ i policji. Ponieważ policjanci byli Irlandczykami, większość odeszła ze służby, a ich miejsce zajęli *Black and Tans*. Otoczeni najgorszą sławą, rekrutowani byli często wśród zdemobilizowanych żołnierzy. Rabowali i zabijali według uznania. Taki los spotkał Pat i Harry Loughnane-'ów z mojego rodzinnego Galway: wleczono ich za ciężarówką i następnie zamordowano.

Represje i akcje odwetowe były na porządku dziennym. Rozpętał się konflikt na wyniszczenie.

Podpisałem na siebie wyrok

Michael Collins był szefem wywiadu IRA i mózgiem wojny o niepodległość. Prowadził ją z dyscypliną strategiczną, nieczęsto spotykaną wśród irlandzkich powstańców. Zebrał grupę zabójców znaną pod nazwą *The Squad* (Szwadron), której zadaniem było wykrywanie i zabijanie brytyjskich szpiegów i funkcjonariuszy wrogiego wywiadu.

Słusznie przypisuje się Collinsowi zasługę doprowadzenia Wielkiej Brytanii, wówczas supermocarstwa, do stołu negocjacyjnego. W odtajnionych niedawno dokumentach znaleźć można opinię Winstona Churchilla, brytyjskiego ministra wojny, który stwierdził, że „strategia siły poniosła klęskę". Dowódca sił brytyjskich gen. Macready poinformował swój rząd, że sytuacja w Irlandii jest poza kontrolą, a jedynym rozwiązaniem jest wprowadzenie stanu wojennego, z czym wiąże się zawieszenie „normalnego życia". Takiej opcji Londyn nie brał pod uwagę.

Collins miał większą zdolność przewidywania. Znał brytyjską granicę ustępstw – i równocześnie wiedział też, że wielu jego własnych bojowców z IRA nie zaakceptuje kompromisu. Po podpisaniu traktatu z 6 grudnia 1921 r. oświadczył: „Czy ktokolwiek będzie zadowolony z osiągniętego porozumienia? Znajdzie się ktoś taki? Mówię wam, dziś rano podpisałem na siebie wyrok śmierci...".

Którą bramą do piekła

Podczas londyńskich negocjacji, które poprzedziły podpisanie traktatu, ujawniły się polityczne mankamenty Collinsa. Był człowiekiem czynu i w tej dziedzinie niewielu mogło mu dorównać, ale brakowało mu politycznej przebiegłości. Collins powinien był przewidzieć matactwa premiera Davida Lloyda George'a, dwulicowego intryganta – to on wcześniej obiecał irlandzkim przywódcom autonomię, jeśli poprą brytyjski wysiłek wojenny, a później wyprowadził ich w pole. Powinien był wyczuć blef Lloyda George'a, gdy w jedenastej godzinie negocjacji zagroził on „natychmiastową i bezwzględną wojną", jeśli traktat nie zostanie bezzwłocznie podpisany.

Collins i jego delegaci zostali złamani. Pozwolili się wyprowadzić w pole. Zgodnie z postanowieniami traktatu Irlandia otrzymała status dominium, stała się Wolnym Państwem Irlandzkim, a jej stosunki z Wielką Brytanią miały być wzorowane na rozwiązaniach kanadyjskich. Kraj miał też zostać podzielony, a Irlandia Północna miała pozostać częścią Zjednoczonego Królestwa.

Bertie Ahern, premier Irlandii w latach 1997-2008 i patron negocjacji, które w 1998 r. doprowadziły do podpisania tzw. Porozumienia Wielkopiątkowego, kończącego czas walk, tak to podsumował: „Lloyd George zmanipulował delegację irlandzką, która uwierzyła, że niezależna komisja delimitująca granicę przekaże powstającemu właśnie Wolnemu Państwu znaczne obszary na Północy zamieszkałe przez katolików".

Nigdy to nie nastąpiło. W traktacie nie ma też wzmianki o plebiscycie, który mógłby oddać głos ludziom pragnącym być może opuścić Północ i dołączyć do Wolnego Państwa Irlandzkiego. Jednak największy sprzeciw wzbudziła przysięga wierności, którą irlandzcy parlamentarzyści obowiązani byli złożyć względem Korony.

Ale wśród wszystkich błędów, które popełnił Collins, największym było zapewne przystanie na żądanie de Valery, aby nie włączać go do grupy negocjatorów. Jako jedyny ocalały spośród przywódców Powstania Wielkanocnego, de Valera stał się punktem odniesienia i symbolem dla wszystkich irlandzkich republikanów. A jako przywódca Sinn Féin był faktycznym prezydentem nieistniejącej jeszcze republiki.

Jeszcze raz oddajmy głos Ahernowi: „Brytyjscy negocjatorzy stanowili zespół wysokiej klasy. Byli tam lord Birkenhead, Winston Churchill i Austen Chamberlain. Pozostawienie de Valery w domu nie było rzeczą rozsądną. (...) De Valera mógł przypuszczać, że w momencie kryzysu zostanie wezwany do Londynu, aby naciskać na dalsze ustępstwa. Była to strategia obarczona wysokim ryzykiem i właściwie skazana na niepowodzenie".

Jedno z pytań, które prześladują historyków irlandzkich, brzmi: dlaczego Collins dał się zapędzić w sytuację bez wyjścia, którą stworzył szantaż Lloyda George'a, grożącego wojną? Zapytałem o to wnuka de Valery, Éamona Ó Cuíva, parlamentarzystę i byłego ministra. Odparł: „Na to pytanie nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć. Faktem jest natomiast, że już wcześniej kierowano pod adresem de Valery groźby wojny. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że de Valera nie dałby się zastraszyć".

6 grudnia 1921 r. Collins i jego negocjatorzy podpisali więc traktat, który ustanawiał Wolne Państwo Irlandzkie jako dominium w obrębie „wspólnoty narodów znanej jako Imperium Brytyjskie", o statusie „takim samym jakie dominium Kanady". Traktat sankcjonował oddzielenie Irlandii Północnej i przysięgę na wierność królowi. W styczniu 1922 r. parlament irlandzki przyjął go niewielką większością głosów.

Gdyby de Valera towarzyszył Collinsowi w Londynie, różnice zdań być może nie urosłyby do rozmiaru przepaści. Teraz taka przepaść powstała – pomiędzy tymi, którzy opowiadali się za traktatem, a tymi, którzy go wręcz nienawidzili i – jak to wyraził P.J. Moloney, ówczesny parlamentarzysta – „zostali postawieni przed wyborem, czy do piekła wejdą bramą z prawej, czy z lewej strony".

Co wolno większości

Głównym przedmiotem kontrowersji stał się status Irlandii jako dominium (zamiast całkowicie niepodległej republiki), a także obowiązek składania przez parlamentarzystów przysięgi wierności Koronie. Dla prawdziwego republikanina, który walczył z *Black and Tans* i widział, jak z zimną krwią strzelają oni do jego rodziców, było to trudne do zniesienia. 70 proc. żołnierzy IRA odrzuciło traktat. Podział Irlandii miał też znaczenie, jednak w owym czasie był sprawą drugoplanową.

Atmosferę ilustruje objętość stenogramów z obrad parlamentu: na 338 stron tylko 9 odnosi się do podziału kraju. Jakkolwiek może się to wydać z dzisiejszej perspektywy nieprawdopodobne, większość polityków irlandzkich była przekonana, że z biegiem czasu hrabstwa na północy zostaną zwrócone.

TOPICAL PRESS AGENCY / GETTY IMAGES

Bojownicy Irlandzkiej Armii Republikańskiej, 1922 r.

W marcu 1922 r. również brytyjska Izba Gmin ratyfikowała traktat.

Tymczasem de Valera odrzucił go jako zdradę. Collins natomiast oświadczył, że nie dał on „pełnej wolności, do jakiej dążą, i którą budują wszystkie narody, ale otworzył przestrzeń wolności dla tego dążenia".

Przed wyborami w 1922 r. Sinn Féin podzieliła się: na Sinn Féin protraktatową i Sinn Féin antytraktatową. Collins i de Valera wynegocjowali umowę wyborczą: porozumieli się co do konstytucji, którą także wielu przeciwników traktatu skłonnych było zaakceptować. W tym momencie wkroczył rząd brytyjski, ostrzegając Collinsa, że będzie to naruszeniem traktatu, i grożąc interwencją wojskową. Collins cofnął się i oba odłamy Sinn Féin poszły do wyborów w atmosferze wrogości.

Protraktatowa Sinn Féin Collinsa otrzymała dokładnie 239 139 głosów, a antytraktatowa de Valery 133 864 głosy.

Bez względu na te wyniki, zarówno de Valera, jak też jego zwolennicy oraz większość IRA trwali w opozycji do traktatu. Często cytuje się jego zdanie: „większość nie ma prawa popełniać błędów".

Wojna – już – domowa

Niebawem bojownicy antytraktatowej IRA zajęli budynki rządowe w Dublinie, co doprowadziło do impasu. Przeciwnicy traktatu dążyli do wywołania zbrojnej konfrontacji z Wielką Brytanią, mając nadzieję, że w obliczu wspólnego wroga siły pro- i antytraktatowe zjednoczą się. Collins wstrzymywał się z interwencją przeciw antytraktatowcom, aż otrzymał ultimatum od Churchilla, który zagroził zbombardowaniem Dublina. Wtedy Collins ugiął się i nakazał zaatakowanie sił antytraktatowej IRA. Zaczęła się wojna domowa.

Strona antytraktatowa ją przegrała. De Valera nie wziął w niej udziału (aresztowany, po roku został uwolniony). W 1927 r. jego nowa partia Fianna Fáil uzyskała 44 miejsca w parlamencie, po czym jej posłowie złożyli przysięgę na wierność Koronie.

Pięć lat później de Valera wygrał wybory powszechne i został premierem. Zajmował to stanowisko do 1948 r., stając się najdłużej urzędującym premierem irlandzkim. Jego rządy naznaczone były izolacjonistycznym i zacofanym nacjonalizmem, wzmocnionym jeszcze przez opresyjną i sekciarską konstytucję, zaproponowaną przez niego w 1937 r. Ironią historii okazało się, że to on dowiódł, iż traktat z 1921 r. faktycznie otworzył Irlandczykom „przestrzeń wolności dla dążenia do wolności". Działając w ramach określonych przez traktat, de Valera stopniowo przekształcił Irlandię w prawdziwą republikę.

Pokolenia

Wszystko, przez co przeszła Irlandia w ciągu minionych stu lat, ma początek w tamtym traktacie. Nie tylko wojna domowa i śmierć Michaela Collinsa, zastrzelonego w zasadzce przez siły antytraktatowe trzy miesiące po wybuchu walk. Traktat rozpalił też niegasnący ogień nienawiści i nieufności, jakim aż do roku 1998 miała gorzeć Irlandia Północna. Zbudował też pozycję de Valery i jego nowej partii Fianna Fáil, która stała się dominującą siłą w życiu Zielonej Wyspy, długo wyróżniającej się wysokim bezrobociem i najwyższym w Europie wskaźnikiem zachorowań na gruźlicę.

Istniały ciągle jeszcze nisze, w których funkcjonowali przeciwnicy traktatu i jego skutków – wśród nich mój dziadek i ojciec, którzy sami zapętlili się w sytuacji bez wyjścia, dążąc do zjednoczenia kraju przy pomocy jedynej znanej sobie drogi, to jest przemocy. Partyzantka miejska, w której brał udział mój ojciec, była kontynuacją Wojny o Niepodległość i wojny domowej – i ostatecznie zaprowadziła go do więzienia. Moja matka, która jako sześcioletnia dziewczynka utraciła władzę w lewej nodze, wychowywała mnie samotnie.

Gdy ojciec został zwolniony, miałem 17 lat. Dane nam było spędzić razem kolejnych sześć lat, zanim zmarł na zawał w 1997 r. Poznałem go wystarczająco dobrze, aby zrozumieć, że jego marzeniem była Zjednoczona Irlandia. Nie było jego życzeniem, abym ja, jego syn, utracił moją wolność, dążąc do tego celu. Być może zrozumiał, że de Valera i jego naśladowcy – przeświadczeni, że tylko oni mogą być zbawcami narodu – nie zasługują, aby za nich umierać.

Moim natomiast zadaniem jest zachować pamięć o nim i o innych poległych. Niech spoczywają w pokoju.

© Przełożył ADAM LUTOGNIEWSKI

PEADAR DE BURCA *(ur. 1973) jest irlandzkim pisarzem i dramatopisarzem, od kilkunastu lat mieszka w Gliwicach. Felietonista katowickiego wydania „Gazety Wyborczej". Jego zbiór felietonów „Uporczywie pogodne myśli" wydała Fabryka Słów.*

UDOMOWIENI

AGNIESZKA PASIEKA, ANTROPOLOŻKA:

Nacjonalizmem przesiąknięte są nawet bardzo krytyczne wobec narodowców media. Relacja między „nacjonalizmem na sterydach" a „codziennym nacjonalizmem" jest dużo bliższa, niż nam się wydaje.

MACIEJ MÜLLER: Czoło Marszu Niepodległości z Robertem Bąkiewiczem jest wizytówką polskiego nacjonalizmu czy raczej osobliwym wykwitem jednej frakcji?

AGNIESZKA PASIEKA: Marsz był produktem działalności jednego ze skrzydeł ruchu nacjonalistycznego, z czasem zamienił się jednak w pojemne wydarzenie, zaspokajające potrzeby bardzo różnych grup. Można by wiele o nich mówić (włączając legendarne „rodziny z dziećmi"), ale najważniejsza wydaje mi się obecność z jednej strony tych, którym podoba się PiS-owskie wsparcie, z drugiej zaś antysystemowej frakcji, która traktuje PiS jak każdą inną partię polityczną.

Mój kolega Grzegorz Krzywiec, skądinąd badacz faszyzmu, po decyzji u nadaniu marszowi rangi państwowej napisał, że to jakby smok zjadł św. Jerzego. Zastanawiam się tylko, kto w relacji państwo–narodowcy jest smokiem, a kto św. Jerzym. I myślę, że nawet wśród samych narodowców nie ma co do tego zgody – jednych cieszy wsparcie rządu, a inni powiedzą, że rząd zabrał im ich marsz. „Lepiej umrzeć od marksistowskiej kuli niż od prawicowego poklepywania" – powiedział mi z uśmiechem podczas marszu w 2018 r. jeden z działaczy, cytując lidera hiszpańskiej Falangi Joségo Antonia Prima de Riverę.

Ale ten marsz nadaje ton medialnemu opisywaniu nacjonalizmu w Polsce.

Z powodu choroby dzieci nie mogłam w tym roku dotrzeć do Warszawy i po raz pierwszy od kilku lat tylko śledziłam „na żywo" relację medialną. Szokujące było dla mnie to, że w tym, co miało być zapisem faktów, nie mogłam np. znaleźć informacji o tym, czy na marszu dominują ludzie starsi czy młodsi. Zamiast tego były komentarze wyśmiewające „patriotyczny styl" albo ludzi modlących się po drodze. Równie zaskakujące było dla mnie zrównywanie całego tego środowiska z ONR-em, choć ruch narodowy to dziś całe spektrum organizacji i działaczy, niejednokrotnie dużo bardziej niż ONR obecnych w życiu politycznym Polski.

A co z promującym wydarzenie plakatem, stylizowanym na nazistowskie obwieszczenie?

To przykład jednego z ekstremów, ale też – jednego z wielu głosów w ruchu narodowym. Jako badaczka mniejszości, i po prostu jako człowiek, nie chcę umniejszać znaczenia ksenofobicznych haseł czy przemocy. Ale od wielu lat mam wrażenie, że „problem z marszem" jest w dużej mierze estetyczny, o podłożu klasowym. Media razi „ludowość" marszu. Relacjonują ekstrema, prawie nie mówiąc o zwykłych uczestnikach. Dlaczego? Ponieważ marsz służy jako narzędzie ekspiacji reszty społeczeństwa: wszyscy ci, którzy w nim nie szli, są tolerancyjni, otwarci na różnorodność, egalitarni...

JULIAN SOJKA / FORUM

Ucieka się w ten sposób od przyznania, że ludzie idący w tym marszu są uczniami polskich szkół (i to wcale niekoniecznie tych z doby PiS-u), studentami polskich uczelni, wychowanymi w polskich rodzinach. Nie zrozumiemy zjawiska nacjonalizmu i jego atrakcyjności, jeśli nie uświadomimy sobie, że nacjonalizmem przesiąknięte jest nasze codzienne życie; w tym również tak bardzo krytyczna wobec narodowców prasa. Relacja między „nacjonalizmem na ste-

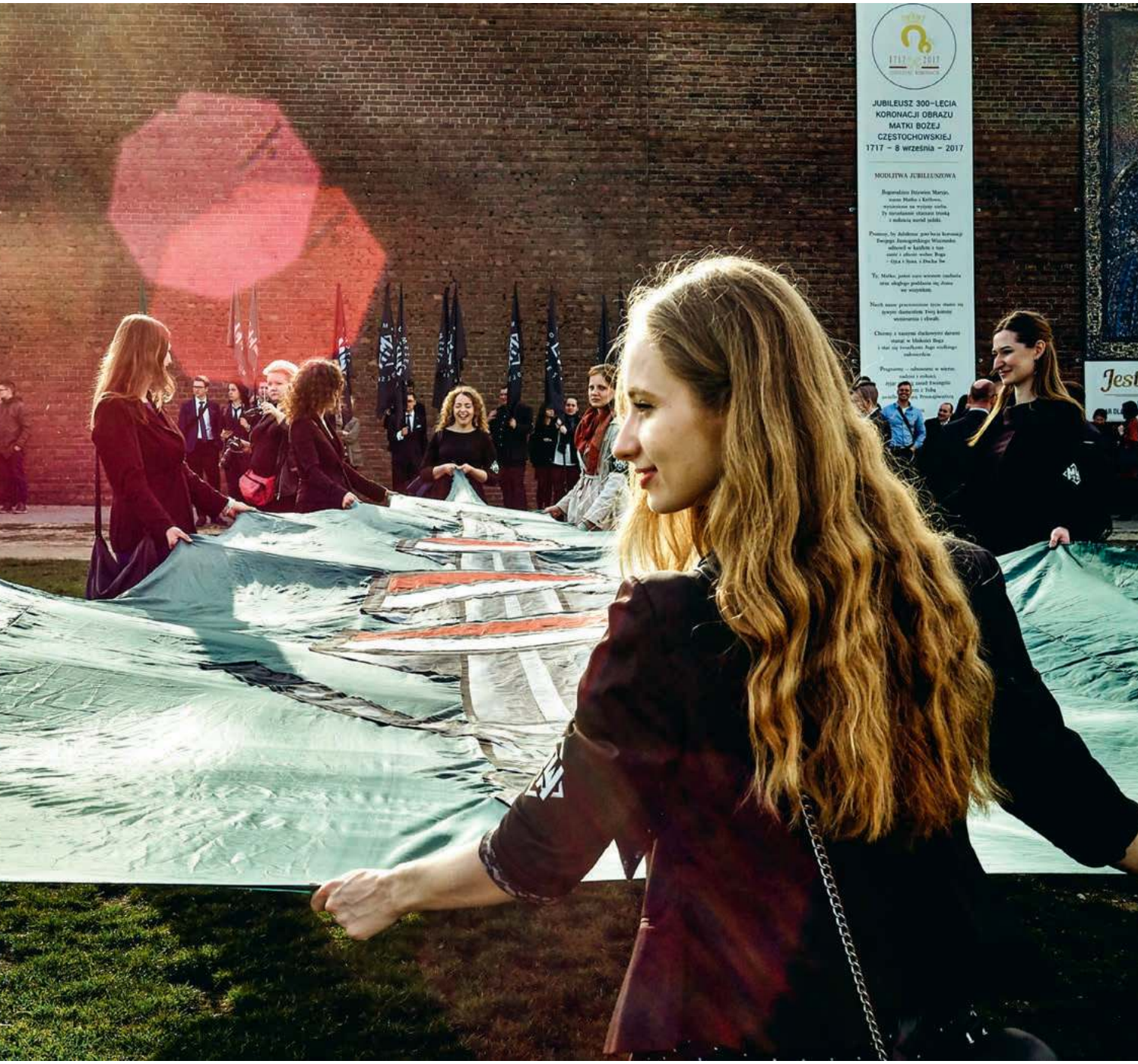

VI Pielgrzymka Środowiska Narodowego na Jasną Górę. Częstochowa, 30 marca 2019 r.

rydach", który reprezentuje marsz, a „codziennym nacjonalizmem" jest dużo bliższa, niż nam się wydaje.

Wcześniej marsz był promowany tylko przez grafikę na oficjalnym profilu facebookowym wydarzenia: dwie osoby, których twarzy nie widzimy, podają sobie ręce, na rękawach mają przepaski w kolorze polskiej flagi. I hasło „Niepodległość nie na sprzedaż".

To przykład narracji, która nie chce szokować. W poprzednich latach niektóre plakaty były pełne treści apokaliptycznych, np. na tym z 2017 r. był archanioł, ogień piekielny, niebo, krzyże... Ale na innych przedstawiano zwyczajnych ludzi. Na jednym z plakatów z 2020 r. jest studentka, dziewczyna w skórzanej kurtce, mężczyzna, który mógłby pracować w banku albo szkole. Do tego hasło: „Nasza cywilizacja, nasze zasady". Nacjonalizm przedstawiono jako zwyczajność, społeczny mainstream. A stawką jest przyszłość, dlatego umieszczono tu dziecko.

Wypisano też elementy tej cywilizacji: tradycja, szacunek, ojczyzna, moralność, wiara, życie, wolność...

Co istotne, podmiotem tych wartości jest społeczeństwo, a nie organizatorzy marszu. Treści nacjonalistyczne „udomowiono", zaprezentowano zwykłych ludzi, ↦

↦ którzy wyznają zdroworozsądkowe zasady. Słowem: zastanów się, widzu, czy nie jesteś czasem jednym z nas.

A nie chodzi tu o postawę: mamy swoje zasady i będziemy ich bronić?

Raczej: my mówimy, jak ma być. Jeśli chcesz tu mieszkać, przyjmij nasze zasady. We francuskim Zjednoczeniu Narodowym działają muzułmanie i jest to tylko pozornie paradoksalne. Bo narracja tej partii jest cywilizacyjna: przyjmujemy cię do wspólnoty, o ile zaakceptujesz pewne reguły.

Kilka lat temu jeden z działaczy ONR użył pojęcia „separatyzm rasowy". Wielu działaczy od razu zdystansowało się od niego i odcięło się od rasizmu. Kilka miesięcy później, podczas moich badań etnograficznych, uczestniczyłam w spotkaniu tego ruchu: długo debatowano, jak rozumieć dzisiaj pojęcie narodu. Kiedy patrzymy z zewnątrz, może się wydawać, że środowiska nacjonalistyczne to niezmienne monolity, tymczasem one nieustannie się na nowo definiują. Wielu narodowców starszego pokolenia definiowało polskość na zasadzie „krew i ziemia". Dla młodszych jest już jasne, że nie trzeba urodzić się Polakiem, ale można się nim stać. Dlatego zawsze powtarzam, że nie ma dziś czegoś takiego jak „typowy działacz nacjonalistyczny"; współczesna polska scena nacjonalistyczna rozpięta jest między wizją znacjonalizowanego socjalizmu a neoliberalnym modelem gospodarki, między wizją organizacji jako wspólnoty a działalnością partyjną oraz pomiędzy różnymi wizjami polskości.

Tylko że Marsz Niepodległości z 2020 r. był promowany też innym plakatem: bardzo memogennym rysunkiem rycerza (husarza?) przekłuwającego średniowiecznym mieczem tęczową gwiazdę. Hasło „Nasza cywilizacja, nasze zasady" wybrzmiewało na nim zupełnie inaczej.

Nagromadzono tam symbole kojarzące się z tym wszystkim, co według twórców plakatu zagrażało narodowi kiedyś i zagraża dzisiaj: bolszewizmem, „ideologią gender." Wymowa tych dwóch plakatów jest tak odmienna, że chyba nie stały za nimi te same osoby. Być może obrazuje to jakiś spór wewnątrz środowiska związanego z Marszem Niepodległości; a może ich adresatami byli różni uczestnicy.

Zainteresowanie ruchem narodowym znacznie spadło, kiedy władzę przejął PiS. Nacjonalizm stracił smak owocu zakazanego. Jeden z działaczy ONR-u powiedział mi nawet: może trochę już mamy za wiele tych rond żołnierzy wyklętych.

We Francji nacjonalistą może być muzułmanin. Ale w Polsce wciąż funkcjonuje zbitka „Polak-katolik".

Dawniej statut ONR-u podkreślał, że członek organizacji musi być katolikiem, dzisiaj działacze podkreślają, że musi „szanować tradycję katolicką". To wyraźne przesunięcie w kierunku pojmowania religii jako dziedzictwa kulturowego, czegoś, co definiuje tożsamość (i co, nawiasem mówiąc, może w równym stopniu wykluczać). Nacjonalistą może być ateista czy wyznawca innej religii, byle szanował katolicyzm. Narodowcy bardzo cenią np. polskich Tatarów – to dla nich modelowa, zasymilowana mniejszość. Etnicznie są obcy, celebrują własną tradycję i wiarę, ale nie chcą autonomii, czują się Polakami. Oczywiście tych „innych" jest garstka, bo Polska jest krajem bardzo jednorodnym i etnicznie, i wyznaniowo. Niemniej widać, że polscy nacjonaliści „flirtują" z koncepcją obywatelskiego pojęcia narodu. To jedyna droga, by przyciągnąć ludzi, którzy nie są katolikami czy etnicznymi Polakami.

Od jakichś dwóch lat liderzy polskich środowisk mówią o konieczności zmiany narracji i metod działania. Zastanawiają się, czy formuła wielkich demonstracji jeszcze się sprawdza, czy masowe marsze to nie przeżytek, czy może lepiej zorganizować webinar albo konferencję.

Ze względu na pandemię?

Ona tylko przyspieszyła te procesy. Dla polskich nacjonalistów szokiem był Strajk Kobiet w październiku 2020 r. Uświadomili sobie, że młodzi ludzie są po drugiej stronie barykady. Wielu działaczy konstatowało: „przegraliśmy, nie potrafiliśmy dotrzeć do młodych ludzi". Wśród działaczek pojawiła się refleksja, że może zakaz aborcji nie jest wyjściem, że trzeba pójść w kierunku wsparcia kobiet w kryzysie, zapewnienia im pomocy psychologicznej.

Nacjonalizm może być obywatelski?

Podział na nacjonalizm etniczny, podkreślający wspólnotę pochodzenia, i nacjonalizm obywatelski, oparty na idei kontraktu społecznego, często sugeruje, że to ten drugi model jest racjonalny, liberalny, oparty na idei praw człowieka. Podział ten krytykowany jest jako jedna z wielu narracji przeciwstawiającej „zacofany Wschód" „nowoczesnemu Zachodowi". Sposób, w jaki ruchy nacjonalistyczne zaczynają wykorzystywać ideę nacjonalizmu obywatelskiego, pokazuje, jak bardzo plastyczna jest to koncepcja i że wcale nie musi być „liberalna".

Nacjonalizm obywatelski, który zaczynają promować ruchy nacjonalistyczne, obiecuje inkluzywność, ale na własnych zasadach. Zaakceptujemy Ukraińca, który się tu osiedlił, płaci podatki, ale pod warunkiem, że przyjmie „naszą cywilizację, nasze zasady". Kilka lat temu od polskich i włoskich działaczy słyszałam, że jeśli chcę zrozumieć, co się dzieje w europejskich ruchach nacjonalistycznych, muszę pojechać na Węgry. Pojechałam więc na organizowany przez nacjonalistów węgierski festiwal muzyki folkowej. Pamiętam, jak jeden z liderów ONR-u wskazał mi jako pewnego rodzaju ideał dwóch ludzi. Jeden muskularny i wytatuowany, wyglądający jak stereotypowy kibic piłki nożnej, obejmował chłopaka z dredami, któremu do kompletu brakowało tylko koszulki z Che Guevarą. Działacz ONR-u ocenił, że sukces narodowców węgierskich polega na tym, że udało im się zgromadzić wokół myśli narodowej bardzo różne grupy. I dodał, że kluczem do sukcesu nie jest liczba ludzi maszerujących 11 listopada, tylko przekonanie różnych środowisk, że nacjonaliści nie są ekstremistami i mają zdroworozsądkowe poglądy.

Zdroworozsądkowe?

Nasilenie postaw nacjonalistycznych w Polsce nastąpiło w okresie masowej migracji na Zachód. Tysiące ludzi uznało, że myjąc garnki w Londynie zarobią więcej niż w kraju, gdzie pracodawcy w do-

datku oferują tylko umowy śmieciowe. Rządząca wtedy Platforma Obywatelska przedstawiała młodemu pokoleniu emigrację jako szansę. Jeden z działaczy ONR-u powiedział mi wtedy: zamiast komunikatu „możesz wyjechać" wolałbym usłyszeć „możesz zostać". Narodowcy odwrócili narrację rządową: za przywilej uznali nie mobilność, tylko immobilność – możliwość znalezienia w kraju godnej pracy, swojego miejsca, choćby się mieszkało w małym miasteczku. Ponieważ taka postawa była wyśmiewana jako zaściankowa, antyeuropejska, wielu młodych zaczęło sympatyzować z organizacjami nacjonalistycznymi, bo tam czuli się zrozumiani i dowartościowani.

Jacy ludzie zostają działaczami narodowymi?

Wśród nacjonalistów są prawnicy, biotechnolodzy, kasjerki i ochroniarze, nie mówiąc o studentach – to oni wszędzie nadają ton. Wbrew pozorom trudno wskazać u nich jakiś wspólny czynnik biograficzny. Kiedy zaczynałam badania nad nacjonalistami włoskimi, spodziewałam się, że spotkam wśród nich np. ludzi, których dziadkowie działali w ruchu faszystowskim i od dzieciństwa opowiadano im, jak to było dobrze za Mussoliniego. Tymczasem są tam również dzieci hipisowskiego pokolenia '68. Wstąpienie do narodowców może więc wynikać zarówno z kontynuowania tradycji rodzinnej, jak i rebelii wobec niej. Tym, co stanowi pewien wspólny mianownik, jest potrzeba działania i wspólnoty.

A relacje z władzą?

W Polsce zainteresowanie ruchem narodowym znacznie spadło, kiedy władzę przejął PiS. Nacjonalizm stracił smak owocu zakazanego. Jeden z działaczy ONR-u powiedział mi nawet: może trochę już mamy za wiele tych rond żołnierzy wyklętych. Nie ma już potrzeby, by walczyć o przywracanie ich pamięci – trzeba znaleźć nową opowieść, nowe cele.

Dawniej „innym" był Żyd czy Niemiec. Dzisiaj to działacz LGBT albo muzułmanin?

Nie. Wrogiem numer jeden jest „człowiek Zachodu" – indywidualista, wyznawca liberalizmu, konsumeryzmu i kosmopolityzmu, „zniszczony przez to, że porzucił wspólnotę". Jeden z polskich działaczy powiedział mi: „Zorientowałem się, jak bardzo się myliliśmy. Naszym wrogiem nie są imigranci, my wręcz potrzebujemy ich więcej. Oni trzymają się wartości, wierzą w rodzinę, szanują religię". W ten sposób np. przywiązany do swojej tożsamości Syryjczyk staje się dla narodowców punktem odniesienia – obserwowanie imigrantów pozwala im wzmocnić własną tożsamość. We Włoszech i na Węgrzech często słyszałam opowieść: „dorastałem w dzielnicy, w której mieszkało wielu Marokańczyków/Romów. Dlaczego oni potrafią kultywować własną kulturę, a my nasze tradycje uważamy za niemodne?". Mimo że nacjonalistyczne grupy węgierskie widzą w Romach zagrożenie społeczne, to szanują ich za trzymanie się kulturowych korzeni.

Nie sądzę, żeby nacjonaliści mieli wkrótce nosić transparenty zapraszające do Polski imigrantów – niemniej podejście do nich się zmienia.

ADAM MUSIAŁ

DR AGNIESZKA PASIEKA jest antropolożką i socjolożką, pracownicą Uniwersytetu Wiedeńskiego, krakowianką. Od 2016 r. zajmuje się transnarodowym nacjonalizmem, prowadząc badania etnograficzne wśród działaczy ruchów nacjonalistycznych w kilku europejskich krajach. Autorka książki „Hierarchy and Pluralism. Living religious difference in Catholic Poland" (Palgrave Macmillan 2015), tłumaczonej właśnie na język polski.

Polscy narodowcy zapraszają na marsze członków włoskiego Forza Nuova, cieszą się z wyborczych zwycięstw niemieckiej AfD. Czy nacjonalizmy z różnych krajów nie powinny się raczej wzajemnie odpychać?

Dzisiaj podkreśla się, że to dzięki Facebookowi nacjonaliści z różnych krajów zaczęli się porozumiewać i współpracować. Ale już kiedy w 1934 r. polskiego ministra Bronisława Pierackiego zastrzelił ukraiński nacjonalista Hryhorij Maciejko, to następnie dzięki siatce współpracowników – nacjonalistów z Czech i Bośni – uciekł na Bałkany. Przed wojną nacjonaliści rumuńscy zapraszali nacjonalistów polskich na letnie obozy szkoleniowe, podobnie faszyści włoscy gościli chorwackich ustaszy.

Nacjonaliści różnych krajów widzą więc w sobie sprzymierzeńców. Wrogiem nie jest Niemiec czy Włoch, tylko zgniła, kosmopolityczna kultura Zachodu, którą trzeba naprawić. W jaki sposób? Odbudowując mocne społeczności narodowe, które mają ze sobą współpracować, ale w inny sposób niż dzisiaj w ramach Unii Europejskiej. Nie mówiłabym jednak o nastawieniu antyunijnym, raczej „alterunijnym". Nacjonaliści nie chcą zakwestionować Europy, tylko ułożyć ją na nowo.

Czyli współpraca, ale przy ściśle wyznaczonych granicach?

Odrębne „kultury" powinny takimi pozostać. Tymczasem kultura Zachodu chce im wszystko pomieszać: kobietę z mężczyzną, Polaka z Francuzem. Kiedy uczestniczyłam w zorganizowanym przez włoskich nacjonalistów Oktoberfest we Florencji (co swoją drogą stanowi ciekawy przykład tego, jak postrzega się inną kulturę i jej wpływ), jeden z działaczy spytał, czy byłam już w muzeum etnograficznym – bo bez tego nie pojmę, na czym polega nacjonalizm. Poszliśmy. Była tam ściana, na której wywieszono tradycyjne eksponaty z wypraw etnograficznych: twarze afrykańskiego Pigmeja, mieszkańca Syberii, australijskiego Aborygena itd., a na końcu lustro. Wymowa była jasna – jesteśmy elementem różnorodnego świata. Mój rozmówca tłumaczył: „Różnorodność trzeba szanować. Nie możemy się mieszać. Zoologowie płaczą, gdy wymiera jakiś gatunek wilka, a nikt nie zwraca uwagi, że zanikają kultury". ↦

Granice to podstawa?

Tak, nacjonaliści są przywiązani do idei granic, bo one zapobiegają mieszaniu się „kultur". A międzynarodowe relacje i współpraca będą możliwe właśnie dlatego, że każdy naród będzie mocno tkwił we własnej tożsamości. Stąd właśnie radość nacjonalistów z sukcesów pobratymców w innych krajach. Oczywiście rzeczywistość komplikuje ten obraz, nacjonaliści na wielu poziomach się ze sobą nie zgadzają. Np. Włosi krytykują niemieckie AfD za zbytni liberalizm czy skupienie na obronie praw LGBT. Polacy nie mogą zrozumieć, jak Włosi mogą współpracować z grupami niemieckimi, które nie wyrzekły się dziedzictwa nazizmu. Węgrom nie podoba się, że Polacy współdziałają ze Słowakami, z którymi mają od dawna konflikt (na Słowacji mieszka duża mniejszość węgierska).

Nacjonalizm odpowiada dziś na potrzebę wspólnoty i solidarności społecznej lepiej niż jakakolwiek inna ideologia. Nacjonaliści twierdzą więc, że mówią w imieniu ofiar globalizacji, bo nikt inny tego nie robi; co więcej, robią to na poziomie globalnym właśnie, jako transnarodowi nacjonaliści. Podkreślają, że chcą silnego państwa socjalnego, inwestycji w usługi publiczne, komunikację, lokalne sklepy, a nie dyktatu Amazonu.

Brzmi dość lewicowo...

W liberalnym PO-PiS-owskim konsensusie nie było miejsca na takie tematy, jak prawa pracownicze, śmieciówki, kwestie mieszkaniowe czy siła globalnych korporacji. Na to pole weszła skrajna prawica i pełnymi garściami czerpie z socjalistycznej tradycji. Tak, gdyby nie nacjonalistyczna otoczka, to takie idee spokojnie mogłaby wesprzeć część lewicy. Jestem przekonana, że zaskakujące punkty styczne w programie radykalnej prawicy i radykalnej lewicy będą kształtowały politykę w następnych latach.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".**
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Nim oko zbieleje

MACIEJ TOPOLSKI

Gapić się znaczy pytać: dlaczego się ode mnie różnisz? Być obiektem gapienia znaczy pytać: co cię tak zaciekawiło? A przede wszystkim: co jest ze mną nie tak?

Słowo „barok" pochodzi z języka francuskiego, pierwotnie oznaczało perłę o nieregularnym kształcie. Mianem *barocco* Michel de Montaigne miał określać wszystko to, co budzi zdziwienie i wyróżnia się nadmiernym skomplikowaniem. Istnieją również teorie, jakoby „barok" pochodził z łaciny, od pięknego *verruca*, czyli brodawki na ludzkim ciele. Czy jednak barok ma coś wspólnego z gapieniem się?

Odpowiedź jest prosta: gapimy się na wszystko to, co budzi nasze zdziwienie, zaburza codzienny krajobraz, przyciąga wzrok. Jak nieregularna perła, jak mężczyzna bez jednej dłoni, jak blizna na gładkiej skórze, jak grudkowata narośl na karku, jak coś odbiegającego od „normalności". Gapienie się jest zatem barokowe. Zawsze nadmiarowe, zawsze szukające wyjaśnienia. Jest prawdziwą atrakcją wśród praktyk wzrokowych.

Wydane przez Teatr 21 w Warszawie tłumaczenie książki amerykańskiej akademiczki Rosemarie Garland-Thomson „Gapienie się, czyli o tym, jak patrzymy i jak pokazujemy siebie innym" rozgrywa dylemat gapia i gapionego już w samym tytule. Gapienie się – jak twierdzi autorka, czołowa badaczka w nurcie studiów o niepełnosprawnościach – stanowi wzajemną i twórczą relację, jaka zawiązuje się pomiędzy patrzącym i pokazującym się. Po prawdzie gap nie istnieje bez tego, który pozwala się gapić na siebie. Nie istnieje ciekawość bez tego, kto ciekawość wzbudza. A co ją wzbudza? To już kwestia do wyjaśnienia.

Drobinka piasku

W 2019 r. prowadziłem badania w Montrealu, mieszkałem wówczas na wielokulturowym osiedlu Notre-Dame-de-Grâce u rodziny żydowskiej z polskimi korzeniami. Podczas jednej z wielu kolacji szabatowych Steven opowiadał, jak całą rodziną pojechali do Polski, odwiedzić strony, z których się wywodzili. Pokazywał zdjęcia: kuzyni, chata, w której mieszkała jego prababka, na końcu autobus Jelcz-Berliet. „Tym jechaliśmy – wskazał z podziwem na pojazd – nie mieliśmy gdzie usiąść, tyle było ludzi. Całą drogę staliśmy i ściskaliśmy plecaki, ze strachu, bo wszyscy się na nas gapili. Jakby mieli nas wszystkich wzrokiem ograbić, a potem zabić – tutaj zamyślił się na chwilę, po czym dorzucił – dlaczego wy tak patrzycie na innych, od stóp do głów i na wylot?".

Zrozumiałem jego pytanie, pełne zdziwienia, dopiero nazajutrz, kiedy wsiadłem rano do wagonu montrealskiego metra. Pasażerowie, jak zauważyłem, nie patrzyli na siebie wzajemnie. Oczy w gazetach, telefonach, książkach. Oczy zamknięte, śpiące. Oczy niewidzące. Powtórzę: zauważyłem, że nikt na drugiego nie patrzy. A więc sam się gapiłem. Jak dziecko, które jednocześnie nie zna zasad, według których funkcjonuje rzeczywistość społeczna, i próbuje dowiedzieć się, dlaczego te zasady obowiązują, dlaczego nikt nie zwraca na siebie uwagi, nie rzuca wzajemnych ukradkowych spojrzeń, nie przygląda się wygodnym butom współpasażera, bransoletce na kostce.

Wróćmy na chwilę do perły. Uznaje się, że główną przyczyną powstawania pereł jest ciało obce, które dostaje się do wnętrza muszli – niech to będzie drobinka piasku – i wywołuje reakcję obronną. Wtedy mięczak, czyli na przykład małża, okłada to obce ciało kolejnymi warstwami masy perłowej. Perła jest zatem realnie wytworem reakcji obronnej przed obcością. Bardzo

Zdjęcia pochodzą z projektu „The Rolling Exhibition" Kevina Connolly'ego. Fotograf urodził się bez nóg. Jest autorem ponad 32 tysięcy zdjęć przedstawiających ludzi, którzy mu się przyglądali. Reprodukujemy je dzięki jego uprzejmości.

Po lewej: Paryż, 19 czerwca 2007 r. Po prawej: Kuala Lumpur, 15 czerwca 2007 r.

pięknym wytworem, trzeba przyznać. Czy nie podobnie jest z gapieniem się?

Nie gapimy się na osoby, które nie zwracają naszej uwagi, nie rozbijają codziennego krajobrazu, nie są obcym ciałem pośród oswojonych ciał. „Zjawisko gapienia się na siebie nawzajem – napisze Garland-Thomson – posiada swoją własną geografię. To, co przyciąga wzrok, wyróżnia się na tle całego ciała (które pod innymi względami wygląda zwyczajnie) i działa niczym niespodziewane zaproszenie do zwiedzenia owej egzotycznej wizualnej »atrakcji«". Gapić się, jak dodaje amerykańska badaczka, to pytać: dlaczego się ode mnie różnisz? Być obiektem gapienia znaczy pytać: co cię tak zaciekawiło? A przede wszystkim: co jest ze mną nie tak?

Steven na polskiej wsi, w zatłoczonym autobusie, był dosłownie obcym ciałem. Wyróżniającym się wyglądem, sposobem zachowania, nieznaną mową. Jednocześnie został wychowany w kulturze, w której w ciągu XIX w. doszło do ostatecznego przekształcenia społeczeństwa rolniczego (opartego na bezpośrednich, tworzących się w obrębie jednej zbiorowości relacjach) w społeczeństwo masowe (zindywidualizowane, zajęte pracą zarobkową, funkcjonujące głównie dzięki interakcjom obcych ludzi w przestrzeni publicznej). Reakcją na tę przemianę, która sprawiła dodatkowo, że Amerykanie, w tym i Kanadyjczycy, zaczęli być coraz częściej „w otoczeniu, które widzieli po raz pierwszy", było wytworzenie nowych rytuałów interakcyjnych. Jednym z takich rytuałów, który instruował mieszkańców Stanów Zjednoczonych, co począć ze swoimi oczami, polegał na kultywowaniu wizualnej anonimowości i zapewnianiu jej innym. Ervin Goffman określił taki rodzaj interakcji „uprzejmą nieuwagą".

W języku polskim istnieje wiele sposobów patrzenia. Można patrzeć krzywo, komuś na ręce, spod oka, wilkiem, z góry, jak cielę na malowane wrota, jak w obrazek. Każdy z tych związków frazeologicznych potwierdza oczywisty fakt: za pomocą wzroku przekazuje się zarazem emocje, jak i ustala relacje międzyludzkie, manifestując swoją wyższość, wrogość lub nieufność. Dwa ostatnie z wymienionych wyrażeń określają w sposób niezwykle dokładny spektrum znaczeniowe, w jakim mieści się gapienie. Patrzeć „jak cielę na malowane wrota" oznacza bezmyślnie i w sposób niekontrolowany, natomiast „jak w obrazek" – z podziwem, ufnie i bezkrytycznie. Innymi słowy, gapienie jest rozpięte między ogłupieniem i zachwytem. Niewiedzą i fascynacją.

W Polsce gapimy się często, prawdopodobnie dlatego, że nasz krajobraz nie uległ tak drastycznym zmianom jak w Stanach Zjednoczonych. Pod względem praktyk wzrokowych wciąż – nawet w dużych miastach – pozostajemy społeczeństwem rolniczym, które tworzy relacje w obrębie jednej społeczności. Nazywając rzecz po imieniu: społeczności polskiej, czyli białej, katolickiej, heteroseksualnej i pełnosprawnej. Wszelkie zmiany w tak ustalonym krajobrazie, zmiany dotyczące narodowości, religijności, koloru skóry czy orientacji seksualnej, przyciągają wzrok gapiów i każą zastanowić się, na ile jesteśmy otwarci na to, co obce. Czy potrafimy wytworzyć z niewiedzy i fascynacji, jak małża z drobinki piasku, nowy kształt społeczności. Czy raczej reagujemy agresją, wykluczeniem i nietolerancją.

Ciała poza porządkiem

Książka „Gapienie się" nie jest tylko napisaną niezwykle klarownym językiem publikacją naukową tworzącą rozległą teorię gapienia się – zbudowaną ↦

Po lewej: Paryż, 21 czerwca 2007 r. Po prawej: Tokio, 9 czerwca 2007 r.

↦ na podstawie licznych odwołań do tekstów socjologicznych, literackich i filozoficznych. Pozostaje przede wszystkim przewodnikiem po świecie ciał obcych, to znaczy ciał osób z niepełnosprawnościami, przyciągających barokowe spojrzenia, nadwyrężających wizualną normę, otwierających „spektakularny wachlarz ludzkiej różnorodności". Dlaczego to właśnie osoby z niepełnosprawnościami przyciągają spojrzenia?

Najlepiej wyjaśni to przykład. W Stanach Zjednoczonych między wojną secesyjną (1867) a I wojną światową (1914) wprowadzano i egzekwowano tak zwane prawa o brzydocie (*ugly laws*). W większości były one zapisami miejskimi, zakazującymi osobom, które – jak można przeczytać w „Chicago City Code" z 1881 r. – były „chore, okaleczone, kalekie lub w jakikolwiek inny sposób zdeformowane", pojawiać się w miejscach publicznych. Te przepisy wymierzono przede wszystkim w ludzi biednych, w kryzysie bezdomności, włóczęgów oraz tych z zauważalnymi niepełnosprawnościami. Prawa o brzydocie działały na zasadzie podwójnego wykluczenia – ze społeczeństwa i z człowieczeństwa. Po pierwsze przez uznanie ciał tych osób za „obiekt brzydki i obrzydliwy", zakłócający porządek społeczny w mieście, jak również zagrażający zdrowiu i dobrobytowi przyszłych pokoleń. Po drugie – nadawały tym osobom status podludzi czy nawet nieludzi.

Często w tym kontekście przytacza się przypadek kobiety zwanej Matką Hastings, której na początku XX w. reprezentant władz miasta Portland w stanie Oregon powiedział, że stanowi „widok zbyt przerażający dla dzieci", po czym wręczył jej pieniądze i nakazał opuścić miasto. Matka Hastings przeniosła się więc na zachodnie wybrzeże. „To z pewnością przez moje kalekie ręce" – przyznała dziennikarzowi „Los Angeles Times".

Definicja „człowieka" ustalana jest zresztą na podstawie konkretnego, znormalizowanego obrazu ciała, na który składa się określona liczba kończyn i palców, odpowiednia postawa i wzrost, symetryczna twarz czy ogólna sprawność. Wszelkie odstępstwa od tej normy – amputowana ręka, deformacja twarzy czy obecność wózka – stanowią zagrożenie, ale i atrakcję.

Na przykład karły, licznie obecne na dworach europejskich, w tym i polskich, uznawane były od XVI do XVIII w. za ludzką obrazę porównywalną ze zwierzętami lub ruchomymi przedmiotami, a jednocześnie uosabiały tzw. *curiositas*, czyli wyjątkowość, niezwykłość. Zresztą łacińskie słowo *curiositas* – od którego w języku polskim wzięło się „kuriozum", to jest osobliwość, dziwadło – oznacza tyle co pragnienie wiedzy, ciekawość lub dociekliwość (nierzadko myloną ze wścibstwem). Gapienie się nie jest niczym innym: łączy zdziwienie dotyczące „nieregularnego kształtu" ciała z pragnieniem wiedzy. Widok osobliwości z próbą wyjaśnienia. Jest wzrokowym wytłumaczeniem dla niewytłumaczalnego.

Rosemarie Garland-Thomson opisuje w kolejnych rozdziałach książki zatytułowanych „sceny patrzenia" części ciała

---

RDC **MACIEJ TOPOLSKI** **porozmawia z Grzegorzem Chlastą o tym, dlaczego lubimy się gapić. Słuchaj w środę 17 listopada o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl**

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

– twarz, dłonie czy piersi – jako te miejsca, które są kluczowe dla budowania interakcji społecznych. Twarz funkcjonuje jako „ważki tekst", dłonie to „narzędzia nad narzędziami", a piersi określają „kim tak naprawdę kobieta jest". Amerykańska badaczka nie poprzestaje jednak na zreferowaniu ogólnych, znormalizowanych znaczeń przypisywanych w kulturze zachodniej poszczególnym częściom ciała, przywołuje przypadki osób o ciałach niezwykłych, *extraordinary*. Słowo to oznacza z jednej strony zaprzeczenie „zwykłości" czy „pospolitości", z drugiej – wykroczenie poza porządek, wyjątek w ustalonym wizualnym ładzie, twórcze, domagające się nowych kategorii myślenia zakłócenie w krajobrazie społecznym.

Garland-Thomson z troską i zrozumieniem przedstawia postać jednoręcznego pianisty Paula Wittgensteina, ale i dzieci z Sierra Leone, którym odcięto maczetami dłonie – służyły one jako element widowiska, przede wszystkim jednak jako komunikat, że tamtejsi „rebelianci mogli w dowolnym momencie odebrać innym to, co uznawane było za symbol samowystarczalności". Przywołuje działalność komika Davida Roche'a, który na scenie wytworzył różnorodne sposoby „odgapiania się", czyli takiej sytuacji, w której osoba będąca obiektem gapienia przeistacza się w podmiot gapienia i aktywnie współtworzy interakcję, np. informując gapia o swojej przypadłości.

Autorka omawia również przypadek zrośniętych głowami bliźniąt Lori i George'a Schappell, które dostosowują się do siebie „w sposób, w który trudno byłoby wyobrazić sobie w jakimkolwiek związku syngieltonów" (termin „syngielton" oznacza osobę, która żyje dosłownie sama, przede wszystkim jednak zwraca uwagę na mniejszość, do której „należą osoby zrośnięte, nazywając wcześniej nienazwaną większość"). Przywołuje prace pozbawionego nóg Kevina Connolly'ego, który dokładnie w 15 krajach w 31 miastach wykonał 32 tysiące zdjęć osób rzucających spojrzenia na jego niezwykłe ciało poruszające się na deskorolce – to prawdopodobnie największy na świecie projekt fotograficzny ukazujący barokowe gapienie się.

Na stronie projektu „The Rolling Exhibition" Connolly napisał: „Wszyscy staramy się wyjaśnić rzeczy, które wprawiają nas w zakłopotanie. Potrzebujemy wiedzieć, jak działa magiczna sztuczka lub kończy się powieść, tak samo jak potrzebujemy wytłumaczyć sobie, dlaczego ktoś jest inny, dziwny lub zdeformowany". W Nowej Zelandii mały chłopiec zapytał fotografa, czy nogi odgryzł mu rekin. W Rumunii starsza kobieta zastanawiała się, czy przeżył wypadek samochodowy. W Stanach Zjednoczonych właściciel jednego z barów był ciekaw, czy służył w Iraku i czy wciąż nosi wojskowy nieśmiertelnik.

Być kruchym

W Muzeum Akropolu w Atenach znajduje się miejsce ciał niezwykłych. Tors bez głowy, rąk i nóg pręży się w promieniach słońca. Pozbawione rąk kariatydy dźwigają niewidzialny ciężar.

To miejsce przyciągające niegdyś wiernych, pełne posągów stanowiących wzory piękna, symetrii i gracji, pełniące funkcję siedziby bogów i bogiń, dzisiaj przyciąga tysiące turystów z całego świata patrzących na przedstawienia stanowiące świadectwo nie tyle upadku, ile kruchości. Pamiętam, że będąc w Muzeum Akropolu długo stałem przed umieszczoną na postumencie głową pozbawioną nosa, z ukruszoną dolną wargą, czarnym śladem jakby znaczącym dawne łzy. Gapiłem się na potłuczoną, zapłakaną twarz sprzed 2 tysięcy lat, gapiłem głupio i w zachwycie.

Gapienie się, jak zauważa Rosemarie Garland-Thomson, zwraca naszą uwagę na paradoksalne założenie demokracji mówiącej: „Jeżeli chcemy, aby nam wszystkim okazywano szacunek (...), musimy być w pełni sobą, a jednocześnie być tacy sami jak inni". Mówiąc nieco inaczej: chęć pozostania anonimowym – bycie podobnym do innych, niezauważalnym, zwyczajnym – stoi w sprzeczności z takim modelem obywatela, który wspiera przeświadczenie mówiące, że każda ludzka jednostka jest wartościowa w swojej wyjątkowości.

Zbiory Muzeum Akropolu w Atenach, czyli w mieście kształtowania się podstaw demokracji, stanowią dla mnie potwierdzenie mądrości, którą przekazuje książka amerykańskiej badaczki: być wyjątkowym, to uznać w sobie i innych zdolność do bycia kruchym. Z takiego myślenia i odczuwania bierze początek szacunek, którego się domagamy. Tak właśnie małża zaczyna tworzyć perłę.

© MACIEJ TOPOLSKI

Rosemarie Garland-Thomson, **GAPIENIE SIĘ, CZYLI O TYM, JAK PATRZYMY I JAK POKAZUJEMY SIEBIE INNYM**, *przekład Katarzyna Ojrzyńska, Wydawnictwo Fundacja Teatr 21.*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Lekcje czytania

Zapraszamy na warsztaty poświęcone powieści **LAURY FREUDENTHALER „Opowieść o duchach"** w przekładzie Elizy Borg. O prozie Freudenthaler opowie Barbara Klicka, a rozmowę z nią poprowadzi Grzegorz Jankowicz.

Warsztaty zaprezentowane zostaną online w środę 24 listopada o godz. 12.00 na profilu FB/LekcjeCzytania.

Współorganizatem wydarzenia jest Austriackie Forum Kultury w Warszawie.

MARCIN WICHA DLA „TP"

TYGODNIK POWSZECHNY · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · austriackie forum kultury waw · fanpay · /LekcjeCzytania

Pokot, pokuta i żal

KAJETAN PROCHYRA

Sygnalista wchodzi do lasu z drżącymi dłońmi. Gra JAGD – requiem dla dzikich zwierząt.

Barbara Kinga Majewska, śpiewaczka i kuratorka albumu „JAGD"

Sygnały łowieckie towarzyszą pokotowi, czyli wieńczącemu polowanie rozłożeniu ciał wszystkich zabitych zwierząt. Zwyczajowo nie układa się ich na gołej ziemi, a na dywanie z iglastych gałęzi. W ułożeniu ciał obowiązuje hierarchia. Każdy rząd to inny gatunek. Pierwszeństwo na pokocie należne jest największym i tym, których spotkanie stwarzało dla myśliwego największe niebezpieczeństwo. Dawniej były to niedźwiedzie, wilki i rysie – dziś to gatunki chronione. Pokot otwierają więc jelenie i daniele – tzw. sierść. Kolejny rząd to „chyb", czyli dziki; „kita", czyli lisy, jenoty, kuny i norki; „turzyca" – zające i króliki; wreszcie „pióro", czyli ptactwo łowne.

W ramach gatunku pierwszeństwo przysługuje samcom, a między nimi kolejność zależy od okazałości trofeum. Co dziesiąte zwierzę danego gatunku wysuwa się z szeregu o pół długości do przodu, by łatwiej było policzyć zdobycze.

Po ułożeniu ciał lub – jak mówi słownik łowiecki – tuszy myśliwi stają u czoła pokotu, czyli od strony rzędu stojącego najwyżej w hierarchii. Naganiacze ustawiają się naprzeciwko. Jeśli łowy były szczególnie uroczyste, należy rozpalić ogniska lub pochodnie. Przed naganiaczami stają sygnaliści. Po zdaniu raportu z polowania następuje otrąbienie pokotu: sygnaliści obwieszczają obecność danego zwierza na rozkładzie odpowiednim dla każdego gatunku sygnałem. Wszyscy uczestnicy łowów stoją w tym czasie z odkrytymi głowami. Ostatnie dwa sygnały to „Koniec polowania" i „Darz Bór".

Kolędy na czas pogardy

– Empatia w stosunku do zwierząt jest we mnie na tyle silna, że odruchowo wywołuje złość czy wręcz agresję wobec tych, którzy zabijają zwierzęta w ich habitacie, za pomocą narzędzi, które nie dają ofiarom żadnych szans i które od człowieka nie wymagają już, wydaje się, niemal żadnych umiejętności i wysiłku, a jedynie dużych nakładów finansowych: żeby mieć ten noktowizor, ten celownik, broń taką-śmaką-owaką: wszystko po to, by być na pozycji bezdyskusyjnie wygranej – mówi Barbara Kinga Majewska, śpiewaczka i kuratorka albumu „JAGD". – Jak widzę ambonę w lesie, to najchętniej bym wzięła piłkę i podcięła nóżki.

Barbara Kinga Majewska jest cenioną śpiewaczką i kuratorką muzyczną. W ramach prowadzonego przez Michała Mendyka wydawnictwa Bôłt Records prowadzi serię płytową TAL, skupioną wokół muzyki i czasu. Pierwszym albumem serii była wydana trzy lata temu – podczas pierwszej fali wielkiego kryzysu migracyjnego – płyta „Taratil 'id al-milad". Wspólnie z pianistą Marcinem Maseckim Ma-

jewska przygotowała interpretację „kolęd na czas pogardy": – Gdy u bram obwarowanej niczym twierdza Europy giną tysiące niechcianych przybyszów, szukających schronienia przed niechybną śmiercią, nie można śpiewać wesołej nowiny w taki sam sposób jak zawsze.

Triumfalne, durowe tonacje „Dzisiaj w Betlejem" i „Gdy śliczna panna" ustąpiły miejsca molowym medytacjom. Język polski zastąpiony został arabskim dialektem z okolic syryjskiego Aleppo.

Załagodzić tę śmierć

W „JAGD" także chodzi o bardzo konkretny moment w czasie: – To śmierć zwierzęcia i triumf łowcy. Właśnie ambiwalencja tego momentu i muzyki wydała mi się bardzo ciekawa – tłumaczy kuratorka..

– Stąd pojawił się pomysł, by sygnały łowieckie spróbować usłyszeć, odegrać, zagrać, przywłaszczyć sobie na nowo, ale rozumiejąc je z perspektywy zwierzęcia, które słyszy je jako ostatnie dźwięki pochodzące z obcego świat - dodaje.a.

Łowcą w projekcie „JAGD" jest Emil Miszk, trębacz związany z trójmiejską sceną jazzową i improwizowaną – w 2019 r. wyróżniony Fryderykiem za najlepszy debiut jazzowy.

– Kiedy poznałam Emila – wspomina Majewska – wydał mi się osobą tak wrażliwą, tak myślącą, tak skromną... Wiedziałam, że właśnie on będzie w stanie wykonać ten gest: ręce tak bardzo sprawne, które trzymają broń i które pociągają za spust, teraz trzymają trąbkę i muszą zrobić coś kompletnie odwrotnego. Emil dokładnie pojął, jak bardzo krucha jest jego pozycja w tej muzyce: z jednej strony centralna, a z drugiej właśnie on musi grać na tej trąbce rękoma, które, w przenośni, powinny drżeć. Po niemiecku mówi się „Buß und Reu" – jak w bachowskiej Pasji według św. Mateusza... Wydaje mi się, że to są bardzo odpowiednie słowa dla określenia tego, jakie uczucia chcieliśmy wywołać: pokuta i żal. Próbujemy tym projektem od-stać, załagodzić tę śmierć – co oczywiście jest niemożliwe, bo to tylko płochy gest grania requiem tą samą melodią, która nam służy jako źródło rozrywki i poczucia triumfu i radości.

Cietrzew, Królik, Lis i Łania

– Siłą tej muzyki jest cisza i czas: jej trwanie. To, że każda część, każdy utwór trwa te kilkanaście minut, wymuszając wielkie skupienie, tak u wykonawców, jak i u słuchacza – mówi Emil Miszk. – Nagrania odbyły się we wrześniu ubiegłego roku. Cała wcześniejsza praca, rozmowy i próby wydarzały się zdalnie, z uwagi na pandemię.

– Dla mnie praca nad „JAGD" zbiegła się z fascynacją muzyką Mortona Feldmana i innych twórców tzw. *minimal music*: operowanie ciszą i tym, co wnosi do utworu pauza. Z drugiej strony, to też powrót do korzeni: do podstaw gry na trąbce, przede wszystkim ćwiczonych przez lata nauki w szkole muzycznej artykulacji. Potem na długo i głęboko wszedłem w świat muzyki improwizowanej, jazzu, free, a gdzieś też zdarzała się muzyka historyczna... – dodaje trębacz. – Jest np. taka grupa wśród trębaczy historycznych: feld-trompeter, czyli trębacz polowy... Wszystko to pozwoliło mi na nowo wypowiedzieć się w moim muzycznym języku, raz jeszcze spojrzeć na klasykę i muzykę współczesną, ale mając w pamięci całą drogę, którą tymczasem przeszedłem.

Po zebraniu kilkudziesięciu sygnałów myśliwskich Miszk wybrał cztery: „Cietrzew", „Królik", „Lis" i „Łania". Następnie pracował nad nimi z czwórką wskazanych przez Majewską partnerów: improwizatorów i kompozytorów, odpowiednio z Hubertem Zemlerem, Miłoszem Pękalą, Kubą Sokołowskim i Jerzym Rogiewiczem. Wszyscy – wszak fortepian Sokołowskiego też zalicza się do tej grupy instrumentów – to perkusiści, jednak każdy z nich do namalowania lasu wybrał zupełnie inne farby.

Requiem dla Łani Rogiewicz gra na wielkim bębnie, na którym położył stos liści, gałęzi i szyszek. Miłosz Pękala stworzył stosunkowo zamkniętą formę na wibrafon i gongi. Zemler wykorzystał brzmienie zachodnioafrykańskiego balafonu.

Najbardziej może klasyczny jest „Lis" Kuby Sokołowskiego na trąbkę i fortepian, inspirowany po części muzyką Witolda Lutosławskiego. Całą płytę nazwać można concept-albumem, albo wręcz dźwiękową instalacją. Przede wszystkim jest to jedno z piękniejszych w swojej prostocie nagrań na trąbkę, jakie ostatnio ukazały się w Polsce.

Przewrotny patron

„JAGD" miał koncertową premierę w maju tego roku, podczas lubelskiego festiwalu Kody. Koncert, zgodnie z pandemicznymi obostrzeniami, dostępny był wyłącznie online. Teraz jednak muzyka ta ma swój czas. W ostatnich tygodniach koła łowieckie organizowały w całym kraju święto Hubertusa – Huberta z Liège, patrona myśliwych, leśników, strzelców, sportowców, kuśnierzy i jeźdźców. Patrona przewrotnego.

Hubert, potomek królewskiego rodu, od dziecka zapalony myśliwy, podczas jednego z polowań, w Wielki Piątek 695 roku, stanął naprzeciw białego jelenia, w którego bujnym porożu dostrzegł krzyż. Miał wtedy usłyszeć głos Boga, ostrzegający go przed jego niepohamowaną pasją i nakazujący mu udanie się na służbę do biskupa. Hubert rozpoczął studia teologiczne i działalność misjonarską. Po śmierci biskupa Lamberta, z rąk papieża Sergiusza otrzymał sakrę biskupią. Od spotkania z jeleniem nigdy więcej nie chwycił za broń.

– Nie jestem w stanie zrozumieć tłumaczenia, że polowanie jest regulowaniem zasobów naturalnych, że to ingerencja, która jest dobra, zdrowa i ważna. To zamknięty krąg: dokarmia się zwierzęta, niszczy się ich habitat, zaburza się całą tę równowagę po to tylko, żeby później wejść do lasu i powystrzelać te zwierzęta, które są jakoby nadliczbowe – mówiła „Tygodnikowi" w maju Barbara Majewska. – Zapominamy wtedy, że to my ingerujemy w las, my wchodzimy, my staramy się go kontrolować, myślimy, że wiemy lepiej, jak las powinien działać – pointowała kuratorka. Dziś te słowa brzmią jak wypowiedź na zupełnie inny temat.

Opowieść o lesie z płyty „JAGD", słuchowisko o walce i strachu, naturze i człowieku trafia do nas w chwili, gdy las i puszcza stały się miejscem walki o ludzkie życie, a doniesienia publikowane w mediach społecznościowych na profilach Fundacji Ocalenie brzmią właśnie jak zapiski świadków polowania: „Wielokrotnie przepychany przez druty na pograniczu. Pobity, rażony prądem", „Doszedł do nas i upadł", „Zatruła się brudną wodą wypitą w lesie. Brat prowadził ją za rękę, żeby nie przewróciła się przechodząc przez rów. Dałyśmy jej wszystko, czego potrzebowała, żeby wydobrzeć. Spieszyłyśmy się. (...) Zresztą chciałyśmy, żeby jak najszybciej mogła posilić się i odpocząć. »*I love you*« – powiedziała, zanim zniknęła z powrotem w ciemnościach". ©

AGATA GRZYBOWSKA

Biesiada z tyranią

ANITA PIOTROWSKA

W „DAU. Natasza" ujawniają się rozmaite wymiary władzy: systemu nad nic nieznaczącą jednostką, mężczyzny nad kobietą czy vice versa, młodości nad starością i na odwrót. A może i filmującego nad filmowanym?

Opis multimedialnego projektu Ilji Chrzanowskiego brzmi niczym sen szaleńca i od początku zarzucano mu totalitarne ciągoty. Bo jak inaczej nazwać pomysł, żeby na wiele miesięcy zamknąć kilkaset wyselekcjonowanych osób (profesjonalistów z różnych dziedzin, w tym naukowców i artystów oraz zwyczajnych ludzi) w wiernej symulacji radzieckiego instytutu naukowego, stworzonej w 2008 roku na terenie dawnego basenu w Charkowie?

Rzeczywistość nie była aż tak dramatyczna jak otaczająca ją legenda, choć jedno jest pewne: miał z tego powstać monumentalny film, a właściwie ryzykowny od początku eksperyment z pogranicza sztuki filmowej i behawioralnych obserwacji prowadzonych przez kamery współczesnego Wielkiego Brata. Ostatecznie na przestrzeni dziesięciu lat ukończono aż piętnaście fabuł i udostępniono je na platformie DAU – taki pseudonim nosił sowiecki fizyk i noblista Lew Landau, którego życie stało się inspiracją dla projektu Chrzanowskiego.

Tylko dwa tytuły, „DAU. Natasza" i „DAU. Degeneracja", zdążyły przed pierwszą pandemiczną falą pokazać się na festiwalu w Berlinie, zaś operator pierwszego z nich, Jürgen Jürges, wcześniej współpracownik Fassbindera, Wendersa czy Hanekego, otrzymał nawet Srebrnego Niedźwiedzia za wyjątkowy wkład artystyczny. Teraz „Natasza" wchodzi do polskich kin studyjnych i choć jest też dostępna na VoD, dopiero na dużym ekranie zobaczyć można mistrzostwo jej inscenizacji. I jednocześnie poczuć na własnej skórze, czym było filmowe uniwersum „DAU" w całej swej obsceniczności.

Przy tego rodzaju kontrowersyjnych przedsięwzięciach nie wiadomo, czy bardziej należałoby skupić się na perypetiach i emocjach bohaterów, czy raczej ich odtwórców. Ci ostatni nie tylko dali tym pierwszym swoje imiona, ale i zgodnie z reżyserską koncepcją stali się nimi na czas zdjęć albo i na dłużej. Dziś, kiedy w ocenie dzieła filmowego coraz bardziej bierze się pod uwagę okoliczności pozaekranowe i dobrostan ekipy, szczególnie obsady, trudno zanurzać się bezkrytycznie w subtelnościach świata przedstawionego i oddzielać je całkowicie od doświadczeń z filmowego planu. Szczególnie problematyczne staje się to w „Nataszy", gdzie rosyjski twórca wraz ze współreżyserką Jekateriną Oertel obserwują „na żywo" mechanizmy władzy, biorąc pod lupę najsłabsze ogniwo. A jest nim bufetowa pracująca w kantynie zamkniętego instytutu, wstrząsająco zagrana (?) przez amatorkę Natalię Bierieżną.

Mamy umowny rok 1952. Radzieccy naukowcy testują potajemnie nową broń i urządzenia wywiadowcze, podczas gdy w bufecie toczy się osobne życie, a dokładnie: wielkie żarcie i picie, bo gospodarka niedoboru omija to miejsce. Uwolniona, wszędobylska kamera podpatruje orgietki z udziałem aparatczyków i uczonych, lecz w centrum uwagi przez cały czas znajduje się ona – dojrzała, doświadczona, nieco wulgarna i nieco już melancholijna kobieta, która świetnie zadekowała się na gastronomicznym zapleczu systemu. Nie zdaje sobie jednak sprawy, że kiedyś te wszystkie homary, cytrusy czy serwowane w kryształach *szampanskoje* odbiją się jej czkawką. Kradzione wszak nie tuczy, w dodatku to skradzione podwójnie: raz, hurtowo, przez włodarzy i potem, w detalu, przez szarą beneficjentkę.

Przepyszne i zarazem grozą podszyte są filmowane w długich ujęciach sceny, kiedy nieświadoma niczego Natasza usługuje gościom, bawi się czy przekomarza ze swą młodą podwładną Olą – w tej roli rosyjska aktorka porno Olga Szkabarnia. W pewnym momencie kamera Jürgesa również idzie na całość. Kiedy pomiędzy główną bohaterką i francuskim naukowcem Lukiem (Luc Bigé) dochodzi do zbliżenia, oglądamy z bliska niesymulowany, mało fotogeniczny seks, prawdopodobnie podlany autentycznym alkoholem. Sam widz czuje się wówczas niczym Wielki Brat i ma prawo domniemywać, że nie będzie to jedyne w tym filmie przekroczenie.

Za chwilę bezbronne, nagie i dalekie od doskonałości ciało Nataszy stanie się przedmiotem zwielokrotnionej prze-

Kup komplet odświętny i zadbaj o dobry nastrój*

Napisz na **zamówienia@TygodnikPowszechny.pl** a my zajmiemy się resztą!

Tylko **35 zł za komplet** + przesyłka w prezencie

*oferta ważna do wyczerpania zestawów

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MATERIAŁY PRASOWE

Natalia Bierieżna, Luc Bigé i Olga Szkabarnia w filmie „DAU. Natasza" w reżyserii Ilji Chrzanowskiego i Jekateriny Oertel, 2020

mocy. Drugą, morderczą część filmu, czyli studium totalitarnego upodlenia, można by uznać za rzecz dla podglądaczy i masochistów, gdyby nie – znowu – szatańsko genialny efekt, jaki osiąga Chrzanowski w scenie przesłuchania bohaterki przez oficera bezpieki. Kulinarne i alkoholowe rekwizyty z pierwszej części spełniają tu nową, brutalną i zarazem ironiczną funkcję. Rzadko kiedy proces łamania charakteru można zobaczyć w sposób tak bezpośredni, naoczny i zarazem tak perwersyjny. Z jakąż nieludzką finezją stalinowski funkcjonariusz potrafi zredukować zastraszoną osobę do nagiego życia, sprowadzić do podstawowych funkcji i jednocześnie sprostytuować. Tylko co my właściwie oglądamy w tej scenie, zważywszy jej na pół improwizowany, na pół manipulowany charakter?

W „DAU. Natasza" ujawniają się rozmaite wymiary władzy: systemu nad nic nieznaczącą jednostką, mężczyzny nad kobietą czy *vice versa*, młodości nad starością i na odwrót. A może i filmującego nad filmowanym? Bowiem gdy patrzy się na nieszczęsną bufetową, wrobioną w grubą aferę, zanoszącą się szlochem w kolejnej odsłonie swojej bezsilności i pijaństwa, trudno nie zapytać o środki, jakimi został osiągnięty ten mocny ekranowy efekt. Aż chciałoby się zobaczyć *making of*, czyli dokument z filmowego planu, ponoć największego jak dotąd w Europie.

Już sama gigantomania projektu „DAU" – wielopaństwowej koprodukcji, owocującej siedmioma setkami godzin materiału zdjęciowego, obrosłej nie tylko w filmy, ale i w rozmaite kłącza pod postacią muzealnych instalacji – zapala lampkę podejrzliwości. Jeśli dodać do tego sposób traktowania przed obiektywem aktorskiego „mięsa", wątpliwości będą się mnożyć. Zakładając jednak, że wszyscy znaleźli się w zrekonstruowanym instytucie z własnej woli i że nikt szczególnie przez to nie ucierpiał, należy mimo wszystko docenić oryginalność tego pomysłu i jego bujne pokłosie.

„Pierwszy filmowy projekt na temat izolacji, zrealizowany w warunkach izolacji, dla ludzi w izolacji" – tak reżyser zachwala „DAU" na swojej stronie internetowej, wpisując się w pandemiczne okoliczności. „Natasza" na tym tle wydaje się czymś znacznie większym – wirtuozersko zaaranżowanym kinem intymnym i równocześnie politycznym. To ubrane w czysty, wykrochmalony fartuszek ostrzeżenie, że biesiadowanie z autorytarną władzą może dla biesiadnika skończyć się fatalnie. W wymiarze czysto filmowym dostarcza nam ciekawego przyczynku do dyskusji, gdzie kończą się granice kina, sztuki, badania socjologicznego, a zaczyna eksploatacja. Trudno tu o arbitralne stanowisko, bowiem odpowiedź na postawione wyżej kwestie w tym przypadku zależeć będzie od indywidualnej wrażliwości. ©

DAU. NATASZA – *reż. Ilja Chrzanowski, Jekaterina Oertel. Prod. Niemcy/Ukraina/ /Wielka Brytania/Rosja 2020. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 19 listopada.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Pięć smaków

Festiwal online, piecsmakow.pl, 17 – 29 XI

15. Azjatycki Festiwal Filmowy w tym roku odbywa się w wersji hybrydowej. Bogaty program obejmuje przede wszystkim najnowsze kino z Azji, a także retrospektywę Wonga Kar-waia z odrestaurowanych kopii, sekcję filmów sportowych, tajwańskie kino queer, twórczość festiwalowych ulubieńców czy zestaw poświęcony dzisiejszej Birmie.

2. Annette

Musical, reż. Leos Carax, Francja i inne 2021, VoD

Jedni widzą w tym pstrokatą wydmuszkę, inni wielopoziomową zabawę, jeszcze inni wytwór reżyserskiego ego. Ale są i tacy, którzy potrafią wzruszyć się losem śpiewaczki operowej (Marion Cotillard) czy jej dziecka-lalki, zmagających się z przemocowym mężem i ojcem (Adam Driver). Niezależnie od doznań i opinii, robi wrażenie wizualno-muzyczna oprawa filmu.

3. Wybór broni

Dokumentalny, reż. John Maggio, USA 2021, HBO GO, od 16 XI

„Zainspirowani przez Gordona Parksa" – brzmi podtytuł filmu, a mowa w nim o tych, którzy podążają śladem wybitnego amerykańskiego fotografika i aktywisty. Dokument pokazuje, jak nowe pokolenie artystów uprawia własną twórczość, pielęgnując społeczną odpowiedzialność i kierując swój obiektyw w stronę różnej maści wykluczonych.

4. Censor

Horror, reż. Prano Bailey-Bond, Wielka Brytania 2021, VoD

W tym filmie rządzi przemoc, polityka i kasety wideo, rzecz bowiem dzieje się w thatcherowskiej Wielkiej Brytanii, gdzie cenzuruje się krwawe sceny, by zapobiec demoralizacji. W nieco zgrzebnej formie walijska debiutantka i dziecko „ejtisów" opowiada o tym, jak nadgorliwa cenzorka przestała oddzielać życie od fikcji. A przy okazji o terapeutycznej funkcji kina grozy.

JAN

Klata:
Krew i ideologia

Widział Pan, jak pęka serce, panie Janie? Jak komuś pęka serce, tak naprawdę, dosłownie pęka? Idzie informacja z karetki, że może być problem, że sytuacja podbramkowa, no i rzeczywiście... To jest widok, którego nie można zapomnieć. Dużo czyszczenia, sala operacyjna kiepsko wygląda. Wie pan, panie Janie, ja od dwudziestu kilku lat z lekarzami ratuję ludzkie życie i zdrowie, cały czas gotowy, wiele rzeczy się nasłuchałem i naoglądałem, ale co ci rządzący teraz wygadują, to się w głowie nie mieści. A sam na nich głosowałem, na pana Dudę nieszczęsnego konkretnie, za pierwszym razem, miałem dosyć poprzednika, i generalnie tamci się zużyli, zgnuśniali. No i mnie Bozia pokarała.

Teraz niech pan sobie oddycha, spontanicznie, spokojnie, a ja włączę aparaturę, żebyśmy mieli ładny wykres jak serduszko puka. Tylko proszę nie kichać, bo nam linia skoczy. Na czym to ja stanąłem? A, że mnie Bozia tym Dudą doświadczyła, na własne moje życzenie. Jestem ze ściany wschodniej, my nie z Warszawy czy innego Krakowa, mamy inne spojrzenie, i ja się go nie wypieram tylko dlatego, że do wielkiego miasta przyjechałem. Ludziom lubię pomagać, zostałem ratownikiem, to moja pasja już długo, bo jestem w średnim wieku, chociaż nie wyglądam, zwłaszcza w maseczce, hi, hi.

O, po wykresie widzę, że pan mój burzliwy monolog całkiem spokojnie znosi, i bardzo dobrze. No, serce jak dzwon Zygmunt, panie Janie, widać, że pan w Krakowie pomieszkiwał, od razu człowiek lepszy, niż pesel by sugerował. Teraz proszę usiąść, pojedziemy na ostro z igłą, a ja będę kontynuował, co mi leży na wątrobie, OK? Dwadzieścia kilka lat z lekarzami ratuję ludzkie życie, jestem dumnym Polakiem, uważam się za patriotę... ale kiedy mój prezydent mi powiedział, że nie jestem człowiekiem, tylko ideologią, to wie pan... mnie serce pękło. Z siostrą telewizję oglądałem, mówię do niej: słyszałaś to? A ona płacze. Przepraszam, panie Janie, po co ja panu to wszystko opowiadam, teraz przecież granica na tapecie, ja w swoim temacie wyskakuję, tak mnie jakoś wzięło, bez powodu. Wyniki będą jutro. ©

Lektor:
Kuchnia czasów pandemii

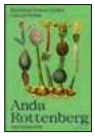

▪ *Anda Rottenberg i przyjaciele*
KUCHNIA TOWARZYSKA I UCZUCIOWA
Kolaże Alicja Biała.
Wydawnictwo a5, Kraków 2021, ss. 320.

Nie sądziłem, że zajmę się tu książkami kucharskimi, ale nie umiałem się powstrzymać. Oto bowiem znakomita znawczyni sztuki, krytyczka i kuratorka, ograniczona przez pandemię w swojej zwykłej aktywności, przyjrzała się rzeczywistości czasów zarazy i postanowiła ułożyć dla przyjaciół i bliskich tygodniowe menu – tanie, pożywne i zdrowe. Jak pisze, racjonalny i raczej tradycyjny jadłospis „oszczędnej i gospodarnej Polki”.

Kiedy ów jadłospis trafił do sieci, nastąpił efekt kuli śniegowej. Autorka zasypana została przepisami, korektami do przepisów oraz przepisami alternatywnymi. Były wśród nich receptury przekazywane z pokolenia na pokolenie i wynalazki całkiem współczesne. „Tanie i mniej tanie. Najczęściej oparte na warzywach i kaszach. Bezmięsne, lecz z rybami”. Potem niespodzianka – propozycję wydania złożyli, pewnie nieprzypadkowo podczas kolacji, Krystyna i Ryszard Kryniccy, czyli Wydawnictwo a5. „Pomyślałam, że żartują. Nie żartowali. I tak nasza chimeryczna, towarzyska kuchnia wylądowała wśród tomów wspaniałej poezji”. Przepisy, złączone żywą narracją, ułożone zostały wedle pór roku, a wewnątrz tego podziału rządzi zasadniczo albo budulec potrawy, albo jej rodzaj – więc na przykład warzywa, w tym nowalijki, kasze, ryby czy grzyby ze szczególnym uwzględnieniem kurek – albo zupy, sałatki, kiszonki, desery i wypieki. Stylistyka przepisów jest różnorodna, w końcu – jeśli dobrze policzyłem – książka ma sto troje autorów. Do tego fantastyczne ilustracje Alicji Białej, która – przypominam – zilustrowała wcześniej kolażami tyleż cudnie, co inteligentnie tom Marcina Świetlickiego „Polska. Wiązanka pieśni patriotycznych”. Wszystkich współtwórców tej bardzo praktycznej zabawy nie wyliczę – jest wśród nich wielu artystów i ludzi pióra, a i paru polityków. Zaś potrawom wyrafinowanym towarzyszą prawdziwe przeboje prostoty: kasza po wszechpolsku Andrzeja Stasiuka, „złota rybka” Leona Tarasewicza, zwłaszcza zaś groszek w majonezie Piotra Korduby, gdzie najważniejszym elementem staje się wytworna misa z dobrej porcelany...
To nie koniec z kuchnią: w kolejce czeka „Kalimera. Grecka kuchnia radości” reportażysty Dionisiosa Sturisa, również wegetariańska. A kiedy Paweł Bravo wreszcie zbierze swoje felietony kulinarne – też o nich napiszę, niech i mięsożercy mają coś dla siebie. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
O prostotę najtrudniej

Dwanaście euro – jeśli tyle macie w kieszeni, możecie zjeść jak król. No, nie taki w koronie i gronostajach, tylko jak król na miarę naszych czasów. Garnitury i szaliki prezydenta Francji są wprawdzie na pierwszy rzut oka skromne, mają jednak klasę właściwą urzędowi, którego monarszy status jest tylko z grubsza przypudrowany egalitarną retoryką. Tyleż ma ona wspólnego z rzeczywistością, ile lico rzeźbionej Marianny, stojącej w każdym merostwie, ma wspólnego z twarzami obywatelek mijanych dziś na ulicach. Braterstwo zaś tyle razy sobie wypisali na tabliczkach, że już go nie starcza do użycia w życiu codziennym.

Z trójcy cnót republikańskich została jedynie wolność – i dlatego gdy p.o. króla Emmanuel Macron w trakcie niedawnego szczytu G20 w Rzymie udał się z żoną do restauracji, mógł nie krępować się drukowanym jadłospisem i zażądał nieujętego w nim makaronu z sosem pomidorowym. To zresztą nie musiało być zaskoczenie ani problem dla kuchni – *pasta al pomodoro* jest domyślnie dostępna właściwie w każdym lokalu jako opcja ratunkowa zdolna spacyfikować najbardziej marudne dzieci w każdym wieku.

Pierwsza dama nie wyszła poza listę potraw z karty i wzięła najpierw karczochy i kwiaty cukinii w lekkiej panierce, a potem *cacio e pepe*. Decyzja roztropna, bo gdzież indziej warto testować ten rzymski klasyk? – zwłaszcza że restauracja należała do tych raczej zwyklejszych, z tradycjami, ale bez wydziwiania, więc jest szansa, że pracujący tam rzemieślnicy umieli ukręcić (bo dużo przy tym kręcenia łyżką) to arcydzieło prostoty. Macronowie zażyczyli sobie usiąść przy zwykłym stoliku, a nie w separatce, ale wcale nie jest łatwo udawać zwykłego człowieka. „Chcieliśmy, żeby było elegancko, więc podaliśmy im mniejsze porcje, chociaż pewnie mogliby zjeść także pełne" – wyznał gazetom szef sali. Zrobiło mi się żal, bo *cacio e pepe*, ten tercet kremowej skrobi, owczego umami i zwiewnej pieprzności dobrze brzmi zagrany *forte*, to znaczy musi mieć masę, parować z talerza i obficie napełniać ciało. Obfitość to jego niezbędny warunek – w każdym kręgu kulturowym są potrawy, które tracą sens zredukowane do estetycznie przybranego kleksa. Np. nasz bigos.

Pomniejszenie porcji to i tak nic wobec tego, co musiała ścierpieć kilka ulic dalej kanclerz Merkel, którą włoski premier zaprosił na kolację. Poszli na górny, zamknięty dla przypadkowych śmiertelników taras jednego z hoteli w pobliżu via Veneto, okolicy, której prestiż nie zmalał ani trochę od czasów, kiedy uganiał się po niej pewien fotoreporter o przezwisku Paparazzo. Premier Draghi wygląda na uczciwego i aż do bólu rzetelnego człowieka, który co prawda potrafi się uśmiechnąć, a nawet zażartować, ale na pewno nie poświęca czasu na zbędne przyjemności, a najsmakowitszą potrawą są dlań interesy podopinane w trakcie working lunchu. Mniejsza o to, co na talerzu. Zapewne więc zlecił swoim ludziom: „znajdźcie coś na poziomie".

No i znaleźli. Pretensjonalny do bólu lokal, gdzie oczywiście podają *cacio e pepe*, ale w wersji wyglądającej jak cienki zwarty rulon (wysoka zawartość kleistej skrobi na pewno ułatwia robienie takich rzeźb) posypany pączkami róży, a w trakcie podawania okadzony chmurą ciekłego azotu aromatyzowaną esencją różaną, żeby zamazać plebejskie pochodzenie dania. To musiał być groteskowy widok: dwoje bardzo rzeczowych ludzi, jak mało kto w europejskiej polityce unikających nonsensów, spowitych pachnącymi oparami, zawieszonych wysoko ponad miastem, które – dysfunkcyjne na wylot – stoi już tylko jako piękna teatralna dekoracja niemożliwa do normalnego zamieszkania.

Podobnie panoramiczny widok, tyle że na zdecydowanie brzydszy Berlin, miała kanclerz za plecami, udzielając w swoim gabinecie pożegnalnego wywiadu dla Deutsche Welle (jest w sieci, w wersji z angielskim tłumaczeniem). Łyse ściany, nieliczne mebelki z chromowanych rurek i szkła, jak skansen lat 90.: skoro jeszcze dobre, po co zmieniać? Byle podsekretarz stanu u nas ma lepsze, dizajnerskie biuro. Gdyby nie wielkie okna wychodzące na Reichstag, można by pomyśleć, że to poczekalnia u dentysty.

Parę mocno bolących zębów udało się pani Merkel zaleczyć, założyć skuteczne na jakiś czas opatrunki. Wyrywanie problemów to nie była jej specjalność (może poza decyzją o zamknięciu elektrowni atomowych). Cóż, że korzeń dalej gnije, ważne że chwilowo pacjenta nie boli. Być może w polityce nie ma lepszego kryterium dobrej roboty niż wieczorna nadzieja, iż jutro będzie przynajmniej nie gorzej niż dziś. ©℗

Przepis na kanoniczne cacio e pepe znajdziecie w naszym archiwum – tu przypomnę tylko, że sekret tkwi w technice przypominającej gotowanie risotta: na wpół ugotowane w garnku spaghetti przerzucamy na patelnię i „wykańczamy" je, dolewając po trochu wody, w której się gotowały, na koniec sypiemy dużo tartego pecorino i już poza ogniem energicznie mieszamy, aby powstał amalgamat skrobi z serem, o konsystencji kremu, a nie kleiku. Lud rzymski – o czym przekonywali się przez stulecia papieże – jest bezbożny i nie uznaje autorytetów poza własnymi na wpół pogańskimi przesądami, nie znosi więc zmian. Ale nasze miasta nie są wieczne, możemy więc tej samej techniki użyć z innymi składnikami. Np. dając parmezan lub inny podobny krowi ser, najlepiej średnio dojrzały, jeszcze nie bardzo słony, i posypując wędzoną papryką zamiast pieprzem – ja bardzo lubię kombinację słodyczy i dymu. Albo – ale to musicie sprawdzić na sobie, zanim podacie gościom – dając trochę czegoś ostrego, np. chili, ale także bottargi, czyli suszonej ikry tuńczyka.

ADOBE STOCK

HYDRAULIK NA MILISEKUNDY

W wielu grach występują niedające się ominąć dialogi. Gracze już dawno zorientowali się, że darem od niebios jest dla nich język japoński. A w „Zeldzie", po szczegółowym porównaniu ośmiu wersji językowych, okazało się, że najlepsze tempo ma lektorka niemiecka.

ŁUKASZ LAMŻA

Hydraulik Mario, główny bohater gry „Super Mario Bros.", musi uratować księżniczkę Peach, więzioną w Królestwie Grzybów przez złego Bowsera. Od księżniczki dzielą go 32 poziomy, a w nich wąskie platformy unoszące się nad bezdenną przepaścią, wysuwające się z rur drapieżne rośliny i żółwie miotające młotkami.

To naprawdę trudna gra. Większość sprawnych dorosłych będzie miało problem z ukończeniem pierwszego poziomu. „Super Mario Bros." powstało w latach 80., kiedy gry projektowano jeszcze z myślą o automatach na monety, a nie o komputerach domowych. Cóż zaś po graczu, który spędzi przy maszynie godzinę na jednej ćwierćdolarówce? Producenci szybko zorientowali się, że optymalny czas gry to około dwie minuty – wystarczająco długo, żeby poczuć przyjemność z rozgrywki, ale wystarczająco krótko, żeby automat wypełnił się monetami. Gry powstawały wtedy, by stanowić emocjonujące wyzwanie, a nie by zapewnić kilka godzin wieczornej rozrywki.

Prezentacja gry „Super Mario". San Francisco, wrzesień 2016 r.

Przypuśćmy jednak, że ktoś uparty postanawia przejść całe „Super Mario Bros.". Sprawne wykonanie tego zadania zajmuje zwykle ok. 30-40 minut. Aktualny rekord świata to zaś 4 minuty, 54 sekundy i 948 milisekund*. Jak to możliwe?

Tajne skróty i skakanie na rakiecie

Speedrunning różni się znacząco od typowych form e-sportu, czyli profesjonalnego grania w gry wideo. Zupełnie inna jest choćby skala finansowa: e-sportowcy potrafią być milionerami, podczas gdy speedrunnerzy tylko w nielicznych przypadkach utrzymują się ze swojego talentu. Inna jest też atmosfera. W e-sporcie najlepiej sprawdzają się gry konfrontacyjne: walka twarzą w twarz. *Speedrunning* to raczej niezależna rywalizacja o uzyskanie najlepszego wyniku. Nie jest niczym niezwykłym, że aktualny rekordzista pomaga pretendentowi, doradzając i kibicując w trakcie próby. Nowe odkrycia – o których poniżej – są ogłaszane na forum, a niemile widziane jest potajemne trenowanie technik, których nie pokazało się publicznie.

Zupełnie inny jest też profil gier i wiek graczy – dwie rzeczy bezpośrednio ze sobą związane. Choć na popularnej stronie speedrun.com znajdują się „tabele ligowe" dla tysięcy tytułów, prym wiodą „platformówki". Dużą publiczność przyciągają klasyki, jak „Super Mario Bros." z 1985 roku, „Super Metroid" (1994) czy „The Legend of Zelda" (1998). Speedrunnerzy mają 30-40 lat – czyli w świecie e-sportu byliby dziadkami (lub, rzadziej, babciami) – a wybór gier to ewidentnie kwestia sentymentu.

Jak ukończyć w„Mario" w 5 minut? Mogłoby się wydawać, że wystarczy biec przed siebie bez zatrzymywania się, zręcznie unikając przeszkód. Ta prosta metoda ma jednak ograniczoną skuteczność: w przypadku „Super Mario Bros." pozwala w najlepszym razie na skrócenie czasu gry do niecałych 20 minut. Speedrunnerzy stosują szereg metod nakierowanych na jeden tylko cel: zgolić z wyniku tyle minut, sekund i milisekund, ile tylko się da.

Pierwsza lekcja – *routing*, czyli trasowanie. Większości gier wcale nie trzeba przejść „od A do Z", a w świecie gry ukryte są rozmaite skróty. W „Super Mario Bros." są to tajne wejścia do rur, przenoszące gracza o kilka poziomów do przodu. Tylko całkiem „zielony" gracz ma więc przed sobą pełne 32 poziomy – strategiczne użycie skrótów ogranicza tę liczbę do 8. Po wielu miesiącach spędzonych przy „Super Mario" („no to do roboty!") udaje mi się ukończyć grę w około 10 minut. To już lepiej, ale wciąż dwukrotnie za wolno.

Wykorzystywanie skrótów przewidzianych przez twórców to jednak dopiero pierwszy krok w trasowaniu. Prawdziwy postęp uzyskuje się wtedy, gdy skrót wynajdzie się samemu. Ot, „strzelanka" „Halo 1" (2001). Na poziomie czwartym gracz ma do pokonania most nad przepaścią, jednak gracze odkryli już dawno, że możliwe jest zsunięcie się na dno po szeregu oblodzonych występów skalnych – twórcy gry potwierdzili później, że nie taka była ich intencja, a graficy rzeźbili wąwóz „na oko". Oglądam na YouTubie poradnik, na którym znany speedrunner Eli wyjaśnia tę procedurę krok po kroku – precyzja musi być absolutna, a nieostrożny krok kończy się śmiercią.

Inna sławna sztuczka dająca wielką przewagę to potrójny skok na granacie. W „strzelankach" często możliwe jest dokonywanie nadnaturalnie wysokich skoków, jeśli tuż po podskoczeniu rzuci się pod własne nogi granat lub wystrzeli rakietę (stąd *rocket jumping*). Czasem ponosi się przy tym obrażenia, jednak dopóki pozostaje choćby jeden punkt życia, gra toczy się dalej. Jeden z najlepszych speedrunnerów w „Halo 1", Kanadyjczyk Andrew Halabourda, w książce Davida Snydera „Speedrunning" opisuje „potrójny skok", wymagający błyskawicznego rzucenia pionowo w górę trzech granatów, każdego z nieco mniejszą siłą, tak aby wybuchły na ziemi w tym samym miejscu w tym samym czasie. Jeśli wykona się tę niebezpieczną sztuczkę w ściśle określonym miejscu, możliwe staje się wskoczenie na wysokie piętro pewnego budynku i ominięcie długaśnego biegu po korytarzach.

Niektóre metody naciągania praw fizyki trącą absurdem. Wiele gier pozwala choćby na skakanie na przedmiotach ruchomych. Czysto teoretycznie ma to sens. Jeśli na ziemi leży walizka, powinienem być w stanie wejść na nią i wybić się z jej powierzchni. Programiści nie zawsze wpisują w reguły gry ten „subtelny" fakt, że walizka w locie nie zapewnia już solidnego podparcia – silnik gry uparcie traktuje ją jako podłoże. W grze „Fallout 3", przykładowo, możliwe jest dzięki temu nieograniczenie wysokie podskakiwanie: podskok, upuszczenie przedmiotu pod siebie, błyskawiczne odbicie się od niego, równie szybkie podniesienie... i tak w kółko. W październiku 2010 r. gracz o pseudonimie Menbo093 zachwycił świat speedrunnerów gry „Super Mario Bros. 2" (1988), pokazując, że możliwe jest przyspieszenie pewnego etapu gry o 4 sekundy, jeśli wykona się precyzyjny manewr opierający się na odbiciu się od strategicznie wyrzuconego obiektu. Od tego czasu wszyscy speedrunnerzy stosują już ten skrót. Oto właśnie rytm postępów w speedrunningu: odkrycie nowej sztuczki skokowo obniża możliwy do uzyskania czas, po czym następuje pracowite obcinanie ułamków sekund przez kolejnych graczy (tzw. *grinding*, czyli polerowanie wyniku) – oczywiście do czasu, aż ktoś nie odkryje nowej sztuczki.

O jak precyzyjnej „polerce" mówimy? Przyjrzyjmy się może tabeli ligowej „Super Mario Bros.". Aktualny rekord uzyskał Niftski ze wspomnianym wyżej wynikiem 4:54,948. Drugie miejsce zajmuje Miniland z wynikiem 4:54,981 – a więc 33 milisekundy wolniej. Mistrzowie speedrunningu myślą o czasie w kategoriach klatek. Jeśli ekran odświeżany jest w tempie 60 klatek na sekundę – tak powinien być grany choćby „Super Mario Bros." – to wyniki mogą różnić się od siebie tylko o wielokrotności 1/60 sekundy. Miniland był więc wolniejszy od Niftskiego o dokładnie 2 klatki.

Wielu najlepszych graczy streamuje swoje wielogodzinne treningi, rozmawiając przy tym z fanami i przyjmując donacje. Dopiero oglądanie ich ćwiczeń uświadamia, jak precyzyjnym zajęciem jest speedrunning – to tysiące prób, często na pozór kompletnie od siebie nieodróżnialnych. Aby pobić rekord, należy perfekcyjnie wykonać dziesiątki manewrów, co niemal nigdy się nie udaje. Spore znaczenie ma silna psychika. Brad Myers („darbian"), który we wspomnianej książce Snydera wystąpił jako mistrz świata w „Super Mario Bros." (dziś zajmuje miejsce 23. – jest o całe 580 ms wolniejszy od Niftskiego), komentuje to tak: „Za każdym razem, kiedy zaczynasz speedrun, spodziewany wynik to porażka".

↦

BECK DIEFENBACH / REUTERS / FORUM

Scena z gry „The Legend of Zelda: Skyward Sword". Nintendo 2011

Wiele europejskich agencji uznało, że o ile rozjeżdżanie ludzi samochodem, strzelanie im w głowę i praca dla kartelu narkotykowego nie demoralizują dorastającej młodzieży, to bicie leżącego jest po prostu... fuj.

Znanym problemem wśród speedrunnerów jest gorsze wytrenowanie ostatnich poziomów w grze – zwłaszcza w przypadku tych tytułów, których ukończenie nawet mistrzom zajmuje więcej niż godzinę. Gdy w pierwszych minutach popełni się choćby trywialny błąd, jest od razu jasne, że niemożliwe będzie uzyskanie wyniku rekordowego. Kusi więc, by grę rozpocząć od początku. Zawodnik postępujący konsekwentnie w ten sposób miałby jednak tylko z rzadka okazję trenować końcówkę. Gracze ze światowej czołówki przyjmują błędy ze spokojem i grają do końca.

Gadaj po niemiecku, walcz po angielsku

Nagrania speedrunów wyglądają dla niewprawionego oka dziwnie i, trzeba powiedzieć, mało atrakcyjnie. Trzeba sporo otrzaskania, aby docenić to, co dzieje się na ekranie.

Prosty przykład to wybór wersji językowej. W wielu grach występują niedające się ominąć ani przyspieszyć dialogi. Gracze już dawno zorientowali się, że gdy rozmowa ma formę tekstową, to darem od niebios jest dla nich język japoński. Wypowiedź, która w wersji polskiej czy angielskiej zajmuje dwa „ekrany", w wersji japońskiej potrafi mieścić się na jednym. Większość graczy nie zna oczywiście japońskiego – wystarczy jednak wiedzieć, na którą linijkę tekstu kliknąć, aby rozmówca sprawnie wysłał nas ku dalszym przygodom. Język mówiony rządzi się zaś innymi prawami. Przykładowo, w „The Legend of Zelda: Breath of the Wild" po szczegółowym porównaniu ośmiu wersji językowych okazało się, że najlepsze tempo ma lektorka niemiecka – wszyscy speedrunnerzy grają więc w „Zeldę" w języku Goethego.

Gracze od lat zmagają się też z przepisami regulującymi pokazywanie nagości, przemocy albo narkotyków. Problem rośnie do niebagatelnych rozmiarów w przypadku gier z serii „Grand Theft Auto", określanych czasem jako „symulator przestępstwa" (to określenie samego producenta!). Z perspektywy speedrunningu szczególnie kłopotliwy jest pewien detal dotyczący walki. Otóż wiele europejskich agencji regulujących uznało, że o ile rozjeżdżanie ludzi samochodem, strzelanie im w głowę i praca dla kartelu narkotykowego nie demoralizują dorastającej młodzieży, to bicie leżącego jest po prostu... fuj. W rezultacie w wersji niemieckiej czy francuskiej „GTA III" nie da się uderzyć leżącego. Trzeba poczekać, aż wstanie – i dopiero wtedy można honorowo go zastrzelić. *Speedrunner* nie ma zaś przecież czasu patrzeć na gramolącego się nieszczęśnika! Szczęśliwie okazało się, że przełączenie wersji językowej w trakcie rozgrywki powoduje równocześnie odblokowanie „lokalnego" poziomu cenzury. Gracze mogą więc rozmawiać w jakimś „szybkim" języku, a walczyć po przełączeniu na wersję językową któregoś z krajów liberalniejszych, na przykład Wielkiej Brytanii.

Do rangi najwyższej potrafi urosnąć wybór sprzętu. Wspomniane wyżej 60 klatek na sekundę to ideał. W rzeczywistości nawet najszybszy komputer potrafi czasem nie nadążać, gdy każe mu się wyświetlić naprawdę złożoną scenę – takie opóźnienia to tzw. lagi. Aby zminimalizować lagi, gracze przechodzą długie segmenty gry ze „wzrokiem" wbitym w ziemię lub w niebo – przecież i tak znają teren na pamięć i mogliby grać z zawiązanymi oczami (co zresztą czasem robią przy okazji zbiórek na cele charytatywne). Allan Alvarez („cheese05"), jeden ze światowych liderów w speedrunningu „Super Mario 64", oszacowuje, że różnica potrafi być potężna. „Najgorsza jest zatoka Jolly Roger Bay. Kiedy oglądasz, jak ludzie przepływają JRB, kamera jest zawsze pod jakimś dziwnym kątem. Gdybyś tego nie robił, tracisz około 30 sekund z powodu lagów".

Wyższa teoria grzybków

Od dekad wraca pytanie, co by było, gdyby wszystkie manewry wykonać doskonale – czy istnieje czas „teoretycznie najlepszy"? Tak narodziło się „TASowanie", od angielskiego *Tool Assisted Speedrunning – speedrunning* wspomagany narzędziami. Gra przyjmuje komendy od gracza – na przykład wciśnięcie przycisku „w lewo" – raz na każdą klatkę. Czysto teoretycznie, można by więc „zaprogramować" grę idealną, rozpisując, klatka po klatce, precyzyjnie opracowaną sekwencję czynności. Można to porównać do „przepisu na muzykę" zaklętego w katarynce albo pianoli: speedrunner grający na żywo to pianista, a „tasowanie" jest jak projektowanie kart perforowanych dla pianoli.

Wrogiem „taserów" jest oczywiście przypadek. Jeżeli, przykładowo, położenie przeciwników losowane jest na początku danego poziomu, to kontroler odgrywający scenariusz „na ślepo" mógłby zachowywać się samobójczo. Tu pojawia się jednak ciekawe zjawisko – „sterowanie losowością". Twórcy starych gier komputerowych często stosowali rozma-

ite sztuczki upraszczające obliczenia, w tym generowanie liczb losowych. Prostą metodą jest potraktowanie ruchów gracza jako „ziarna" przy procesach mających wyglądać jak losowe. Każdy gracz – rozumowali programiści – wciska wszak przyciski w nieco innym momencie i nigdy nie będzie dwóch identycznych gier w „Mario".

Tego typu skrót programistyczny pozwala jednak na generowanie idealnych TASów – zjawiska na pozór losowe stają się przewidywalne, jeśli gra rozgrywana jest d o k ł a d n i e tak samo. Co niezwykłe, poziom powtarzalności graczy ludzkich bywa tak wysoki, że pozwala już na korzystanie z tego faktu.

Scena z gry „The Legend of Zelda: Breath of the Wild". Nintendo 2017

Opowiada Myers: „Klatka, na której skończysz poprzedni poziom, jest bardzo ważna, ponieważ wynika z niej, jak zachowają się przeciwnicy na następnym poziomie. Dotyczy to na przykład Hammer Bros na poziomie 8-3 [Hammer Bros to dwa żółwie rzucające w Mario młotami – Ł.L., hmmmm...]. Jeżeli widzę, że mój czas w momencie ukończenia poprzedniego poziomu jest co do ułamka sekundy taki sam jak mój rekord osobisty, to wiem, że Bracia będą zachowywać się dokładnie tak samo, jak podczas tamtej próby".

W pewnych prostych przypadkach „tasowanie" rzeczywiście pozwala na ustalenie „teoretycznego minimum". Jedną z takich historii była próba odtworzenia rekordu w grze „Dragster" (1980). W 1982 r. Amerykanin Todd Rogers przedstawił zdjęcie demonstrujące, że uzyskał w tej prostej grze wyścigowej wynik 5,51 s. 30 lat później, w 2012 r. Księga Rekordów Guinnessa odnotowywała jeszcze, że jest to najdłużej utrzymujący się rekord w świecie gier komputerowych. Gdy kolejnym zawodowcom nie udawało się uzyskać wyniku lepszego niż 5,57 s, w 2017 r. *speedrunner* i programista Eric Koziel postanowił rozebrać grę na czynniki pierwsze i opracować „TAS doskonały". Uzyskał wynik 5,57 s, a Rogers został oficjalnie pozbawiony rekordu. Dziś 21 osób uzyskało czas 5,57 s, a gra stała się praktycznie „martwa" dla speedrunnerów.

A wieczorami przechodzę przez ściany

W większości przypadków „gra idealna" to jednak mrzonka. Komputer nie jest w stanie sprawdzić w s z y s t k i c h możliwych sekwencji ruchów. A tym bardziej nie jest w stanie sam wpaść na decydujące narzędzie w rękach speedrunnerów – glitche.

Glitch to drobny błąd w grze. Programiści nigdy nie są w stanie przewidzieć wszystkich sposobów interakcji bohatera ze światem gry, gracze uwielbiają zaś majstrować przy grach, próbując je „zepsuć". Od serii „Super Mario" po współczesne wielomilionowe projekty jak „Cyberpunk 2077" (2020), glitche są utrapieniem graczy – i manną z nieba dla speedrunnerów. Za pożyteczny *glitch* można by uznać choćby wspomniane wyżej „skakanie na walizce". Największym zainteresowaniem cieszą się jednak jeszcze bardziej dramatyczne błędy.

Istnieje wiele technicznych powodów, dla których w niektórych grach możliwe jest przenikanie przez ściany. Zwykle mają one związek ze zbiegiem kilku rzadkich okoliczności, jak na przykład błąd w wykrywaniu kolizji wynikający z nietypowego sposobu przemieszczania się gracza – gra „myśli", że gracz znajduje się w nieco innym miejscu, niż jest w rzeczywistości na ekranie. Bywa, że do skorzystania z tego typu glitcha konieczne jest wykonanie pewnego manewru *pixel-perfect*, czyli co do piksela. Speedrunnerzy potrafią latami ćwiczyć kluczowe sekwencje ruchów, ale bywają manewry tak trudne, że udają się, przykładowo, raz na 10 prób. Wtedy zaczyna działać prawo mnożenia prawdopodobieństw – jeżeli do ukończenia gry w rekordowym czasie potrzebne są trzy tak trudne glitche, to szansa na rekord pojawia się mniej więcej raz na tysiąc rozgrywek.

Są gracze, którzy uważają, że korzystanie z glitchy to oszustwo. Specjalnie dla nich tworzona bywa osobna kategoria, zwana „*glitchless*". Inni uważają, że nawet „skróty" (*warps*) psują przyjemność z gry – stąd kategorie o nazwach „*warpless*" albo „100%" – w przypadku „Super Mario Bros." oznaczające konieczność przejścia wszystkich 32 poziomów (obecny rekord to 18:56,911). Najpopularniejsza jest jednak kategoria „any%" – gra jest zaliczona po przemierzeniu dowolnej części świata gry, a glitche są dozwolone. Przynajmniej w ogólności – niektóre są bowiem aż za dobre.

W platformówce o nazwie „VVVVVV" (2010) typowy czas mistrzowskiej gry w kategorii „*glitchless*" to ok. 15 minut, a z glitchami – 5 minut. W 2013 r., gdy w przejście gry włożono już tysiące osobogodzin, a społeczność świetnie się bawiła, polerując kolejne milisekundy, ktoś odkrył, że pewna bardzo nietypowa sekwencja czynności w pierwszych sekundach gry sprawia, że bohater gry przelatuje przez cały „świat" w tempie odrzutowca, lądując na końcowym ekranie gry w około pół minuty. Obecny rekord w kategorii „wszystkie chwyty dozwolone" to 38 sekund – jednak w kategorii tej panuje od lat cisza. Gdy już okazało się, że grę można w ten sposób „zepsuć", gracze wpisali w reguły wszystkich pozostałych (sześciu) kategorii zakaz stosowania tej jednej sztuczki – i bawili się dalej. Bo przecież to wszystko tylko śmiertelnie poważna zabawa.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

*** Tuż przed oddaniem tego artykułu do druku wspomniany w artykule gracz o pseudonimie Miniland pokonał rekord Niftskiego o 34 milisekundy, uzyskując czas 4:54,914.**

STANISŁAW

Mancewicz:
Nowa era

I oto znów za nami największy w Europie marsz mężczyzn. Poza wszystkimi jego detalami, o których można czytać od lewa do prawa, które to detale znamy od dawien dawna, pojawił się w jego trakcie wątek nowy i ciekawy.

Oto nie obyło się święto męskości bez masek, opasek i wszelkich przebieranek. Dostaliśmy jednak nieco więcej niż zwykle, p. Bąkiewicz, bodaj najbardziej energiczny z dotychczasowych premierów tutejszego rządu (chyba jest już premierem), wielki beneficjent naszych wspólnych pieniędzy i główny animator marszu mężczyzn, wyrzekł w porywającej mowie obawę, która oczywiście tli się słabiej lub mocniej w każdej męskiej, polskiej głowie. Powiedział on mianowicie, że Zachód chce nam, Polakom, odebrać tożsamość płciową.

Od wielu lat słuchamy mów polskich polityków i powiedzieć trzeba szczerze, że poza dawnym, bardzo osobliwym przemówieniem Jana Rokity w samolocie, o tym, że Niemcy spuścili mu lanie, niewiele z nich zapadło nam w pamięć. To ostatnie, z marszu mężczyzn, zapaść nam wszystkim powinno na długo. Zdaje się bowiem, że wielkimi krokami nadchodzi nowa era w polskiej polityce, która to, jak wiadomo od dość już dawna, ma poważne problemy z przystawalnością do jakkolwiek widzianej rzeczywistości w tutejszej galaktyce. Oto – stawiamy teraz na szali nasz wielki analityczny autorytet – wedle naszego rozeznania nadchodzi era walki o Polską Tożsamość Płciową.

Oczywiście, era ta się już rozpoczęła, ale jest jeszcze – rzec wypada – w fazie gry wstępnej. Jak będzie wyglądać w pełnym rozkwicie? Trudno mieć pewność wieszczby. Podobnież trudno wymienić, co będzie jej symbolem, co znajdzie się na sztandarach, czy to coś będzie w koronie, jak będzie brzmiało hasło główne, kto będzie autorytetem i przywódcą – wszystko jedno, kwestionowanym bądź niekwestionowanym – komu przypadną role zaszczytne, kto będzie posłem i jakie trzeba będzie mieć kompetencje, by zostać prezesem spółki Skarbu Państwa bądź – pardon – członkiem zarządu lub członkiem z ramienia. To tylko krótka lista przypadkowych pytań i niewiadomych ze sfery praktyki funkcjonowania, dajmy na to, partii rządzącej, której podstawową siłą ideologiczną będzie obrona Polskiej Tożsamości Płciowej.

Zapewne – także mniemamy w ciemno – era ta prędko nie przeminie, bo będzie w jej istocie za dużo znaków zapytania, zbyt prędko zmieniających się – jak to w Polsce – w wykrzykniki. Rzecz chyba oczywista, że jak wszystkie dotychczasowe ery, tak i ta będzie miała piękny potencjał korupcyjny i nepotyczny, i ogólnie zwyrodnieniowy. Należy uznać za pewne, iż powstaną stosowne przepisy obowiązujące służby cywilne, mundurowe oraz specjalne wskazówki dla naszych dyplomatów. Rzecz jasna, tutejsze uniwersytety zostaną zasypane groszem podatnika, by energiczniej, by z sercem większym niż dotychczas, badać Polską Tożsamość Płciową i oczywiście definiować zagrożenia nad nią wiszące. Zadaniem licznej profesury będzie gruntowne opisanie Polskiej Tożsamości Płciowej, głównie w oderwaniu od fizjologii, czyli na poziomie ideowo-teoretycznym. Kto będzie to robił nieudolnie i bez energii, będzie się musiał pożegnać z posadą, z punktozą i z grantami. Także ten, kto będzie podważał w mediach tradycyjnych bądź społecznościowych zasady, teorie i praktyki Polskiej Tożsamości Płciowej, zostanie wyrzucony z radia, z telewizji i na wszelki wypadek także z kina i teatru, co bowiem oczywiste, postawi się – tak to chyba ostatnio leciało – poza aksjologiczną wspólnotą Polaków. Wartości, trzeba pamiętać, są w Polsce najważniejsze, nawet jeżeli nie mają żadnej wartości.

Otóż ogłoszona w zeszłym tygodniu obrona Polskiej Tożsamości Płciowej będzie uprawiana najżarliwiej, bo jest zrozumiała dla każdego obywatela. Jest to hasło genialne, z nieobliczalną mocą medialną i polityczną. Polakom się ono należało. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

Premiera!

Już w sprzedaży

Więcej informacji na **powszech.net/dzisiajwbetlejem**
Szukaj w miejscach z dobrą prasą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY:

Kraków

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

PRZEKRÓJ

REKLAMA

Zapraszamy na spacer po Wrocławiu śladami Tadeusza Różewicza. Przybliżamy miejsca ważne w biografii i twórczości poety. Każdy punkt na mapie zawiera krótki opis, fotografie oraz fragmenty wierszy. Aplikacja poszerza wystawę „Pan Tadeusz Różewicz". Można z niej korzystać bez wychodzenia z domu, choć najlepiej wybrać się z nią na prawdziwy spacer.

Wrocław był ostatnim miastem, w którym mieszkał Tadeusz Różewicz. Trudno byłoby nazwać go jednak poetą wrocławskim – w przeciwieństwie do innych twórców nie uczestniczył zbyt chętnie w życiu literackim miasta, nie bywał często w miejscach publicznych, nie kreował tajemniczego wizerunku artysty. Inspirowało go to, co peryferyjne, raczej wyludnione parki niż tłumy. Niczym turysta we własnym mieście fotografował się na tle znanych z przewodników obiektów. Przyjaźnił się m.in. z Eugeniuszem Getem Stankiewiczem, z którym od lat 90. XX wieku realizował projekty artystyczne. Planował stworzenie wspólnej sztuki z Jerzym Grotowskim. Wystawiany był często przez Teatr Polski i Teatr Współczesny. Publikowany przez miesięcznik „Odra" oraz przez Biuro Literackie i Wydawnictwo Dolnośląskie. Jego pierwsze wrocławskie mieszkanie – od 1968 roku – mieściło się przy ul. Glinianej, to tam powstał wiersz „Decybele" ze słynnym fragmentem:

„pod oknem na trzepaku
małe dziewczynki w niebieskich
i czerwonych majtkach
wywijają kozły
piszczą"

Miasto, wraz z jego hałasem i chaosem, raczej mu przeszkadzało, niż go inspirowało. Chwilowo odetchnął, gdy w 1975 roku przeprowadził się na ul. Januszowicką, w pobliże ulubionego parku Południowego, w którym spotykał się z profesorem Januszem Deglerem, a wspólnie z Getem Stankiewiczem przygotował pomnik żabki. Od 2003 roku mieszkał w domu przy ul. Promień – w tamtejszym ogrodzie fotografowany był często przez Janusza Stankiewicza, brata Geta. Tadeusza Różewicza, zgodnie z jego ostatnią wolą, pochowano na cmentarzu przy świątyni Wang w Karpaczu – jego ostatnim mieście.

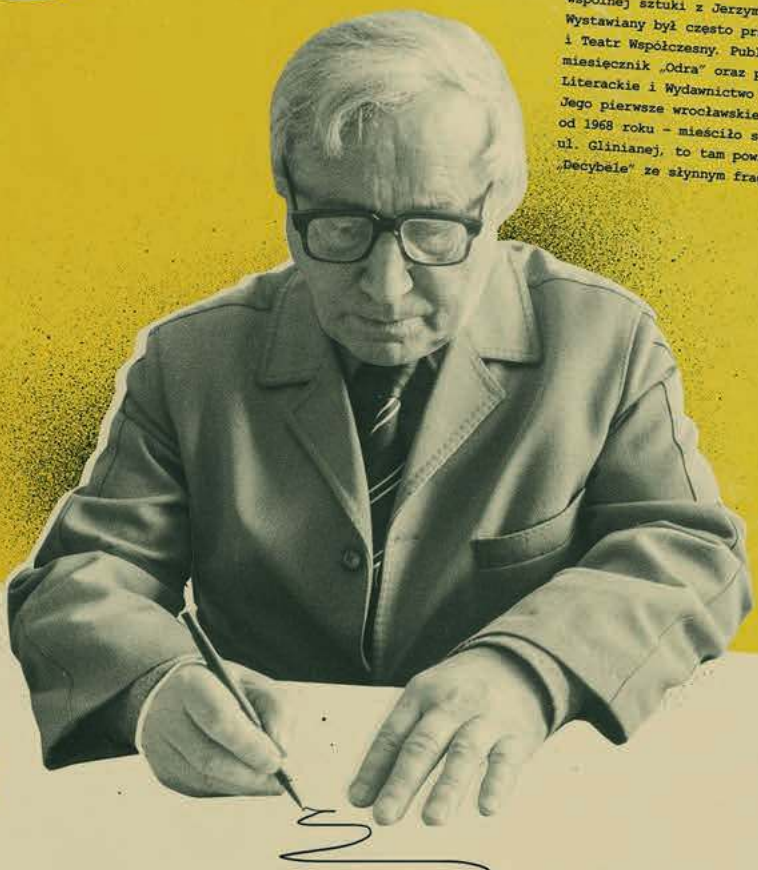

WROCŁAWSKIE SPACERY TADEUSZA RÓŻEWICZA

Fot. Adam Hawałej

PAN TADEUSZ RÓŻEWICZ
wystawa stała

Muzeum Pana Tadeusza
Ossolineum
Rynek 6, 50–106 Wrocław
www.muzeumpanatadeusza.pl

Pobierz aplikację mobilną i zwiedzaj

iOS Android

Patroni medialni

Partner medialny

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu.